

**Zabójcze
upały**
Czemu
Ameryka
natrzęsa się
z Europy ▶16



**Druga
po Bogu
w MON**
Ulubiona
ministra
Tuska ▶7



WYSOKIE OBCASY
Robię siwy dym
Rozmowa
z Katarzyną
Barczyk-
-Matkowską



FOT. CHRIS JACKSON/GETTY IMAGES, KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL



MAGAZYN

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Nadeszła „Odyseja”

• Czy nieznajomość
Homera
szkodzi? ▶28

• Komu
nie po drodze
z wizją Nolana ▶30

• Ostrożnie z sądami
o historyczności
filmu ▶40

FOT. MELINDA SUE GORDON/UNIVERSAL PICTURES/UIP

wyborcza

Wydawnictwo Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348398



**Marcel Andino
Velez**
Pod koniec tata
był już w swoim
świecie ▶4

Pan na Funduszu
Niezatapialny
prezes Filip
Nowak
▶11

**Będą burze
i zniszczenia**
Trump bierze
się za klimat
▶19

**Koncerty
popołudniowe...**
Gdy widzę te ceny,
łapię się za głowę
▶31

**Kod dostępu
do Wyborcza.pl
na weekend**

Sobota – czwartek, 18-23 lipca 2026 | Redaktor prowadzący Andrzej Kulasek | Cena gazety 12,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 166.11265, 1

Nakład 67 tys. + 322 tys. prenumerat cyfrowych

Agnieszka
Kublik

Gwardia Kaczyńskiego

Kaczyński z kolegami. Ich słowa nakręcają nienawiść. Nienawiść nakręca przemoc. 10 lipca, w miesięcznicę smoleńską, w Warszawie, pod Pomnikiem Smoleńskim Jarosław Kaczyński nazwał protestujących przeciwko narracji o zamachu „najgorszym społecznym śmieciem” i „holotą bez żadnych praw”. Oskarżył ich – jak sam to ujął – o „ciężkie przestępstwo”, czyli zdradę na rzecz Rosji i Niemiec. Zapowiedział, po powrocie do władzy, powołanie „jakiejś gwardii obywatelskiej”, czyli swoich bojówek, które miałyby utrzymywać porządek. Taki, jak chce Kaczyński.

Nazajutrz Przemysław Czarnek, podczas rocznicy zbrodni wołyńskiej mówił w Lublinie: „Otóż my dzisiaj mamy moralny obowiązek krzyczeć do wszystkich stolic europejskich i światowych o powstrzymanie odradzania się ideologii nazistowskiej na Ukrainie”.

A to cytaty z Putina z 2022 r., kiedy dokonał napaści na Ukrainę: „Nie byłoby dzisiejszego konfliktu w Ukrainie, gdyby nie próbowano wskrzesić nazizmu na historycznych ziemiach Rosji. Trujący neonazizm istnieje na całym świecie, nawet w [innych krajach]”.

Kaczyńskiego te słowa Czarnek nie zbulwersowały, ale te o zakazie pomocy Ukrainie tak, ma o nich nawet debatować kierownictwo partii, ale przecież to

jasne, że obaj tak właśnie wyobrażają sobie walkę o głosy nacjonalistów. Jedynym narzędziem, którym potrafią się posługiwać, to nienawiść. Słowa nakręcają nienawiść. Nienawiść nakręca przemoc.

Dlatego to, co się wydarzyło potem ma dla mnie związek przyczynowo-skutkowy.

11 lipca, Bielsko-Biała,

miejski autobus, mężczyzna wulgarnie atakuje dwie dziewczynki z Ukrainy: „Gówniary wyrosły na naszych pieniądzach”. Potem drze się o „ukraińskich k*rwach” i że mają „wy*ierdalać”.

11 lipca, Łódź, aleja Piłsudskiego, mężczyzna atakuje przechodnia, bo... bierze go za Ukraińca. Dwa razy uderzył go w twarz. Ofiara musi przejść rekonstrukcję twarzoczaszki.

Wiem, że napaści na Ukrainki i Ukraińców nie zaczęły się po 10 lipca. Ale od tego dnia wielu „obywateli” poczuło się osmielonych przez „górze” (były premier, wicepremier ds. bezpieczeństwa, były minister szkolnictwa wyższego, wiadomo, że państwo psuje się od góry) do obywatelskiego wymierzania swojej sprawiedliwości. Za niepolski wygląd, za niepolski język, za niepolskie zachowanie... Za cokolwiek w zasadzie wobec kogokolwiek.

Dane Komendy Głównej Policji są po prostu przerażające. W 2025 r. aż 543 przestępstwa skierowane przeciwko obywatelom Ukrainy (przemoc, groźby i znieważenia), w 2024 – 384. W ciągu ostatnich dwóch lat liczba napaści na Ukraińców, bo są Ukraińcami, wrosła o ponad 66 proc. A wiemy tylko o tych zgłaszanych. Zachęcenie do przemocy jest przestępstwem. A gdy to czyni były premier jest przestępstwem politycznym. ●

Andrzej rysuje



Tour de France Łoża basenowa



Pomysłowość kibiców nie zna granic. Widzowie śledzili 10. etap kolarskiego Tour de France, z Aurillac do Le Lioran siedząc w nadmuchiwanej basenie z wodą. Tu oklaskują Amerykanina Quinna Simmonsa, ale na mecie bezkonkurencyjny był lider i wielki faworyt wyścigu Słoweniec Tadej Pogačar.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Cytat tygodnia

Po odejściu z Barcelony nie chciałem zostać w Europie. Z jednej strony to była trudna decyzja dla mnie i mojej rodziny, ale nie potrafiłem sobie wyobrazić siebie w innym klubie. Wiedzieliśmy, że kolejny etap będzie poza Europą



ROBERT LEWANDOWSKI, który piłkarską karierę kontynuował będzie w Chicago Fire

Polak wyróżniony Prestiżowa nagroda dla Sasnała

Nagroda Rubensa przyznawana jest od 1957 roku wybitnemu malarzowi lub malarce za całokształt twórczości. Laureatami są twórcy, którzy podobnie jak patron nagrody, wybitny barokowy malarz Peter Paul Rubens wyróżnili się pionierskim dorobkiem. Otrzymali ją m.in. Francis Bacon i Lucian Freud. Teraz wyróżnienie trafi do Wilhelma Sasnała, który będzie pierwszym Polakiem uhonorowanym w ten sposób.

Nagroda Rubensa wręczana jest raz na pięć lat, Sasnał odbierze ją więc w listopadzie 2027 roku. Laureat będzie miał solową wystawę w Muzeum Sztuki Współczesnej w niemieckim Siegen, gdzie urodził się Rubens, a jego prace wejdą do Kolekcji Lambrecht-Schadeberg. Wysokość pieniężna nagrody to 25 tys. euro.

W Kolekcji Lambrecht-Schadeberg znajdują się wyłącznie prace laureatów Nagrody Rubensa, a łącznie jest ich ponad trzysta. Jej założycielka, Barbara Lambrecht-Schadeberg, przekazała je muzeum w stały depozyt.

Urodzony w 1972 roku Wilhelm Sasnał jest jednym z najbardziej cenionych za granicą polskich artystów. Jego prace znajdują się m.in. w kolekcjach Charlesa Saatchiego, Muzeum



Guggenheima, MoMA, Tate Modern, Centre Pompidou i Stedelijk Museum. W 2006 roku otrzymał Europejską Nagrodę im. Vincenta van Gogha.

Sasnał tworzy nie tylko obrazy i grafiki, ale i prace w przestrzeni publicznej. Namalował m.in. mural dla Muzeum Powstania Warszawskiego, portrety Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego. Zaczynał od obrazów przedstawiających sceny z codziennego życia, ale od lat w swojej twórczości porusza tematy Zagłady i polskiego antysemityzmu, a także współczesnego nacjonalizmu i ksenofobii. ●

Emilia Dłużewska
wyborcza.pl/kultura

W poniedziałek „Duży Format”

Wrobieni w fotowoltaikę

– Agenci chodzili po wsiach. Mówili, że na panele jest dotacja. Miał być prąd za darmo, a zaciągnęli na nas kredyty. Jeden na mnie, drugi na matkę. Ja na bezrobociu, matka z najniższą rolniczą emeryturą. Przy nas wypełnili wnioski. Założyli nam maile. Na swoich komórkach. Na maile przyszyły umowy z bankami. Na nasze komórki kody, żeby potwierdzić umowę. Przejęli nasze maile i komórki – czytali SMS-y i wpisywali kody. Popisali we wnioskach, co chcieli.

Reportaż Marcina Wójcika



My i Ukraińcy

Dlaczego wy ich tak nie lubicie

Przecież w niechęci do Ukraińców nie chodzi o ładne ciuchy uchodźczyń, o fajne samochody uchodźców, o to, że „przesiadują w knajpach”. Nawet nie o to, że są Ukraińcami

Bielaszyn



Widziałam się niedawno z Peterem Pomerantsevem, brytyjskim dziennikarzem, słynnym badaczem propagandy i dezinformacji. Zazwyczaj nasze spotkania wyglądają klasycznie: w pewnym momencie włączam dyktafon, Peter odpowiada na moje pytania, a ja później przekuwam jego odpowiedzi w tekst.

Tym razem było inaczej. Żadne z nas nie włączyło dyktafonu, a pytania zadawał Pomerantsev. „Musisz mi koniecznie wyjaśnić, co się dzieje w polskim społeczeństwie, dlaczego rośnie niechęć wobec Ukraińców, z czego to wynika?”.

Nie był jedyny.

Kilka tygodni wcześniej podobne pytania zadali mi Irina Borogan i Andriej Soldatow, para znanych niezależnych dziennikarzy specjalizujących się w analizowaniu działalności rosyjskich służb. Dziwili się, że coraz częściej słyszą o atakach na Ukraińców w Polsce i temu, że polscy politycy tak chętnie wykorzystują antyukraińskie hasła, że uznają je za szansę na zabicie kapitału politycznego przed wyborami.

„Byliśmy niesamowicie wzruszeni tym, jak Polacy zachowali się na początku inwazji, jak pomagali masowo uchodźcom. Czuliśmy podziw, dumę z was, wszyscy wtedy mówili, że to Polacy, jako naród, powinni otrzymać pokojowego Nobla. Co się stało?” – pytali.

Przypominam sobie w takich chwilach opowieści przyjaciół, czytelników. Takie jak znajomego, który po jednej z pierwszych podróży do Ukrainy napisał mi: „W drodze tam i z powrotem najchętniej brałbym środki nasenne. Żeby nie widzieć, jak chamsko polscy strażnicy traktują ludzi ze Wschodu, jak potrafią ludziom uciekającym przed wojną powiedzieć, że »z nimi to nawet gorzej niż z Ruskimi«”.

Opowieść pochodzącej z Ukrainy koleżanki, która wyjaśniała mi, dlaczego nie odbiera w miejscach publicznych telefonów od matki albo szeptem wyjaśnia jej, że nie może teraz rozmawiać. „Z mamą rozmawiam po ukraińsku i zawsze mam z tyłu głowy, że mogą spotkać mnie poza domem nieprzyjemności, choćby tekst, że nie jestem w Polsce u siebie”.

I przypominam sobie relacje z mediów, na przykład tę z listopada 2025 roku, jak to 49-letnia taksówkarka z Ukrainy została w Lesznie brutalnie pobita i znieważona przez polskiego nastolatka. Albo ostatnie nagranie z autobusu w Białymstoku, na którym dorosły mężczyzna wyzywał od kurew ukraińskie nastolatki, żądając, by „spierdały na Ukrainę”.

Oraz mantrę powtarzaną przez prawników polityków czy publicystów, którzy podkreślają, że „trzeba poznać szerszy kontekst” wydarzenia, nim się je oceni.



• Przejście na granicy ukraińsko-polskiej w Budomierzu. Początek wojny, 6 marca 2022 r.

Co się stało z tymi z nas, Polaków, którzy ataków na Ukraińców albo się dopuszczają, albo je pochwalają czy akceptują?

Za każdym razem, kiedy się nad tym zastanawiam, przypominają mi się słowa Agnieszki Burzyńskiej, dziennikarki Kanału Zero, która pod koniec czerwca w programie o relacjach polsko-ukraińskim wyznała, że „drażniło ją, jako kobietę”, iż uciekające przed wojną Ukraińki były bogate i miały „super ciuchy”.

Kusi mnie, by podsumować tę wypowiedź wyrażającą odczucia wielu Polaków, słowami: nie ma co się dziwić, zachodzić w głowę, skąd to. Takie postawy nie pojawiły się nagle. Były zawsze obecne, po prostu kiedyś nie bardzo wypadało się z nimi ujawniać, teraz ludzie dostali sygnał, że są akceptowalne, ba, zrozumiałe.

Bo przecież nie chodzi o ładne ciuchy uchodźczyń, o fajne samochody uchodźców, o to, że „przesiadują w knajpach”, zupełnie jakby byli nami, prawie-że-Europejczykami. Nawet nie o to, że są Ukraińkami czy Ukraińcami.

Choć wiem, że do złego tonu należy publiczne psychologizowanie cudzych zachowań, nawet dziwnych i niezrozumiałych, ośmielię się wysunąć przypuszczenie, że źródłem tej irytacji jest, no cóż, kompleks.

Często wśród rodaków spotykany, a którego ofiarami dzisiaj padli Ukraińcy, ale wcześniej padali Rosjanie, Białorusini i każdy, kto mówił po polsku mową ze „złym” akcentem. „Złym” – czyli wschodnim.

Przysięgam, mówił o tym kilka lat temu w Gazeta.pl Wojciech Drewniak, polski popularyzator historii: „Mam dziwne wrażenie, że Polacy mają podwójny kompleks: niższości wobec Zachodu i wyższości wobec Wschodu. Wydaje się nam, że jesteśmy nie wiadomo kim w porównaniu z Białorusinami, którzy mają swój kraj od niedawna, podobnie jak Ukraińcy. A Rosjanie to w ogóle bydlę”.

I miał rację, chociaż wielu czytelników pospieszy teraz z wyjaśnieniem, że stosunek Polaków do Rosjan czy Białorusinów wynika z rosyjskiej napaści na Ukrainę oraz cichej białoruskiej akceptacji działań

„To Rosjanka? No nie wiem, ukraińskie tirówki twierdzą często, że są Rosjankami, wtedy mogą liczyć na większą stawkę” – czytałam pod moimi zdjęciami. Długo przed napływem ukraińskich uchodźców

Putina. W jakimś stopniu na pewno tak i to rozumiałe, że nie lubi się sprawców przemocy ani tych, którzy im pomagają.

Tylko że odkąd celem napaści i ksenofobicznych ataków stali się na szeroką skalę Ukraińcy, argument, że stosunek Polaków do „tych ze Wschodu”, ludzi i społeczeństw z „ruskim” akcentem ukształtowała rosyjska inwazja, a wcześniej pamięć dekad radzieckiej i rosyjskiej opresji, tracą na sile. Wojna się nie skończyła, Rosja nadal zabija Ukraińców i zagraża nam wszystkim. Dlaczego więc akurat Ukraińcy coraz częściej słyszą, że mają „spierdać na Ukrainę”?

Z sondażu przeprowadzonego przez CBOS w lutym 2022 roku, jeszcze przed wybuchem pełnowymiarowej wojny, wynikało, że „gdyby ustawić sąsiadów Polski w kolejności od najbardziej do najmniej lubianych, to wyglądałaby ona tak: Słowacy, Czesi, Litwini, Niemcy, Ukraińcy, Białorusini, Rosjanie”.

Może więc czas przynajmniej, że ta wschodofobia jest czymś mocno w nas zakorzenionym? Że cynicznym politykom prawicy jest wszystko jedno, Ukraińcy, nie Ukraińcy, może nawet sami nie do nich nie mają – tylko doskonale wiedzą, że gdzieś pod powierzchnią, w dużej części społeczeństwa, tej patrzącej na Wschód przez orientalizujące okulary, zawsze pokutowało głębokie przeświadczenie, że Europa Wschodnia – bo „my to Środkowa, kiedy oni na Zachodzie wreszcie to zrozumieją” – jest czymś gorszym. Według stereotypu: brudnym, biednym, chamskim, niewykształconym, zacofanym, nacjonalistycznym. Czyli wszystkim od czego my, Polacy, odzegnujemy się na każdym kroku, podkreślając przy

tym swoją odrębną, zachodnioeuropejską mentalność.

Jakim więc prawem – mniej lub bardziej świadomie czuje część rodaków – ludzie, którzy wywodzą się z takiego nieogarniętego, aspirującego miejsca i kultury, mogą żyć tak samo, ba!, często nawet lepiej niż my? Na jakiej podstawie uważają, że są wobec nas, Europejczyków, ludzi Zachodu, równi?

Nie zapomnę, jak podczas pokazu filmu niezależnego twórcy z Białorusi prowadzący spotkanie dziennikarz w reakcji na stwierdzenie reżysera, że „mentalność Polaków i Białorusinów jest podobna, i różni się od tej, którą cechują się obywatele tej bardziej zachodniej Europy”, energicznie zaprzeczył: „Proszę pamiętać, że Polska jest Zachodem”.

Pozwalam sobie na tak ostry, gorzki i sztywny ton, bo sama z tą wyższością stykałam się przez całe życie.

W szkole od najmłodszych klas słyszałam dowcipy, w których Polak zawsze był mądry i dobry, a przynajmniej sprytny, Ruski co najwyżej pijanym idiotą, a Ukraińka – prostytutką.

Już jako dziecko wielokrotnie byłam świadkiem sytuacji, w których zupełnie obce osoby tuż po tym, jak wychwyciły rosyjski akcent mojego ojca, natychmiast z uprzejmych, a niekiedy wręcz usługowych, stawały się aroganckie, „tykające” i traktujące z góry.

W dorosłym życiu nie raz zdarzało mi się natrafić w serwisach społecznościowych – długo przed wojennym napływem Ukraińców – na własne zdjęcia, pod którymi anonimowi użytkownicy, wiedząc o moich wschodnich korzeniach, pisali na przykład: „To Rosjanka? No nie wiem, ukraińskie tirówki twierdzą często, że są Rosjankami, wtedy mogą liczyć na większą stawkę”.

Podobne doświadczenia mają moi mieszkający w Polsce znajomi z Rosji, Ukrainy, Białorusi. Większość od dawna ma przygotowane i przeciwione odpowiedzi na ewentualne zaczepki. Obcym osobom spokojnie wyjaśniają, że legalnie mieszkają i pracują, odprowadzają w naszym kraju podatki, uczą się języka, mają już lub starają się o obywatelstwo, bo Polskę traktują jako dom.

Naiwnie brzmią dziś apele o szacunek do drugiego człowieka. O to, by nie odrzucać – jak podkreślał w ostatniej rozmowie ze mną Dmitrij Muratow, laureat pokojowego Nobla – całej indywidualności jednostki na rzecz jedynie tej części związanej z pochodzeniem czy obywatelstwem. Równie głupio brzmią prośby, by nie leczyć własnych i narodowych kompleksów kosztem innych. Ani by nie wykorzystywać tych niskich uczuć bliźnich dla własnych politycznych celów.

Więc zakończę prosto: ksenofobia, nacjonalizm, rasizm i poczucie wyższości to arsenał Kremla. Właśnie je wykorzystuje w swojej narracji, prowokacjach i rozgrywkach putinowska Rosja. ●

Wiktorija Bielaszyna

WAZNY TEMAT

Nagie życie



Ludzie z klasy średniej wobec perspektywy przewinięcia własnej matki czy ojca czują się często kompletnie bezradni.

Z **MARCELEM ANDINO VELEZEM**
ROZMAWIA **MONIKA REDZISZ**

Siedem lat temu zrezygnowałeś z funkcji wicedyrektora Muzeum Sztuki Nowoczesnej, żeby zaopiekować się tatą chorym na alzheimera i mamą z ChAD. Dla wielu osób była to szokująca decyzja. Zająłeś się pracą opiekuńczą, którą nie zajmują się zwykle mężczyźni na wysokich stanowiskach, majątni na tyle, że stać ich na opłacenie opieki.

– U moich rodziców – z ich zestawem chorób – zatrudnienie opieki tylko pogorszyłoby sytuację. Mój przypadek stał się „medialny”, bo dotyczył mężczyzny. W patriarchacie pracę opiekuńczą zepchnięto na kobiety i pewnie w mojej rodzinie też byśmy tak odruchowo zrobili, gdyby nie to, że ja z bratem nie mamy siostry.

Więc jeśli to ja opowiadał w mediach, cóż to za ciężka, ale może też wartościowa i chwilami piękna praca, to mam dług wobec tych wszystkich kobiet, których nikt nie chce słuchać.

Mnie samego to zainteresowanie też trochę zaskoczyło. Nauczyłem się tej pracy i wydaje mi się ona czymś zupełnie naturalnym. Ale rzeczywiście ludzie z klasy średniej wobec perspektywy przewinięcia własnej matki czy ojca czują się często kompletnie bezradni. Mówią: „W życiu tego nie zrobię! Nie byłbym w stanie!”. W większości przypadków to nieprawda: kiedy trzeba, dają radę.

To wiele mówi też o klasowych okularach, przez które większość ludzi postrzega opiekę. Panuje przekonanie, że dla zatrudnionej do tej pracy opieki – kobiety z tak zwanej klasy ludowej – sprzątanie pampersa z kupą jest czymś naturalnym, a dla osób z klasy średniej – nie. To przekonanie jest fałszywe.

Czy jednak nie okazało się to trudniejsze, niż myślałeś? Spotykamy się akurat obok nowej siedziby Muzeum Sztuki Nowoczesnej... Nie żałujesz trochę tamtej decyzji?

– Gdybym żałował tamtej decyzji, pewnie bym teraz z tobą nie rozmawiał. Wydaje mi się, że właśnie wtedy stałem się dorosłym człowiekiem i naprawdę sobą. Pamiętam, że wtedy czułem przede wszystkim ulgę, że nie muszę już dźwigać dwóch ról, z których żadnej nie mogłem wykonywać dobrze.

Tu dwie poważnie chore osoby, w ciągłym konflikcie, bo osoba w depresji osobę z demencją jest w stanie doprowadzić do ostateczności i odwrotnie. To był permanentny kryzys, a w pracy nieustanna batalia o budowę MSN i przy okazji szybkie rozrastanie się instytucji, ciągłe nowe zadania i nowe problemy. Nie było opcji, żeby to zawalać, znikać, nie odbierać telefonów. Nie dało się tego robić lewą ręką.

Jestem cały czas zaprzyjaźniony z MSN. Bardzo przeżywałem otwarcie nowej siedziby, do tej pory regularnie mi się to śni. Ale odejścia nie żałuję. To jednak ogromna wolność. Byłem osobą publiczną, musiałem odgrywać swoją rolę. Ludzie, którzy wcześniej czegoś ode mnie chcieli, przestali mnie zauważać.

Nie muszę się już przebieierać za dyrektora, uśmiechać, zachowywać. Im wyżej jesteś na drabinie społecznej, tym więcej musisz grać, bo stawki są wyższe. Ludzie są tak bardzo pochłonięci tą grą, że często w ogóle nie zdają sobie sprawy z tego, jaki ten teatr jest upokarzający, a czasem śmieszny.

A opieka? Nagie życie. Tu nie ma nic do grania. Egzystencja, w której wszystko kręci się wokół pampersa, obiadu i spaceru, ale która chwilami potrafi też być piękna i wzruszająca.

Miałeś jednak do czynienia ze zniedołężnieniem i chorobą, cierpieniem i śmiercią. To trudne.

– A co, jeśli ja tak nie uważam? Dla mnie prawda o życiu jest łatwiejsza do zaakceptowania niż ta cała gra pozorów, którą uprawiamy jako społeczeństwo. Dorabiam się, style życia, rozwój osobisty. A jak zaczynasz się kimś opiekować, to te pierdoły nie mają znaczenia. Ten ktoś potrzebuje ciebie.

Tu człowiek i tu człowiek, bez tej całej szopki. A jak się nauczysz, jak zaspokajać potrzeby tego człowieka, jak te problemy rozwiązywać, to satysfakcja jest total-

na. To jest wiedza praktyczna, co i jak przy jakiej chorobie, co się może zdarzyć, jak sobie z tym radzić. Do kogo zadzwonić, co robić. Rozbijasz kryzys na czynniki pierwsze i działasz. Krok po kroku dajesz to ogarnąć.

A najważniejsza jest rozmowa z drugim człowiekiem, który już to przechodził. Do mnie non stop dzwonią ludzie w sytuacji kryzysowej, którzy sobie nie radzą z opieką nad rodzicami. Przychodzą do mnie do biura na godzinę, notujemy na kartce plan, co da się zrobić, kiedy, jakimi środkami – i widzę, jak im się twarze zmieniają. Sam to przeżyłem, rozumiem, ile to znaczy.

Wiesz, dla mnie zawsze najważniejszym artystą był Zbigniew Libera. Jego praca wideo „Obrzędy intymne”, gdzie pokazuje, jak opiekuje się swoją babcią, była dla mnie formatywna. Z jednej strony właśnie ta brutalna prawda o egzystencji, a z drugiej – że to się da zrobić, młody facet, punkowiec, bierze tę pieluchę i zmienia, i żadna punkowa korona mu z głowy nie spada.

Pierwsze lata MSN, kiedy z Joanną Mytkowską działaliśmy w kilka osób, to była totalna alternatywa. Byliśmy offem offów, gdzieś na tyłach starego sklepu. Dzięki determinacji Joanny mamy dzisiaj wielkie, wspaniałe muzeum, ale to już nie jest alternatywa. Dla mnie alternatywą jest zajmowanie się opieką nad starymi ludźmi. Najwyraźniej takie sytuacje mnie najbardziej w życiu kręca.

Pod koniec tata był już w swoim świecie.

Ale reagował na ulubione tanga argentyńskie.

To był piękny czas. Choć wtedy nieraz myślałem,

że chcę, żeby już umarł.

• **Marcel Andino Velez –etnograf, był wicedyrektor Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, opiekun medyczny i gerontolog. Na zdjęciu sprzed siedmiu lat razem z rodzicami Barbarą i Rodrigo Velezami**

FOT. ADAM STĘPIEŃ / /
AGENCJA WYBORCZA.PL

Udało ci się zaopiekować tatą tak, jak chciałeś?

– Towarzyszenie ojcu w chorobie było jednym z najważniejszych wydarzeń w moim życiu. Wiele mnie to kosztowało, ale dostałem od ojca i od życia dużo, miałem zawsze poczucie, że to trzeba jakoś oddać, i w pewnym stopniu to mi się udało.

To był po prostu dobry człowiek, szczodry, odważny, nauczył mnie ufać ludziom – nawet jeśli nie zawsze się na tym dobrze wychodzi. Umiał kochać. Umarł w najlepszy możliwy sposób: w domu, przy mnie, przy mamie, były z nami jego ulubiona opiekunka pani Lilia, pies i kot.

Ostatnie sześć miesięcy leżał. Wypisali go ze szpitala z upiorną bakterią, która powoduje biegunki, *Clostridium difficile*. To jedna z tych infekcji szpitalnych, od których zaczyna się stopniowe umieranie. Walczyliśmy z tym w domu, udało się ustabilizować sytuację, ale był już bardzo słaby. Jego stan powoli, ale nieubłaganie się pogarszał.

Miał po raz kolejny trafić do szpitala na transfuzję krwi, to był chyba pierwszy albo drugi tydzień lockdownu. Nie moglibyśmy go odwiedzać. Umarłby tam w samotności i własnych odchodach. Powiedziałem lekarce, że nie zgadzamy się na szpital, a ona odparła, że zrobiłaby to samo.

Pod koniec był już w swoim świecie. Ale reagował na ulubione tanga argentyńskie i flamenco. To był piękny czas. Teraz żałuję, że ten proces trwał tylko pół roku, choć wtedy nieraz myślałem, że chcę, żeby już umarł.

Żeby już nie cierpiał?

– Tak, ale też dlatego, że momentami nie miałem już siły. Jest taka jednostka chorobowa: zespół stresu opiekuna. Ludzie są wykończeni, na krawędzi, często z niej zresztą spadają. To ciężkie doświadczenie, chwilami naprawdę chcesz, żeby to się już skończyło. Ale potem się ogarniasz, podreperowujesz siły i tamtych myśli się wstydzisz.

Ja podobną sytuację życiową przyplaciłam depresją. Jak ty sobie z tym poradziłeś?

– Brałem oczywiście leki przeciwdepresyjne. Głównie po to, żeby spać w nocy, nie budzić się o 4 ze strachem, co to będzie. Mama była w depresji od początku choro-

by ojca. To on zawsze trzymał ją przy życiu. Jak zaczął chorować, straciła oparcie.

Teraz ja jestem w tej roli. Skarży się na samotność, choć mój brat mieszka trzy ulice dalej, a ja pięć i praktycznie codziennie u niej jestem. Ojca już nie ma, w mieszkaniu wciąż widzi okrucy ich dawnego życia. To trudne.

Starość jest ciężka. Żaden srebrny kapitalizm i rozweseleni seniorzy w reklamach tego nie zmieniają. W starości można przeżywać szczęście, ale jej ramy egzystencjalne są przygnębiające...

Ostatnio mama też posypała się zdrowotnie, i to dośyć potężnie. Tego się nie spodziewałem, myślałem, że los oszczędzi mi kolejnych wyzwań. Doświadczenia z ojcem w zupełności by mi wystarczyły.

W rok przyplątało się parę ciężkich chorób. W grudniu przeszła poważną operację i w tej chwili jest stomizką. Stomię przywitała głęboką depresją. Ja miałem z tym problem przez jeden dzień. Ogarnianie stomii jest banalnie proste. Miałem już wysokie kwalifikacje w zakresie opieki nad osobami demencyjnymi i z chorobą dwubiegunową, teraz staję się ekspertem od stomii.

Na dodatek ostatnio złamała rękę – wychodząc ze mną na pierwszy po operacji spacer. Upadła na progu klatki schodowej. Przez chwilę miałem wrażenie, że przed oczami rozgrywa mi się komedia slapstickowa. Czujesz równocześnie żal i współczucie, złość, a równocześnie cię to śmieszy. No bo ile można?

Siedem lat temu założyłeś z Weroniką Kociniak firmę, która zajmuje się koordynacją opieki geriatrycznej. Na czym to polega?

– Najprościej mówiąc, na zastępowaniu dzieci w układaniu tych codziennych puzzli, z których składa się opieka nad niesamodzielnym rodzicem. Wizyty lekarskie, rehabilitant, opiekunka, badania, pampersy – koordynator to taki szwajcarski szczyryk, który musi mieć wszystko, żeby choremu człowiekowi utkać bezpieczny kokon.

Zaraz potem zaczęła się pandemia. Trudny moment na start.

– Tak, to nam bardzo utrudniło pracę. Kryzysowe momenty też się zdarzały. Opiekunka mieszkająca z jednym z naszych podopiecznych, panem po udarze, zachorowała na COVID; trzeba ją było hospitalizować. Nie wiadomo było, co robić. Nie mogłem przecież szukać zastępstwa w momencie, kiedy pan miał kontakt z osobą zarażoną COVID-em. Wylądowałem więc u niego sam.

Spędziliśmy razem dwa tygodnie, zamknięci. Byłem wtedy prawdziwą opiekunką. Robiłem mu zupełną mleczną na śniadanie i gotowałem obiad, robiłem pranie, zmieniałem pampersy i myłem go pod prysznicem, dawałem leki i rehabilitowałem.

To jest niesamowite, że kiedy ma się kogoś pod opieką, człowiek ma non stop coś do zrobienia. Kobiety to wiedzą, mężczyźni często nie mają o tym zielonego pojęcia. Myślałem, że chociaż wieczorem, jak mój podopieczny pójdzie spać, będę mógł popracować przy komputerze albo chociaż poczytać książkę. Gdzie tam! Byłem tak zmęczony, że zasypiałem zaraz po nim. Było ciężko, ale mieliśmy razem fajny czas.

A jak wam szło po pandemii? Pomysł na biznes wypalił?

– Nie do końca. Nasza firma funkcjonuje, ale nie rozwinęła się tak, jak się spodziewaliśmy. W tej chwili mamy pięcioro podopiecznych; najwięcej mieliśmy jedenastu.

Mamy w Polsce prawie 10 milionów osób powyżej 60. roku życia; społeczeństwo szybko się starzeje.

– Kiedy zaczynaliśmy, wiele osób mówiło, że to genialny pomysł, miliardowy rynek, że na pewno niedługo będziemy mieć oddziały w każdym mieście. Ale natknęli-

śmy się na olbrzymią barierę mentalną. Starsi ludzie w Polsce nie są gotowi na przyjęcie kogoś obcego do tego jądra rodzinnego, zwłaszcza kogoś, kto nie spełnia tradycyjnych ról, takich jak: kucharka, sprzątaczką, opiekunka, pielęgniarz. „Koordynator? Kto to w ogóle jest?”. Nie potrafią tego zrozumieć.

Myszę, że gdybym miał wsparcie biznesowe, to bym tę barierę przełamał, ale myśmy to zrobili z Weroniką metodą chałupniczą. Miałem pomysł, ale nie miałem kogoś, kto zainwestowałby w rozwój i promocję firmy. Dlatego działamy głównie wtedy, kiedy jest to wymuszone sytuacją, czyli dzieci mieszkają za granicą. Przylatują do Polski na tydzień i wiadomo, że w tym czasie wszystko trzeba ogarnąć. „Jutro przyjdzie pan Marcel albo pani Weronika, bo ja za trzy dni wylatuję”.

Może Polaków jeszcze na to nie stać?

– Nasze wynagrodzenie nie jest zbyt duże. Nasza praca to zazwyczaj kilka, kilkanaście godzin w miesiącu i kosztuje 1000, 1500 zł. Więcej, jeśli zdarza się jakaś sytuacja kryzysowa lub gdy ktoś ma jakieś szczególne potrzeby.

Ale my jesteśmy tylko częścią wydatków na opiekę. Zwykle płacą nam dzieci, czasem rodziny dzielą się kosztami. Pewna sędziwa gwiazda estrady płaciła opiekunce, a nam płacił jej syn mieszkający w Los Angeles.

Oczywiście, pieniądze są barierą, ale nie najważniejszą. Starsi ludzie boją się zmian, nie chcą, żeby córkę zastąpiła jakaś pani.

Tu chodzi o przejęcie kontroli nad sytuacją, o to, kto jest silniejszy, kto decyduje o sprawach zasadniczych. Dzieci z rodzicami siłują się na rękę. I bardzo często to rodzice okazują się silniejsi.

Na pewnym etapie to jest po prostu kwestia ich bezpieczeństwa...

– To prawda. Często tłumaczę ludziom: „Dopóki nie wydarzy się prawdziwy kryzys, matka nie zgodzi się na żadną formę pomocy z pani strony. Musi pani czekać, aż się nadarzy okazja”.

Ta okazja najczęściej jest przykra i bolesna, na przykład mama się przewróci i połamie. Polskie matki często dopiero wtedy pozwalają, by ktoś się nimi zaopiekował.

A co z ojcami?

– Ojcowie też odmawiają pomocy, ale tam nie ma tego napięcia, jakie jest pomiędzy matką a córką. Dzwonią do mnie kobiety i mówią: „Moja matka jest wyjątkowo apodyktyczna. Nie chce przyjąć pomocy, odmawia, wszystko chce robić sama”. A do mnie tego samego dnia dzwoniły trzy inne panie, mówiąc, że ich matka jest wyjątkowo apodyktyczna. Moje doświadczenie jest takie, że polski patriarchyat obywateli się bez mężczyzny.

Dzwonią też synowie?

– Oczywiście! Dzwonią do mnie, bo chcą pogadać jak facet z facetem i załatwić sprawę. Mężczyźni też zajmują się bliskimi. Dla mnie to jest już dzisiaj norma. Pracują też w opiece. Przez ostatnie lata miałem dużo do czynienia z ludźmi z tej branży. Większość to kobiety, ale są i mężczyźni i świetnie się w tym odnajdują, łącznie z emerytowanymi wojskowymi czy policjantami. Są zresztą bardzo poszukiwani.

Oczywiście wciąż jest to praca niedowartościowana społecznie, ale to też się zmienia. Myszę, że ludzie już usłyszeli, że to jest zajęcie godne poważnych ludzi. Również mężczyźni.



FOT. MATEUSZ SKWARZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dzwonią do mnie kobiety i mówią: „Moja matka jest wyjątkowo apodyktyczna. Nie chce przyjąć pomocy”

Kiedy przełamię już barierę, to co się dzieje? Jak to działa?

– Jeśli przełamiemy pierwsze lody, to potem jest już modelowo. Nasz team ma atuty – Weronika to córka Mariana Kociniaka, a ja jestem panem, który był w telewizji i w gazecie. To pomaga. A kiedy już przyjdziemy na herbatkę, kiedy nas poznają i rozumieją, co robimy, adaptują się świetnie.

Weronika potrafi zresztą bardzo szybko zapanować nad sytuacją; ma do tego odpowiednią siłę wewnętrzną. Ludzie starsi, zwłaszcza cierpiący, są na to bardzo wyczuleni. To naturalne – osoba depresyjna i zależna nie zapewni im poczucia bezpieczeństwa, którego teraz bardzo potrzebują.

Czasem to bywa okrutne, bo do opieki trafiają często kobiety po przejściach, złamane przez życie; starsi ludzie od razu to czują. Ja też wiem, która opiekunka zostanie zaakceptowana, a która nie. Mamy tylko jedną podopieczną, która traktuje Weronikę jak zło konieczne. Cały czas obwinia córki mieszkające za granicą o to, że to nie one się nią zajmują.

Ale spotkania ze starymi ludźmi potrafią być fascynujące. Mają co opowiadać. Uwielbiam tę międzypokoleniową transmisję wiedzy i mądrości. Czas spędzony z niedawno zmarłą Anką Ptaszkowską, kuratorką i krytyczką sztuki, współzałożycielką Galerii Foksal, jest dla mnie jednym z najcenniejszych doświadczeń życiowych. To była osoba wielkiformatowa, ale niemal każde spotkanie ze zwykłym starszym człowiekiem, który po prostu przeżył swoje życie, potrafi wzbogacić.

Ta mentalność, że starsi ludzie nie chcą zmian, powoli jednak się zmienia. Coraz głośniejsze o takich pomysłach jak cohousing czy różnych projektach aktywizujących dla seniorów.

– Tak, ale nie wszyscy starsi ludzie dadzą się aktywizować. W gerontologii mówi się o trzech fazach starości: „go-go”, czyli czas aktywności, „slow-go” – okres spowolnienia, i „no-go” – ostatnia faza, kiedy człowiek staje się niesamodzielny. Kibicuję oczywiście wszelkim pomysłom na dwie pierwsze fazy, ale ja zajmuję się trzecią, kiedy niewiele już można zrobić.

Ale faktycznie, widać poruszenie, i to nie tylko w dużych miastach. Na przykład w Mielniku na Podlasiu kobiety z urzędu gminy musiały na wójtów utworzenie stanowiska koordynatorki opieki.

Koordynatorka jeździ po ludziach, wozi po lekarzach, ogarnia im sprawy urzędowe. Jest taką gminną Weroniką. Panie z Mielnika prezentowały swoje rozwiązanie chyba na wszystkich ważniejszych konferencjach o kryzysie demograficznym w Polsce, w tym u rzecznika praw obywatelskich. Takich inicjatyw jest masa, tylko, niestety, niewiele z nich się upowszechnia.

Waszymi podopiecznymi zajmuje się dziś głównie Weronika; ty od dwóch lat pracujesz w Greenpeace. Dlaczego?

– Musiałem z czegoś żyć, a praca w biurze prasowym Greenpeace'u to jest to, co umiem robić. Poza tym to dla mnie naturalne poszerzenie tego, czym jest opieka. Tu chora matka, tu matka Ziemia. Kryzys demograficzny to jest tu, na Zachodzie, nasz lokalny problem, ale kryzys przyrodniczy i klimatyczny to największe wyzwania ludzkości.

Zawsze chciałem robić w życiu rzeczy istotne. Mało kto naprawdę przejmuję się przyrodą, a tym bardziej klimatem; wszyscy odwracają głowę. Rząd nic nie robi w sprawie ochrony przyrody, pakuje się za to w energetykę gazową, która będzie dla Polski pułapką, ale tego chce wielki biznes.

Będziemy kupować gaz od Trumpa, zamiast budować rozproszone źródła energii, których w razie czego Rosja nie będzie mogła zniszczyć. Dla mnie Greenpeace to oaza

prawdy w świecie, który pogrążył się w kompletnej fikcji.

Mówienie prawdy uchodzi za radykalizm. Ze środowiskiem i z klimatem dzieją się potworne rzeczy, tymczasem ludzie zajmują się lajfstajlem.

A sztuka? Już cię nie interesuje?

– Ja się wychowywałem na sztuce postpunkowej, z korzeniami w awangardzie. To była sztuka w kontrze, w zwarcu z rzeczywistością.

Dzisiaj sztuka jest zrośnięta z rynkiem i z kulturą terapii, skupia się na analizowaniu własnych procesów psychicznych, emocji, na pracy z traumą.

To jest oczywiście potrzebne i słuszne, ale... nie ma w tym walki.

„Obrzędy intymne” Libery były ostatnio pokazywane na wystawie o starości w Muzeum Warszawy. Ale wiesz jak? Zasłonięte, schowane, z ostrzeżeniem, że osoby wrażliwe nie powinny ich oglądać. To bardzo charakterystyczne dla tego naszego uładzonego świata, gdzie wszyscy boją się kogoś urazić. Ta praca jest radykalna, owszem. Libera naruszył godność swojej babki. Ale pokazał dzięki temu coś bardzo ważnego!

Postawy aktywistów Greenpeace'u przypominają mi te, które znam ze sztuki krytycznej – happening, protesty, działanie w przestrzeni publicznej. Śpią na koparkach w Turowie, pływają kajakami po Morzu Północnym, blokując rosyjskie tankowce z ropą. Działają tak, jak kiedyś działali artyści. I to jest dla mnie super.

Marcel, rozmawialiśmy w marcu. 29 marca twoja mama niespodziewanie zmarła. Czy dziś chciałbyś coś dodać?

– Mama zmarła na skutek zachyłkowego zapalenia płuc; do zachyłnięcia doszło w trakcie badania rezonansem magnetycznym w Szpitalu Bielańskim.

Nie, zostawmy to tak, jak jest. Żałuję, że bywałem zniecierpliwiony, kiedy posypała się zdrowotnie, ale naiwnie myślałem, że na pewno pożyje jeszcze co najmniej z pięć lat, a może nawet dociągnie do dziewięćdziesiątki. A tu koniec. Zostawiła kota w pustym mieszkaniu. Dokładnie tak jak u Szymborskiej. ●

KRAJ

„Baba to nie żołnierz”

Kiedy Magdalena Sobkowiak-Czarnecka przyszła na pierwsze spotkanie z generałami, zapadła cisza. Nikt nie uprzedził wojskowych, że pełnomocnikiem ds. SAFE będzie kobieta

Arkadiusz Gruszczyński
Zdjęcie: Mateusz Skwarczek
/ Agencja Wyborcza.pl

• Ossów pod
Warszawą,
18 czerwca br.
Magdalena
Sobkowiak-
Czarnecka
podczas ob-
chodach świę-
ta Dowództwa
Generalnego
Rodzajów Sił
Zbrojnych





• **Wiceministra Obrony Narodowej Magdalena Sobkowiak-Czarnecka i wicepremier, szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz na uroczystości podpisania umowy SAFE między rządem Polski a Komisją Europejską. Kancelaria Premiera, 8 maja br.**

FOT. SŁAWOMIR
KAMINSKI / AGENCJA
WYBORCZA.PL

W Ministerstwie Obrony Narodowej unosi się zapach kotletów i grochówki. – To pracownicy w pokojach odgrzewają sobie obiady – śmieje się cywil, który odbiera mnie sprzed wejścia do najważniejszego w czasie wojny hybrydowej z Federacją Rosyjską ministerstwie.

Gmachu w Alei Niepodległości strzeże żołnierz z karabinem w ręku oraz jego kolega, który sprawdza, czy nie wnoszę do budynku niebezpiecznych przedmiotów. O ile w innych ministerstwach zagaduję każdego, kto się nawinie, o tyle tutaj czuję respekt i powagę służb mundurowych. Albo zwyczajny strach, że karabin jest naładowany.

Cywil prowadzi mnie przez puste i długie korytarze wyłożone zielonym marmurem. Marmur oznacza majestat, a zielony – wojsko. Tak to sobie tłumaczę, choć efekt jest lekko kiczowaty.

W poczekalni do najważniejszych gabinetów siadam przy generale i dwóch pracownikach firm zbrojeniowych w świetnie skrojonych garniturach, wypchnionych, ze starannie ułożonych fryzurami i nienagannymi manierami. Próbuje zagadywać, jak oceniają obecne kierownictwo. Słyszę, że „wojsko nie mogło wymarzyć sobie lepszego czasu i lepszych zwierzchników” – i tyle. Zero plotek, opinii, refleksji. To dobrze – myślę sobie – że mundurowi nie są gadułami.

W końcu siadam w gabinecie sekretarza stanu Magdaleny Sobkowiak-Czarneckiej, pierwszej kobiety w kierownictwie MON w historii Polski, wcześniej odpowiedzialnej za wdrożenie programu SAFE, czyli zakupów sprzętu wojskowego za pieniądze unijne. Sobkowiak-Czarnecka jest też pełnomocniczką premiera do spraw Instrumentu na rzecz Zwiększenia Bezpieczeństwa Europy, który ma rozwijać przemysł obronny Starego Kontynentu.

– Pan usiądzie na tym fotelu, a pani minister na tym drugim – słyszę instrukcję i pokornie siadam.

Są dwa rodzaje ministerialnych gabinetów: w pierwszych centralne miejsce zajmuje duży telewizor z kanałami informacyjnymi, z których minister może w każdej chwili dowiedzieć się o swojej dymisji lub nadciągających kłopotach. W drugich jest sterylnie czysto, nie ma żadnych ekranów, nie licząc komputera, a na ścianach wiszą sugestywne obrazy. U Sobkowiak-Czarneckiej nie ma telewizora, na regale stoi maskotka – trudny do zidentyfikowania zwierzak, a nad sofą z białej skóry wisi portret Kościuszki.

Wiceministra obrony narodowej i jej kariera jest czymś niespotykanym w polskiej polityce, która eliminuje pnące się po szczeblach kariery kobiety. Albo je dyskredytuje, skupiając się na osobowości, charakterze, humorach i rzekomym rozkapryśnieniu.

Katarzyna Pelczyńska-Nałęcz, której strategia polityczna wywołuje nieprzychylny dyskusje publicystów i niechęć kolegów z koalicji, robi dokładnie to samo, co jej męscy odpowiednicy: przejęła partię, wyrzuciła z niej wewnętrznych rywali, rządzi twardą ręką, jest wyrazista. Ale na koniec dnia słyszymy, że ministra funduszy i polityki regionalnej ma zmienne humory, nie potrafi dogadywać się z ludźmi, jest histeryczna.

Posłanka Joanna Mucha w czasach kierowania ministerstwem sportu na początku poprzedniej dekady czytała o sobie, że „jest obiektem wielu westchnień kolegów z PO” i „mogłaby się pojawić na rozkładówce Playboya”. A kiedy za rządów PiS zgłaszała propozycje mogące dać tonącej PO drugi oddech – więcej wrażliwości społecznej, ludzki język zamiast -izmów, prawa kobiet, problemy „zettek” – słyszała, że jest naiwna. Po czym mniej więcej taki kurs obrała zjednoczona opozycja przed przełomowymi wyborami 2023 roku.

Ewa Kopacz, premierka pod koniec drugich rządów koalicji PO-PSL, była krytykowana za tembr głosu oraz za bycie „faworytą Tuska”, który, zostając szefem Rady Europejskiej, rzekomo mianował następczynią polityczkę „kompetentną, lecz pozbawioną cha-

ryzmy i wpływu”, by nie wyrósł mu groźny rywal w partii. Na tym skupiali się publicyści, choć – wychuwając doskonale nastroje społeczne – Kopacz wprowadziła pierwsze programy socjalne dla rodzin i budowała przedszkola.

Z Beaty Szydło śmiało się pół Polski, bo miała sporą kolekcję broszek i w optyce wielkomięskiego liberalnego komentariatu była plebejką, choć słuch społeczny – patrz: 500 plus – miała nie gorszy niż Aleksandra Gajewską, dzisiejsza wiceministra pracy, posłanka KO i zaufana Tuska, która stała się twarzą budowy żłobków w całej Polsce. Czy sam Tusk, który już na wstępie kampanii w 2023 roku zapewnił, że „wszystko, co dane, nie zostanie odebrane”, odcinając się od własnego wolnorynkowego liberalizmu lat 90.

To prawda stara jak patriarchy: nie komentujemy kolorów krawatów premiera (z wyjątkiem garniturów i samochodów służbowych – polonez z Żerania zamiast niemieckiej limuzyny – Waldemara Pawłaka na początku lat 90., ale tam zadziałała zasada „jakże to, chłop na salonach wolnej, solidarnościowej Polski?”), skupiamy się na skuteczności, decyzyjności, grze politycznej. Ale dajcie mi kobietę w polityce, a znajdę pięć przymiotników, które potwierdzą jej histeryczność.

Ktoś może powiedzieć, że po lewicowej stronie sceny politycznej jest inaczej. To nieprawda.

Kiedy Anna Maria Żukowska, wpływowa posłanka Nowej Lewicy, popisuje się erudycją na X, jest krytykowana za posiadanie własnego zdania.

Koła rządowe rozsiewają plotki o narastającym konflikcie premiera z ministrami pracy Agnieszką Dziemanowicz-Bąk. To jej resort dowozi projekty mogące zaskarbić niezdecydowanych wyborców, którym obojętne są niuanse wielkiej polityki i ustroju – renta wdowia, reforma Państwowej Inspekcji Pracy, budowa żłobków – ale dziennikarze słyszą, że ministra „jest trudna we współpracy”.

Wszystko to jest od dawna wiadome, świetnie opisane i przeanalizowane na łamach liberalnej prasy, ale system zmienia się powoli: po prawej stronie kobiety są wciskane w gorset matki narodu, liberalowie nasiąknęli atmosferą lat 90., które promowały bezwzględ-

ność, jedynie lewica daje kobietom więcej przestrzeni na niezależne kariery.

Owszem, koalicja Obywatelska dba o parytety na listach wyborczych, ale w rządzie jest jedna ministra wywodząca się pośrednio z tego środowiska, czyli Barbara Nowacka – członkini partii władzy dopiero od tego roku, wcześniej przez lata również „lewaczka”

I właśnie dlatego przypadek Sobkowiak-Czarneckiej jest wyjątkowy: jako pierwsza kobieta w kierownictwie resortu obrony może być przykładem dla innych polityczek i żołnerek, choć jej ścieżka i poglądy nie odzwierciedlają lewicowo-akademickich wyobrażeń o feminizmie.

Pochodzi z Poznania, wychowała się w zwykłej rodzinie, ma 42 lata. Studiowała na Wydziale Gospodarki Międzynarodowej Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu. I jak sama mówi, od zawsze ciągnęło ją do mediów. – Bo byłam ciekawa świata. Pochodzę z domu, w którym dziadek codziennie przynosił gazetę i czytał przy stole, a na kanale drugim w telewizji leciał Sejm. Pamiętam, kiedy dziadek wrócił wzburzony do domu po „nocy teczek” 4 czerwca 1992 roku, kiedy upadł rząd Jana Olszewskiego*. I chyba dzięki dziadkowi zainteresowałam się polityką – wspomina wiceministra.

Nie studiowała dziennikarstwa, wybrała gospodarkę światową, która „dawała więcej możliwości”. – Wiedziała, że trafi do mediów. Do nieistniejącego już poznańskiego radia RML.FM wysłałam maila, czy mogłabym wpaść na praktyki. Usłyszałam, że mają miejsce tylko w newsach. Zgodziłam się i ten dzień ułożył całe moje życie – mówi.

W jej opowieści wyczuwa się dumę, że nikt jej nie załatwił pracy po znajomości. Jej rodzice nie są prawnikami, lekarzami czy politykami. Mama jest doradcą podatkowym, tata menadżerem.

– Wysłałam też CV do Radia Merkury, tam mnie nie chcieli. Na czwartym roku studiów dostałam propozycję pracy w Telewizji Biznes, której założycielem był Piotr Barelkowski, dzisiaj tworzący media narodowe. Nauczyłam się tam warsztatu telewizyjnego: to była mała stacja, nie mieliśmy archiwum,

więc wszystko, co nagraliśmy z operatorem, lądowało w materiale. Nauczyłam się montażu, myślenia obrazami. Po pewnym czasie tę telewizję kupił Polsat – opowiada Sobkowiak-Czarnecka.

Ta transakcja otworzyła przed młodą dziennikarką drzwi ogólnopolskiej kariery. – Ktoregoś dnia do Poznania przyjechali Marek Markiewicz [pierwszy przewodniczący KRRiT, który wydał koncesję telewizji Zygmunta Solorza] z Henrykiem Sobierajskim [top-menedżer, wieloletni szef Polsat News], czyli ważni ludzie z Polsatu i powiedzieli do mnie: ty jedziesz z nami do Warszawy – wspomnia.

Zaczęła pracę jeszcze przed startem kanału informacyjnego Polsat News. – Prowadziłam tam pierwsze wejście na żywo, po starcie anteny. Ale odeszłam, ponieważ Polsat nie chciał realizować materiałów związanych z polityką międzynarodową. A wtedy marzyłam o tym, żeby latać z prezydentem lub premierem na wyjazdy zagraniczne. Dostałam propozycję z „Panoramy”, przyjął ją. Cieszyłam się, że będę robiła dziennikarstwo w wielkim świecie.

Miała 25 lat i w bardzo ważnym wówczas programie informacyjnym, nadawanym wieczorem jako ostatni serwis dnia w mediach publicznych, relacjonowała wybory w USA, wizyty naszych polityków za granicą, 10. rocznicę ataku na World Trade Center. – Spełniłam marzenia – przyznaje. W 2014 roku otrzymała propozycję wyjazdu na placówkę w Brukseli jako korespondentka TVP.

Odchodzi z mediów w 2016 roku, kiedy PiS już pełną parą zaczął zaprowadzać swoje porządki w instytucjach publicznych.

– Miałam relacjonować decyzję Komisji Europejskiej, która nakładała na Polskę procedurę kontroli praworządności. W „Wiadomościach” pracowała już nowa ekipa, od rana dostawałam telefony, że muszą koniecznie antenie powiedzieć o Elżbiecie Bieńkowskiej, ówczesnej komisarz z Polski, która podniosła rękę za tą decyzją – wspomina. – Tłumaczyłam redakcji, że takie procedury nie są przyjmowane na drodze głosowania. Weszliśmy na antenę, studio powiedziało swoje, a ja przedstawiłam fakty.

Ciekawi mnie, czy w tamtym momencie ludziła się idealistycznie, że z nową ekipą od Jacka Kurskiego będzie mogła robić obiektywną telewizję.

– Może miałam nadzieję, że sprawy międzynarodowe zostaną z boku. Proszę zrozumieć, że byłam na drugim końcu Europy, nie wiedziałam, co się dzieje na Woronicza. A zwolnienie z pracy wywraca życie do góry nogami. Ale TVP poinformowała mnie, że została odsunięta od „Wiadomości”, ponieważ nie rozumiem polityki międzynarodowej. W czerwcu 2016 roku rozstałam się z telewizją – opowiada Sobkowiak-Czarnecka.

– I pojawiła się myśl: i co teraz? Mieszkam w Brukseli, moja rodzina też tu jest. Próbowaliśmy odnaleźć się na rynku medialnym, ale w pierwszych miesiącach rządów PiS wielu dziennikarzy z TVP szukało pracy. Wiedziałam jednocześnie, jak funkcjonuje Komisja Europejska, więc zdecydowałam się do niej aplikować. Pracowałam trzy lata dla Unii Europejskiej.

W Komisji Europejskiej odpowiadała za komunikację spraw militarnych i tematów związanych z kosmosem. – Wtedy właśnie nauczyłam się, jak to działa od środka, co okazało się kluczowe przy SAFE.

Kolejnym etapem były wybory prezydenckie w 2020 roku. Sobkowiak-Czarnecka została szefową sztabu Władysława Kosiniaka-Kamysza, którego w wyścigu o prezydenturę wystawiło Polskie Stronnictwo Ludowe.

To była najdziwniejsza kampania w historii III RP, ponieważ w marcu wybuchła pandemia COVID-19. Wszystko zamarło, siedzieliśmy zamknięci w domach, polityka przeniosła się na ekrany, nie było możliwości organi-

zowania spotkań z wyborcami. Jednocześnie PiS nie chciał przełożenia głosowania w obawie, że kiepskie i aferalne zarządzanie kryzysem pograży kandydata władzy – czyli urzędującego Andrzeja Dudę – więc parł do zdalnych wyborów kopertowych, na co nie zgodził się ówczesny koalicjant Jarosław Kaczyński, krakowski chadek Jarosław Gowin.

W międzyczasie Koalicja Obywatelska wycofała z wyścigu Małgorzatę Kidawę-Błońską, niezwykle popularną w tamtym czasie polityczkę (czy nie brzmi to jak stara, dobra historia o patriarchacie?), którą zastąpił Rafał Trzaskowski.

Ale w 2020 roku wydarzało się coś jeszcze: na politycznym ringu pojawił się Szymon Hołownia, który ostatecznie zajął trzecie miejsce. A Kosiniak-Kamysz na starcie, jeszcze przed wejściem do kampanii Trzaskowskiego, mógł liczyć na 14 procent. – Gdyby nie pandemia i nowy kandydat KO, to prezydentem zo-

nych od czasu kampanii prezydenckiej Aleksandra Kwaśniewskiego błękitów, a na scenie wystąpiła żona Kosiniaka-Kamysza zamiast peletonu przemawiających ludowców.

– To mnie łączy z Kosiniakiem: pracujemy po 50 godzin na dobę. Mamy podobne nastawienie do zadań – komentuje Sobkowiak-Czarnecka.

Przedstawiony w Jasionce program też odbiegał od tego, z czym kojarzy się chłopska partia: kandydat na prezydenta chciał wyprowadzić religię ze szkół, podnieść nakłady na opiekę zdrowia, stworzyć prezydencki fundusz stypendialny dla studentów, stawiał na odnawialne źródła energii i kwotę wolną od podatku.

Sztabowczyni wymyśliła, że po raz pierwszy w historii PSL ich kandydat na prezydenta naprawdę chce wygrać. – Zazwyczaj ludowcy nie traktowali poważnie wyścigu prezydenckiego. Zależało mi na pokazaniu, że ten gość

Gen. Roman Polko:

„Koledzy z jednej strony mówią o pani minister, że jest OK, a z drugiej głupio się śmieją. Też kiedyś taki byłem.

Jak w latach 90. poleciałem do USA na kurs spadochronowy i pani sierżant zwracała mi uwagę, też się głupio śmiałem. Rzuciła mnie na ziemię, kazała pompki robić i od razu doszedłem do siebie

naprawdę chce się bić o duży pałac. Kosiniak w to wierzył. Ale kilka dni po udanej konwencji w Jasionce rząd wprowadził lockdown. I wszystko się zawaliło, wszystkie nasze plany zostały skasowane.

Lider ludowców zdobył 2,36 procent i zajął piąte miejsce.

Kampania się skończyła, a Sobkowiak-Czarnecka znowu musiała wymyślić siebie na nowo. Wybuchły strajki kobiet – i zobaczyła pierwszy raz w życiu energię społeczną, której nikt nie był w stanie zatrzymać. Na ulice nie tylko metropolii, ale i miasteczek jednego dnia wyszło na ulice kilka milionów wkurzonych kobiet, które protestowały przeciwko zaostreniu prawa aborcyjnego przez polityków PiS. Wiceministra zakłada stowarzyszenie Kobiet w Centrum.

W końcu mam sprzeczność, którą można podrażnić: jak to jest, że kosmopolityczna dziennikarka, nieco prymuska, która na fali feministycznych protestów angażuje się społecznie, prowadziła kampanię wyborczą konserwatywnemu, słuchającemu biskupów politykowi, a teraz jest kojarzona ze staromodną partią o zachowawczym rysie obyczajowym? – Kosiniak-Kamysz nie jest konserwą.

Ostatnio głosował za związkami partnerskimi – broni się Sobkowiak-Czarnecka. I dodaje, że jako szefowa sztabu dostała konkretne zadanie, nie musiała zgadzać się ze wszystkimi poglądami szefa.

Drażę dalej: co myśli o dostępie do aborcji? – Jestem za przywróceniem kompromisu z lat 90. – odpowiada twardo. Co prawda, ma to według niej stanowić punkt wyjścia do debaty o prawach kobiet, ale sytuuje Sobkowiak-Czarnecką raczej na prawo od postulatów środowisk liberalnych i lewicowych.

Ministra opowiada się za związkami partnerskimi, zna pary jednopłciowe, które wychowują dzieci. – I są to szczęśliwe rodziny. Jestem osobą wierzącą, choć krytycznie podchodzę do Kościoła, który ma dzisiaj wiele problemów. Odpis od podatku na rzecz Kościołów oceniam jako ciekawy pomysł – deklaruje.

Sobkowiak-Czarnecka uważa, że w polityce czy armii powinno się wprowadzać zasady, które sprzyjają równouprawnieniu. – Ale sprzeciwiam się parytetom, ponieważ ważniejsze są kompetencje. Jednocześnie trze-

ba skończyć z mówieniem, że kobiety sobie z czymś nie poradzą – mówi.

A w kolejnych zdaniach jeszcze bardziej komplikuje wizerunek polityczki na szczytach władzy. – Równouprawnienie opiera się na tym, że szanuje się każdy wybór kobiety. Jeśli chce skupić się na wychowaniu dzieci, porzuceniu pracy zawodowej na rzecz domu, to nikt nie ma prawa jej za to krytykować. Równie ważne są inne postawy, wybierasz karierę – też OK Masz prawo wyboru. To najważniejsze.

Pytam więc, czy czuje się feministką.

– Nie, ponieważ to słowo zostało w Polsce obrzydzone. Państwo powinno tworzyć reguły, w których każdy się odnajdzie. Ale przyznam, że tuż po nominacji na wiceministrę podeszło do mnie kilka żołnierek wyrażnie wzruszonych. Mówiły, że czekały wiele lat na to, żeby kobieta pojawiła się na tym stanowisku – uśmiecha się Sobkowiak-Czarnecka. – Mamy jednak sporo do zrobienia, o czym rozmawiam otwarcie z ministrem i generalami. Kobiety muszą czuć się lepiej w armii, mieć dostęp do lepszego i dostosowanego wyposażenia. A proszę pamiętać, że w Wojskach Obrony Terytorialnej kobiety stanowią 20 procent.

Podjadając cukierki trufłowe, pytam, kiedy wiceministra zainteresowała się wojskiem. Mam w pamięci, że jej piarowa działka w Brukseli dotyczyła europejskiej obronności, ale nigdy nie miała do czynienia z armią czy zbrojeniówką, co zresztą już wykorzystują pravicowe media.

– Jako dziennikarka zajmowałam się polityką międzynarodową. Studiowałam dyplomację i stosunki międzynarodowe. Najbliżej zbrojeniówki byłam w 2016 roku, kiedy w Komisji Europejskiej zaczęłam się zajmować obronnością i kosmosem – przyznaje.

– Ale od samego początku zaznaczam, że znam się przede wszystkim na finansach, Unii Europejskiej i dobrym zarządzaniu. Co pokazałam przy wdrażaniu programu SAFE. Napisaliśmy najlepszy wniosek w Europie. Jako jedyni przeforsowaliśmy większość zakupów na własnym rynku. Jak zazwyczaj w mojej historii zawodowej, bronię się efektami własnej pracy. SAFE było też kontynuacją, bo wcześniej w rządzie odpowiadałam za organizację polskiej prezydencji, której efektem jest SAFE – kwituje ministra.

Politycy najważniejszego ugrupowania opozycyjnego oceniają Sobkowiak-Czarnecką negatywnie.

– Pani minister jest niekompetentna w materii, którą się zajmuje, choć nie można jej odbierać sprawności propagandowej – mówi mi poseł Andrzej Śliwka z sejmowej Komisji Obrony Narodowej.

Polityk PiS twierdzi, że powołanie Sobkowiak-Czarneckiej na stanowisko wiceministry było błędem, ponieważ „ta pani nie zna się kompletnie na kwestiach zbrojeniowych”.

– Wykazuje ignorancję, w wywiadzie radiowym przyznała, że nie wie, czym są Pioruny, czyli polskie przenośne przeciwlotnicze zestawy rakietowe. A jako pełnomocniczka rządu do spraw SAFE wielokrotnie mijała się z prawdą. Najpierw mówiła, że te pieniądze dostaniemy, potem zmieniła zdanie i stwierdziła, że jednak Unia udzieli nam pożyczki. A następnie przemilczała fakt, że kredyt będzie spłacany przez kolejne pokolenia Polaków – wylicza poseł. – Powiem tak: skoro pani minister nie zna się na obronności, ale sama się nazywa ekspertką od Unii Europejskiej, to powinna pracować w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Ostra krytyka to wilcze prawo opozycji, więc warto zauważyć, że polityka rządu w sprawie programu SAFE była od początku transparentna: premier i jego współpracownicy nie ukrywali, że chodzi o pożyczkę. Więcej za uszami w tej sprawie ma właśnie obóz PiS, bo to on namawiał Karola Nawrockiego do zawetowania ustawy ułatwiającej wydawa-

nie pieniędzy unijnych. Prezydent posłuchał Jarosława Kaczyńskiego.

W kularowych rozmowach z politykami i wojskowymi słyszę jeszcze jedną opowieść o Magdalenie Sobkowiak-Czarneckiej.

– Kiedy przyszła na pierwsze spotkanie z generałami, zapadła cisza. Nikt nie uprzedził wojskowych, że koordynatorką programu SAFE będzie kobieta. Mieli miny, jakby ktoś ich śmiertelnie obraził – mówi jeden z ministrów.

– Koledzy mówią między sobą, że ta baba nie zna się na wojsku. Nazywają ją „Mazdzą”, „dziewczynką” – rzuca wysoki wojskowy uczestniczący w naradach z ministrami.

O te komentarze pytam generała Romana Polko, byłego dowódcę GROM-u, obecnie specjalistę od bezpieczeństwa i obronności, słynącego z niezależnych osądów.

– Znam te opinie. Koledzy z jednej strony mówią o pani minister, że jest OK, a z drugiej głupio się śmieją. Coś panu powiem: ja też kiedyś taki byłem. Jak w latach 90. poleciałem do USA na kurs spadochronowy i pani sierżant zwracała mi uwagę na pewne elementy, też się głupio śmiałem. Rzuciła mnie na ziemię, kazała mi pompki robić i od razu doszedłem do siebie – odpowiada generał.

– Słyszę w swoim środowisku, że „baba to nie żołnierz”. Niektórzy zapominają, że okres walki maczugami skończył się jakiś czas temu. A jak ktoś mi mówi, że pani minister nie zna się na uzbrojeniu, to proponuję przepytać połowę armii z parametrów uzbrojenia. Przecież każdy specjalizuje się we własnej dziedzinie – wysoki wojskowy wzrusza ramionami z lekką irytacją. I dodaje, że najważniejsze było przeprowadzenie zakupów wojskowych, podpisanie umów oraz koordynacja praca z armią. A skądinąd wiadomo, że roz-

W poczekalni do najważniejszych gabinetów MON siadam przy generale i dwóch pracownikach firm zbrojeniowych w świetnie skrojonych garniturach. Próbuje zagadywać, pytam, jak oceniają obecne kierownictwo. Słyszę, że „wojsko nie mogło wymarzyć sobie lepszego czasu” – i tyle.

Zero plotek, opinii, refleksji

ważano w rządzie wdrażanie programu SAFE poza MON.

Generał Polko też zwraca uwagę, że Sobkowiak-Czarnecka ma konkretny sukces, czyli realizowany program SAFE.

– Ministra potrafi konkretnie się wypowiadać, jest przekonująca, używa siły argumentów. Jeśli pan pyta, czy polska armia jest gotowa na kobiety wśród dowódców, to odpowiadam: jest tak samo niegotowa jak cała administracja publiczna. Proszę zobaczyć: mężczyźni są bohaterami skandali i nie ponoszą odpowiedzialności, a kiedy kobieta zajmująca ważne stanowisko zrobi coś kontrowersyjnego, jest ofiarą medialnego linczu.

Po czym ekskomandos kreśli zaskakującą paralelę i porównuje ministkę do żołnierki GROM-u. – Które miały cholernie ciężko na samym początku, ponieważ musiały przełamywać stereotypy, udowadniając, że są dwa

razy lepsze od facetów. Dopiero wtedy cała reszta uznawała je za równoprawne partnerki. Tu mamy podobny przypadek, ale wierzę w panią minister. I apeluję do kolegów, żeby traktowali ją merytorycznie, a nie protekcjonalnie.

Apel jest nieprzypadkowy. Generał przypomina sobie sytuację z GROMU-u, gdy „koledzy całowali dziewczyny w rączki, a potem usuwali je na margines”.

Wiceministra odpowiada na pogłoski o nieprzychylnych komentarzach i podskórnym seksizmie krótko: pierwsze spotkania były szokujące dla strony wojskowej, ale „szybko się dogadaliśmy”. – Od samego początku mówiłam, że znam się na finansach i Unii Europejskiej, a nie na sprzęcie wojskowym. Uczyliśmy się od siebie wzajemnie: ja tajemnic sprzętu, żołnierze o działaniu struktur europejskich.

Rzecznik rządu Adam Szlępka też jest optymistą. Przekazuje mi, że Sobkowiak-Czarnecka jest pracowita, świetnie zorganizowana i zdeterminowana.

– Znamy się od kilku lat, poznaliśmy się bliżej, kiedy byłem ministrem do spraw UE. Była moją zastępczynią. Odpowiadała za kwestie organizacyjne przy polskiej prezydencji w Radzie UE. Wcześniej pracowała z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem i to właśnie on ją rekomendował do zespołu. Nasze spotkania były konkretne, choć nic jej nie umykało. Nie było wpadek, pani wiceministra wszystko dowiozła. Jechała jak walec.

Właśnie po prezydencji Sobkowiak-Czarnecka została koordynatorką programu SAFE. – Cieszę się, że została jego twarzą. Dowiezie tematy – podsumowuje Szlępka.

A co dalej? Czy protegowana, jak ćwierkają ptaszki, premiera Tuska – który ceni jej pracowitość, różnorodne doświadczenia, obrot-

ność wyniesioną z mediów, ale też dyplomację, wstrzemięźliwy temperament, to, że nie daje się sprowokować – w kolejnym rozdziale zostanie szefową MON? A może pójdzie jeszcze wyżej?

Sobkowiak-Czarnecka nie jest członkinią PSL, ale dobrze zorientowani politycy z koalicji rządzącej sugerują, że w przyszłym roku będzie jedynką ludowców w Warszawie. Według tych opowieści wiceministra idealnie pasuje do stolicy: przede wszystkim dlatego, że Warszawa głosuje chętniej na kobiety, ale też ze względu na nieoczywistą karierę. – Nie ma dzisiaj takich decyzji – ucina zainteresowana.

Ministra dla wielu żołnerek i kobiet może być symbolem obyczajowej zmiany, która jest już naprawdę dostrzegalna, zaawansowana i głęboka, skoro dociera nawet do bastionu – na dobre i na złe – tradycjonalizmu, jakim jest PSL.

Dla premiera Donalda Tuska, którego rząd ma problemy wizerunkowe, nowa twarz w MON może być tajną bronią przed przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi. W sejmowych kularach mówi się, że Sobkowiak-Czarnecka może zostać kandydatką na premierkę, choć do tych plotek trzeba podchodzić z wielką rezerwą.

Pracownicy ministerstwa odgrzewają obiady w pokojach, ponieważ stołówka, w której sprzedawano tanie obiady, jest w remoncie tak jak cała polska armia. Wierzą, że skoro nowa ministra z sukcesem, dając odpór opozycji i samemu prezydentowi, przeprowadziła rząd przez program SAFE, to z dokonaniem obydwu remontów też sobie poradzi. ●

*Pierwszy prawicowy gabinet po Okrągłym Stole i upadku PRL obalił jego własny minister – Antoni Macierewicz, oskarżając w Sejmie kilkudziesięciu polityków, w PRL zasłużonych opozycjonistów, o współpracę z komunistyczną bezpieką.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34441795

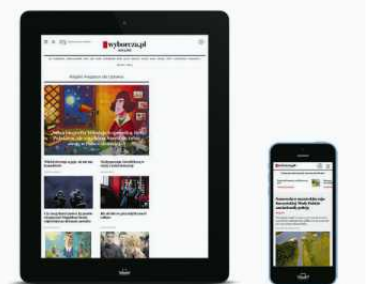
DO 23 LIPCA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej” — na sierpień u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do Wyborcza.pl*
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów



**CENA
199,99 zł**
OSZCZĘDZISZ
CO NAJMNIEJ
46 zł**



**Dostęp także do
Wyborcza.pl***

*Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej”. Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi. Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej”. Co zrobić, by zostać członkiem Klubu: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-16). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. **Cena sugerowana. Kwota oszczędności wynika z różnicy ceny sugerowanej i sumy cen codziennej sprzedaży detalicznej.

TAK CZY OWAK FILIP NOWAK

Kiedy rządził PiS, prezes NFZ robił dokładnie to, czego chcieli kolejni ministrowie zdrowia, choćby ze szkodą dla systemu. Przy KO robi tak samo. „Co do zasady przy rządzących własnego zdania nie ma. Jest za mądry na to, żeby je mieć” – słyszymy.

Judyta Watoła

Odpowiedzialność za sytuację w ochronie zdrowia ponosi Narodowy Fundusz Zdrowia, a prezesa tej instytucji należy odwołać – powiedział dwa tygodnie temu w TVN wicepremier Krzysztof Gawkowski z Lewicy. – Trzeba go uciąć i koniec – dorzucił jeszcze.

Cztery dni później na kolejnej konferencji prasowej poświęconej aferze w Szpitalu Południowym premier Donald Tusk postawił prezesowi NFZ i szefowej resortu zdrowia ultimatum: albo precyzyjny plan na naprawę systemu, albo dymisje.

Precyzyjnego planu nie pokazali. Przedstawili pomysły – bo nawet nie projekty – o których słyhać od miesięcy. Ale wydaje się, że i ultimatum było na niby, bo dymisji nie ma. Filip Nowak pozostał na stanowisku prezesa Narodowego Funduszu Zdrowia, które zajmuje już od sześciu lat. To jego sukces. porażką jest fakt, że w ogóle zaczęto o nim dużo mówić i musiał wyjść z cienia, w którym się od dłuższego czasu skrywał.

„Za mądry, by mieć własne zdanie”

Za czasów PiS częściej przychodził do Sejmu czy Senatu. Teraz pokazuje się dużo rzadziej, w zasadzie tylko wtedy, kiedy już naprawę musi, jak przed głosowaniem nad wotum nieufności wobec minister Jolanty Sobierańskiej-Grendy. Ale nawet w takich sytuacjach stara się nie zabierać głosu. Mówi przeważnie tylko Jakub Szulc, wiceprezes NFZ związany z KO, kiedyś wiceminister zdrowia.

To milczenie prezesa rzuciło się w oczy szczególnie jesienią zeszłego roku. Dyrektorzy szpitali ostatecznie zrozumieli wtedy, że minister finansów nie dosypie już nic do dziurawego budżetu NFZ. Fundusz nie zapłaci im więc już za nadwykonania. A skoro tak, to nie ma już sensu przyjmować pacjentów ponad limit. Zaczęło się przesuwanie chorym terminów na kolejny rok. I wrzawa w mediach.

Z dziury w budżecie Funduszu tłumaczył się w mediach jednak tylko Szulc. Filip Nowak nie pojawiał się nigdzie. Dopiero na polecenie minister Jolanty Sobierańskiej-Grendy zorganizował briefing prasowy.

– Pacjenci w naszym kraju mogą się czuć bezpiecznie, bo mamy umowy na cały rok na realizację świadczeń – zapewnił. Niby nie skłamał. Umowy rzeczywiście są na cały rok. Tyle że zapisane w nich limity zostały dużo wcześniej przekroczone i dlatego szpitale przyjmowały tylko pacjentów w stanach nagłych.

Poprosiliśmy wówczas o wywiad z presem Nowakiem. Za czasów PiS bez zmruczenia oka godził się na szastanie pieniędzmi NFZ, więc chcieliśmy spytać o współodpowiedzialność za finansową katastrofę Funduszu. Przypominaliśmy o prośbie. Na żaden z maili nie było odpowiedzi. Podobnie jak na inne z kłopotliwymi dla prezesa pytaniami.

PiS nie atakuje, „bo on jest nasz”

Od ponad dwóch lat pytam w KO: – Dlaczego go nie odwołacie?

– To znakomity fachowiec i doskonały polityk – odpowiada Bartosz Arłukowicz, były minister zdrowia, dziś europoseł. Jeśli Donald Tusk dwukrotnie – najpierw w lipcu przy okazji rekonstrukcji rządu, a potem w grudniu na tzw. szczycie medycznym – wyraził publicznie zdecydowane poparcie dla Nowaka, to należy sądzić, że prezes NFZ zawdzięcza to w największej mierze właśnie Arłukowiczowi (który jednak ostatnio dystansuje się trochę od Nowaka, co czujny prezes zapewne zauważa i traktuje jako ostrzeżenie).

W PiS pytam, dlaczego atakują tylko Ministerstwo Zdrowia, a Filipa Nowaka nigdy.

– Bo on jest nasz – słyszę w odpowiedzi od jednego z posłów.

• O szefie NFZ Filipie Nowaku byli pracownicy resortu zdrowia mówią: „Stworzył pajęczynę, ma swoje macki wszędzie”

A więc wychodzi na to, że nadal „nasz”, choć teraz służy KO. – Nawet bardzo „nasz”, bo jak próbowałam raz czy drugi go skrytykować, to szybko zostałam „zneutralizowana” – zdradza nam posłanka PiS.

Kiedy wiosną tego roku NFZ zapowiedział cięcia w finansowaniu zabiegów usunięcia zaćmy, Janusz Cieszyński, były wiceminister zdrowia z PiS, napisał na X o Jakubie Szulcu „rzeźnik z NFZ”. On też Filipa Nowaka nie tyka. Podobnie jak Arłukowicz uważa go za świetnego fachowca. I podobnie jak on pozostaje z Filipem Nowakiem w stałym kontakcie.

– Widzi pani, ten Filip to jest taki, że jak PiS rządził, to on robił to, co chcieli tamci. A teraz robi to, co KO chce. Co do zasady przy rządzących własnego zdania nie ma. Z prostego powodu: jest za mądry na to, żeby je mieć – kwituje jeden z naszych rozmówców, dziś już poza polityką.

Ale niewyrażanie własnego zdania to jedno, a realizowanie własnej polityki w NFZ – drugie. Owszem, prezes potakuje kolejnym ministrom. Nie przeszkadza mu to dopieszczać wysokimi stawkami wybrane biznesy w zdrowiu.

Ujmujący pochlebca

Pochodzi z Dolnego Śląska. Ukończył socjologię na Uniwersytecie Wrocławskim. Pracował w należącej do KGHM Miedziowym Centrum Zdrowia, potem w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym w Legnicy. W latach 2007-09 był prezesem spółki Strzeleckie Centrum Medyczne. Ponoć bez sukcesu. Dlatego przeszedł do pracy w dolnośląskim NFZ. Szybko został zauważony. Już w 2010 r. został dyrektorem oddziału Funduszu w Opolu. Od sierpnia 2013 r. pełnił obowiązki szefa oddziału w Wielkopolsce. To trwało tylko siedem miesięcy, ale wystarczyło Nowakowi, by nawiązać w Poznaniu owocujące do dziś znajomości. Dzięki nim od 2015 r. zasiada w radzie nadzorczej należącej do miasta spółki Poznańskie Inwestycje Miejskie.

– Jest miły i uśmiechnięty. Znakomity psycholog, powiem więcej, mistrz manipulacji. Jeśli mu zależy na dobrych relacjach z kimś, mówi mu dokładnie to, co ten ktoś chce usłyszeć. Płaszczy się nawet. Większość jest tym ujęta, bo ludzie są łasi na pochlebstwa – mówi były pracownik NFZ.

Z dyrektowania w Poznaniu Nowak nie wrócił już praktycznie do Opolu. W 2014 r. ówczesny minister Bartosz Arłukowicz ściągnął go do Warszawy i powołał na szefa mazowieckiego oddziału Funduszu.

Po przejęciu w 2015 r. władzy przez PiS prezesem NFZ został Andrzej Jacyna, kiedyś działacz „Solidarności”, potem za rządów AWS dyrektor Branżowej Kasy Chorych. W PiS chcieli wtedy, żeby odwołał Nowaka z Mazowsza.

– Tak, to jest człowiek, którego ja nie odwołałem i o co do mnie koledzy z PiS mieli wielkie pretensje. Ale politycy zawsze kogoś podstawią, a on po prostu był na miejscu, bo ma bardzo dużą wiedzę o systemie i sprawnie ją wykorzystuje – mówi Andrzej Jacyna.

– Ma też umiejętności socjotechniczne. Jeżeli chodzi o przypodobanie się przełożonym, robi to doskonale – dodaje.

– A panu czym się podlizywał?

– Mnie nie musiał, bo na samym początku mu powiedziałem wprost, że mnie nie interesuje, za kogo on pracował. Ważne, że miał wyniki i na Mazowszu ogarnia sprawę – odpowiada Jacyna.

Jak Wencel z „Psów”

Niezależność Jacyny, który dzięki osobistej interwencji u Jarosława Kaczyńskiego obronił NFZ przed planowaną przez Ministerstwo Zdrowia likwidacją, drażniła premiera Mateusza Morawieckiego. Dlatego w lipcu 2018 r. na wiceprezesa NFZ zostaje powołany Adam Niedzielski, wcześniej dyrektor generalny w Ministerstwie Finansów, czyli resorcie Morawieckiego. Niedzielski to był jego człowiek.

I zupełnie inny typ niż Jacyna. Ten już wie, że powołanie Niedzielskiego to wstęp do jego odwołania. Sytuację doskonale rozpoznaje też Filip Nowak i szybko nawiązuje dobre relacje z Niedzielskim.

W lipcu 2019 r. Jacyna jest już pod taką presją, że sam ustępuje. Zgodnie z przewidywaniami jego miejsce zajmuje Niedzielski. Natychmiast powołuje Filipa Nowaka na swojego zastępcę.

Podobna sytuacja zdarza się rok później. Kiedy Łukasz Szumowski zostaje odwołany po ujawnieniu przez „Wyborczą” afery z zakupem respiratorów od handlarza bronią, ministrem zdrowia zostaje Adam Niedzielski i natychmiast awansuje Filipa Nowaka na szefa NFZ.

Niedzielski to zwolennik skrajnej centralizacji systemu. Pod tym kątem forsuje kolejne zmiany w ustawie zdrowotnej. Po ich wprowadzeniu dyrektorzy oddziałów wojewódzkich Funduszu stają się już tylko pełnomocnikami prezesa w terenie. Wszystko musią uzgadniać z centralą. Taki system jest niewydolny. Ale to mówią praktycy. Niedzielski uważa się za wybitnego teoretyka zarządzania i ich opinie ma w nosie.

Nowak nie oponuje przeciw tym zmianom.

– Widziałem to od wewnątrz. Dla Filipa nie liczy się instytucja. Jego priorytet to zadbać o swoje przetrwanie, choćby kosztem zniszczenia NFZ. W niczym się Niedzielskiemu nie przeciwstawił, bo Niedzielski żadnego sprzeciwu nie znosił. Dla Filipa liczy się trwanie – mówi jeden z naszych rozmówców.

Inny dodaje: – To cynik. Według mnie robi tylko to, w czym widzi dla siebie jakąś korzyść, doraźną albo możliwą w przyszłości.

Czy liczy się też kasa? Pensja prezesa to ok. 40 tys. zł, a więc mniej, niż mają dyrektorzy szpitali i wzięci lekarze. Do tego kilkadziesiąt tysięcy rocznej nagrody. Poza zasiadaniem w radzie nadzorczej w Poznaniu w 2020 r. No-

Były dyrektor jednego z oddziałów wojewódzkich NFZ: – Nowak to kameleon. On umie się dostosować do każdej opcji. W „Psach” Maurer mówi do Wencła: „Czas się zmieniają, ale pan zawsze jest w komi-sjach”. Filip jest właśnie takim Wenclem.

Mądrość etapu

Poparcie po obu stronach politycznej barykady buduje umiejętnie, świadcząc „usługi dla ludności”.

– Chodźli do niego posłowie z prawa i lewa i prosili o kontrakt dla tego czy innego szpitala, na przykład na tomografię. Jak widział w tym dla siebie korzyść, to potem dzwonił do tego czy innego oddziału i kazał ogłaszać konkurs. To były czasem drobiazgi. Sedno w tym, że wcale nie patrzył, czy w przyszłości Koziej Wólce naprawdę tego tomografu potrzebują – mówi inny były dyrektor w Funduszu.

Jednak Filip Nowak przede wszystkim wsłuchuje się uważnie w to, czego chcą kolejni ministrowie. Kiedy jesienią 2022 r. rząd – bez konsultacji społecznych, wrzutką do ustawy o zawodzie lekarza – postanowił pozabawić NFZ w kolejnym roku 13 mld zł z puli na leczenie, Filip Nowak też nie stawiał oporu. Podczas posiedzenia komisji zdrowia w Senacie mówił tak, jakby Fundusz tych pieniędzy w ogóle nie potrzebował.

– Jesteśmy organizacją sprawną i z dużą elastycznością. Wzrost planu finansowego będzie w stanie udźwignąć nowe zadania – zapewniał.

– Jeżeli mam mieć o coś do niego pretensje, to właśnie o to, że nie postawił się w tamtej sytuacji, a doskonale wiedział, czym to się skończy – mówi Andrzej Jacyna.

Filip Nowak nie bronił też pieniędzy Funduszu, kiedy PiS znosił limity na porady specjalistyczne. Dla ekspertów było od początku jasne, że koleżki wcale się nie skrócą. Proste uwol-

znańskich przychodni Niedzielski chciał na oczach fotoreporterów przyjąć trzecią dawkę szczepionki przeciw COVID-19. Ale przyszedł w garniturze. Pokazywać się z nagim torsem? Co to, to nie! Filip Nowak pożyczył ministrowi koszulkę w ciapki, a „Fakt” ogłosił następnego dnia: „Niedzielski założył cudzą koszulkę!”.

Kiedy na liście 100 najbardziej wpływowych osób w zdrowiu ogłaszanej przez „Puls Medycyny” pierwsze miejsce zajął wiceminister od leków Maciej Milkowski, a Niedzielski był dopiero piąty, to się obraził. Przewodny prezes NFZ kazał podwładnym sprawdzić u organizatorów, czy aby i on nie wyprzedził Niedzielskiego. Okazało się, że i owszem, więc nie przyszedł na galę, żeby nie urazić ministra. W tym roku w ogóle zabronił organizatorom umieszczania swojego nazwiska na liście. Powód: Bartosz Arłukowicz ma ten i podobne rankingi w pogardzie.

Czy organizator systemu może organizować system

Uklonem w stronę Arłukowicza był także temat pracy doktorskiej obronionej 11 października 2023 r. Tytuł: „Wpływ wprowadzenia 'pakietu onkologicznego' na realizację procesu leczenia”. Pakiet wprowadzał jako minister właśnie Bartosz Arłukowicz.

Promotorką doktoratu Filipa Nowaka była prof. Monika Urbaniak, prawniczka z Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. Tak się złożyło, że w trakcie przewodu doktorskiego prof. Urbaniak została członkinią Rady Przejrzystości działającej przy Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji.

Ze streszczenia dostępnego w Internecie można było się dowiedzieć, że autor doktoratu analizował, „czy organizator systemu ochrony zdrowia może efektywnie zmieniać sposób organizacji opieki nad pacjentem” i czy NFZ, „tworząc mechanizmy rozliczenio-

„Jest miły i uśmiechnięty. Znakomity psycholog, powiem więcej, mistrz manipulacji. Jeśli mu zależy na dobrych relacjach z kimś, mówi mu dokładnie to, co ten ktoś chce usłyszeć. Płaszczy się nawet”

wak był też przez kilka lat członkiem rady nadzorczej spółki PMT Linie Kolejowe należącej do KGHM. Od 2022 r. jest członkiem rady nadzorczej Powszechnego Towarzystwa Emerytalnego PZU. Do tego wspomniane stanowisko przewodniczącego Rady ds. Taryfikacji przy Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji (AOTMiT), które pełnił od 2015 r. nieprzerwanie przez 11 lat. Wynagrodzenie nie jest złe. Za jedno posiedzenie – 3 tys. zł, maksymalnie 10,5 tys. zł miesięcznie.

Razem „co nieco” się ueziera, ale na wysokim stanowisku w korporacji można mieć więcej. Nie chodzi więc tylko o pieniądze, ile o władzę nad nimi. Budżet NFZ to teraz prawie 250 mld zł. Dlatego tak kluczowe było przez lata przewodniczenie Radzie ds. Taryfikacji. To ona czuwa nad kształtowaniem stawek za leczenie, które potem płaci szpitalom NFZ.

Oczywiście Filip Nowak jako najpierw dyrektor w Funduszu, potem jego wiceprezes, wreszcie prezes NFZ, miał konflikt interesów. Nie przeszkadzało to kolejnym ministrom, niezależnie od opcji. Z rady odwołała go dopiero kilka tygodni temu Jolanta Sobierańska-Grenda. Nadal jednak zasiada w niej Anna Miszczak, dyrektorka departamentu świadczeń opieki zdrowotnej w centrali Funduszu i jedna z najbardziej zaufanych współpracowniczek prezesa Nowaka.

nienie limitów bez żadnych „bezpieczników” doprowadzi do szutcznego mnożenia porad, bo – jak ujął to później jeden z wiceministrów – „my, lekarze, także lubimy pieniążki”.

Była też rujnująca dla finansów NFZ i szpitali powiatowych nowelizacja tzw. ustawy podwyżkowej, która gwarantuje pracownikom szpitali coroczny wzrost pensji 1 lipca. Takiej nowelizacji chciał Niedzielski. Nowak i tym razem nie oponował. – Wiedział, jakie będą skutki, bo za dobrze zna system, by tego nie przewidzieć – mówi senator Wojciech Konieczny.

Filip Nowak krytykuje podwyżki dopiero od momentu, kiedy resort zdrowia objęła krytyczna wobec ustawy Jolanta Sobierańska-Grenda. – To się nazywa mądrość etapu – ironizuje senator.

Koszulka prezesa ofiarne osłania tors ministra

Jak pomocny i usługowy potrafi być Filip Nowak, pokazała kampania przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi. Adam Niedzielski postanowił w nich wystartować. Liczył na jedynkę na liście w Pile, czyli w Wielkopolsce. Już od jesieni 2022 r. pojawiał się w regionie niemal co tydzień. Życzliwą pomoc organizował Nowak. Ułatwiał kontakty w regionie, załatwiał eventy w poradniach i szpitalach.

Zamanifestował przy tym niezwykłą „ofiarności”. W październiku 2022 r. w jednej z po-

we, może doprowadzić do korzystnej dla pacjentów organizacji świadczeń”.

– To ciekawe, że ktoś analizuje, czy jako organizator może mieć wpływ na organizację. I czy jak coś będzie chciał zmienić, to to coś się zmieni – śmiał jeden z ekspertów, kiedy pierwszy raz pisaliśmy o doktoracie prezesa NFZ.

Recenzenci nie mieli jednak wątpliwości, że praca jest bardzo wartościowa. Jedną z recenzji napisał dr hab. Przemysław Bieliński, profesor Akademii Kaliskiej, która, mimo braku akredytacji, otworzyła w tamtym czasie studia na kierunku lekarskim. Autorką drugiej była prof. Beata Jagielska. Pochwaliła doktoranta za to, że „praca łącznie liczy 214 stron, jest podzielona na 6 rozdziałów, zawiera 14 rycin, 24 tabele i 49 starannie przygotowanych wykresów oraz wyczerpujący wykaz skrótów”. Napisała, że „istotnym walorem zaprezentowanej analizy jest podejście realistyczne i analityczne zarazem”. Zawniosowała nawet o wyróżnienie dla „dysertacji magistra Filipa Nowaka”. Kilka miesięcy później minister Izabela Leszczyna powołała prof. Jagielską na dyrektorkę Narodowego Instytutu Onkologii.

Świeży chlebek dla pani minister

Mariusz Trojanowski z Ogólnopolskiego Związku Pracodawców Szpitali Powiatowych,

byli działacz KO: – Na początku urzędowania Leszczyny mieliśmy z nią spotkanie w ministerstwie. Przyszedł Filip Nowak i ja mówię do niej: „Tutaj ma pani przed sobą człowieka, który tym wszystkim rządzi i wszystko ustawi”. Leszczyna się uśmiechnęła, a on zrobił kwaśną minę. Że nie, że on tutaj za nic nie odpowiada, to ona jest liderką.

Były pracownik MZ: – Oczywiście chętnie czuła się liderką, ale przecież zielonego pojęcia o systemie nie miała, bo nigdy wcześniej nie zajmowała się zdrowiem. Nowak szybko ją przejrzał. Wystarczyły komplementy, załatwienie posady dla męża przyjaciółki i przywożenie świeżego chleba z jakiejś rzemieślniczej piekarni. Była nim zachwycona.

Z posadą było tak, że już wchodząc w grudniu 2023 r. do resortu, Leszczyna zapowiedziała, że w zarządzie NFZ znajdzie się Marek Augustyn. To mąż jej przyjaciółki z Częstochowy Małgorzaty Puchały-Augustyn. Jego kariera w kolejnych ZOZ-ach była pasmem porażek. W Lublińcu podpisał kontrakt na 6 lat na kierowanie tamtejszym szpitalem powiatowym. Zrezygnował, a w zasadzie uciekł po kilku miesiącach, tłumacząc, że teraz chce rozwijać karierę w szpitalu „o wyższym stopniu referencyjności”.

Po zapowiedzi Leszczyny Nowak natychmiast ogłosił konkurs i już 8 lutego 2024 r. Marek Augustyn został wiceprezesem NFZ, a de facto figurantem, bo prezes Funduszu od początku nie dopuszcza go do żadnych decyzji ani nawet ważniejszych narad.

– Jest pracowity i zawsze chętny do pomocy, kiedykolwiek czegośkolwiek potrzebuję. Moim zdaniem zna się na robocie i ma wokół siebie ludzi, którzy wiedzą jeszcze więcej niż on – mówiła Izabela Leszczyna „Wyborczej” o Filipie Nowaku, jeszcze nim mąż jej przyjaciółki został wiceprezesem NFZ. Po konkursie rozwinęła już wszelkie wątpliwości: – Szefem NFZ jest prezes Filip Nowak i nie zamierzam tego zmieniać. Myślę, że współpraca układa się wzorowo.

Choć od roku Leszczyna nie kieruje już Ministerstwem Zdrowia, Marek Augustyn nadal jest wiceprezesem. – Ona mu tego nie zapomni. To jest właśnie jeden ze sposobów, w jakie Nowak gra na siebie – słyszymy w MZ.

„Ma już swoje macki wszędzie”

Marzec 2024 r. Kongres Wyzwań Zdrowotnych w Katowicach. Na scenie minister Iza-

bela Leszczyna mówi o tym, jak się jej układa współpraca z wiceministrami narzuconymi przez koalicjantów. – Każdy musi znać swoją rolę, ale ministrem jestem ja, i to ja kreuję politykę tego resortu.

Nowak przedstawiony przez prowadzącą jako lider w systemie opieki zdrowotnej z miejsca gwałtownie zaprzecza: – Narodowy Fundusz Zdrowia nie jest liderem, tylko pracuje na lidera, którym bezwzględnie, formalnie i praktycznie powinien być minister zdrowia. To tak jak w peletonie kolarskim drużyna ma lidera, na którego pracują wszyscy. My jako NFZ czujemy się właśnie taką częścią zespołu.

W rzeczywistości przy Leszczynie kontynuował to, co zaczął robić już wcześniej: obstawiał system swoimi ludźmi. Jeszcze w 2019 r. dyrektorem departamentu lecznictwa w Ministerstwie Zdrowia został Michał Dziegielewski, wcześniej zastępca Nowaka w mazowieckim oddziale NFZ. Kiedy Dziegielewski musiał odejść, zastąpił go

Maciej Karaszewski, wcześniej szef departamentu świadczeń opieki zdrowotnej w centrali NFZ.

W lutym 2023, czyli jeszcze za rządów PiS, Filip Nowak na stanowisku wiceprezesa Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji umieścił Daniela Rutkowskiego, wcześniej wicedyrektora departamentu w centrali Funduszu. Kiedy w MZ pojawiła się Leszczyna, Rutkowski awansował na prezesa AOTMiT.

I Karaszewski, i Rutkowski są absolutnie lojalni. Nie podejmują decyzji bez wiedzy swego „patrona”. Co tydzień odwiedzają więc centralę Funduszu i zdają prezesowi raport.

Nowak ma też swoich ludzi w oddziałach, na różnych szczeblach. Niby nie ma w tym nic dziwnego, bo przecież jest prezesem, ale nasi rozmówcy zwracają uwagę, że to głównie jego zaufani z Dolnego Śląska, rzadziej ludzie wskazani przez rządzącą partię.

Pochodzącą jak on z Dolnego Śląska Małgorzatę Dziedziak awansował na wiceprezesa NFZ. Kiedy musiała ustąpić miejsca Jakubowi Szulcowi, zatroszczył się o nową posadę. Teraz Dziedziak jest wicedyrektorką w Narodowym Instytucie Zdrowia Publicznego.

Inny przykład: Paweł Kurzak. Wiosną 2024 r. Izabela Leszczyna, która wprawdzie pozostawiła na stanowisku Nowaka, ale chciała pokazać, że „porządku” jednak robi, odwołała naraz 10 z 16 dyrektorów oddziałów wojewódzkich NFZ. Nie wszystkim prezes pozwolił „zginąć”. Kurzak, który jest kolegą Filipa Nowaka z Dolnego Śląska, już po kilku miesiącach „kwarantanny” odnalazł się na stanowisku wicedyrektora ds. służby mundurowych oddziału NFZ we Wrocławiu, a od stycznia tego roku znów jest dyrektorem – tym razem oddziału NFZ w ulubionym przez prezesa Poznaniu.

Były pracownik MZ: – Stworzył pajęczynę. Ma swoje macki wszędzie i nawet jakby

Wiele z tych stawek było przeszacowanych już wiele lat wcześniej, ale – choć Nowak to widział – korekty nie było. Przeciwnie, niektóre wysokie stawki nadal były podnoszone.

Szczególną okazję dała nowelizacja ustawy podwyżkowej. Dyrektorzy szpitali sami nie chcieli już, żeby NFZ płacił im osobno na podwyżki, a osobno za leczenie. Chcieli podniesienia stawek za leczenie i jednego strumienia pieniędzy, z którego wygospodarują potem pieniądze na podwyżki. Część szybko tego pożałowała.

Tłumacząc w bardzo dużym uproszczeniu, jeśli o 15 proc. rośnie stawka za świadczenie, za które dotąd NFZ płacił 10 tys. zł, to szpital dostaje 1,5 tys. zł więcej. Ale jeśli świadczenie wycenione jest na 100 tys. zł, szpital będzie miał 15 tys. zł więcej.

To jest właśnie powód, dla którego dyrektor szpitala w Kaliszu, kiedy w zeszłym roku wyszło na jaw, że kilku lekarzy zarabia u niego po 200 tys. zł na miesiąc, a jeden nawet więcej, tłumaczył, że jego placówce i tak się

to opłaca.

To jest powód, dla którego każdy szpital chce mieć teraz robota do operacji prostaty, a obsługujący roboty chirurdzy są lekarzami „na walizkach”. Owszem, w zeszłym roku stawka za operacje robotyczne została obniżona, ale zdaniem ekspertów była obniżka o kilkanaście procent jest „kosmetyczna” i bo om na roboty nadal trwa, co najbardziej cieszy ich producentów. To wreszcie powód, dla którego w tak trudnej sytuacji znajdują się szpitale powiatowe.

Mariusz Trojanowski: – Od razu w lipcu 2022 r., jak żeśmy sobie policzyli, to wyszło, że jedno szpital dostaje po kilka procent większe kontrakty, a inne po dwadzieścia kilka. Niedzielski cały czas się upierał, że wszystko jest dobrze policzone przez AOTMiT. Dopiero jak podnieśliśmy larum i się z nami spotkał, to przejrzał na oczy i przyznał, że jednak nam, powiatowym, jest trudniej.

„Nowak szybko ją przejrzał. Wystarczyły komplementy, załatwienie posady dla męża przyjaciółki i przywożenie świeżego chleba z rzemieślniczej piekarni”

spadł z tego konia, to nadal będzie pociągać za sznurki, dopóki nie odwoła się tych ludzi, których porozstawiał w systemie.

Kiedy prezes kwaśno się uśmiecha

Wojciech Konieczny: – Przed spotkaniami w ministerstwie zawsze stawał gdzieś z boku i udawał zajętego, że niby w komórkę patrzy. Mówilem wtedy: „Witam pieniądze, które przysły do ministerstwa”. Kwaśno się na to uśmiechał i udawał, że nie wie, o co chodzi.

NFZ dysponuje dziś budżetem dwuipółkrotnie większym niż w roku 2020, kiedy Filip Nowak zajął stanowisko prezesa. Mimo narastających trudności finansowych taka masa pieniędzy daje duże pole manewru. Zwłaszcza kiedy – przypomnijmy – stawki za leczenie ustala Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji, na której czele stoi człowiek prezesa.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414014



KSIĄŻKOWY
KLUB
KSIĄŻKI

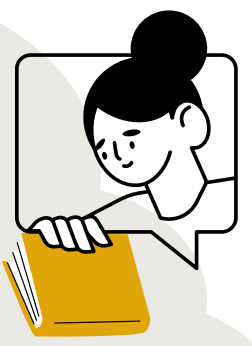
Szukasz miejsca,
gdzie można swobodnie
porozmawiać o książkach?

ZAPISZ SIĘ NA
wyborcza.pl/klubksiazki

Pierwsze spotkanie już
22 lipca, o godz. 19.00.

Porozmawiamy o książce Petera Pomerantseva,
„Propagandysta, który przechrztył Hitlera.
Jak wygrać wojnę informacyjną”

SPONSOR
 **Czytnix**



Nowak został wtedy zmuszony do przyznania szpitalom powiatowym dodatkowych pieniędzy. W zeszłym roku było to niecałe 700 mln zł. W tym roku z powodu dziury w budżecie NFZ te pieniądze mają im zostać odebrane.

Prezes, który nie ma ze sobą nic wspólnego

Dziura nie jest za to wcale przeszkodą do przepłacania za tzw. opiekę koordynowaną w poradniach POZ. NFZ przeznaczył na nią w zeszłym roku ok. 1 mld zł. Za te pieniądze pacjenci mieli rzadziej chodzić do wybranych specjalistów. Ale wcale rzadziej nie chodzą. Analiza przeprowadzona w Ministerstwie Zdrowia pokazała, że aż 67 proc. pacjentów odsyłanych do poradni pulmonologicznej – mimo że ich POZ ma kontrakt na opiekę koordynowaną – ma w niej procedury możliwe do zrobienia w POZ. Paradoksalnie w przypadku poradni, które nie mają kontraktu na opiekę koordynowaną, odsetek ten jest niższy i wynosi „tylko” 60 proc.

Z jakichś powodów wyniki analizy efektów opieki koordynowanej do dziś nie zostały opublikowane, choć o to dopytywaliśmy. Czyżby dlatego, że prof. Agnieszka Mastalerz-Migas, od sześciu lat konsultant krajowa w dziedzinie medycyny rodzinnej, jest znajomą prezesa NFZ z Wrocławia?

Jeszcze więcej niż opieka koordynowana – bo ok. 1,5 mld zł rocznie – ma kosztować NFZ program Moje Zdrowie realizowany także w poradniach POZ. Wszystkie się wprost do tego rzuciły, bo badania i porady są w nim celowo przepłacone, co wynika wprost z dokumentów AOTMiT, i można zarobić po kilkaset złotych na pacjencie.

Pod koniec zeszłego roku zapytaliśmy, dlaczego NFZ – w tym prezes Nowak jako szef Rady Taryfikacji przy AOTMiT – toleruje

przeplacanie za Moje Zdrowie. „Wycenę programu zrealizowała AOTMiT” – odpowiedział nam rzecznik Funduszu, tak jakby jego prezes nie miał z radą nic wspólnego.

W stałym kontakcie z bogaczami

– Zapamiętałem jeden dosyć szczególny epizod z początków moich i Leszczyny w ministerstwie – mówi Wojciech Konieczny. – Omawialiśmy różne plany i pojawiła się uwaga, że musimy uwzględnić różne interesy, nie tylko pacjentów i publicznych szpitali, ale również przedsiębiorców, ich firm i tak dalej. I wtedy prezes Nowak powiedział, że on jest w stałym kontakcie z tymi najbogatszymi, bo jest na Messengerze w grupie z dwustoma najbogatszymi Polakami. Jako człowiek lewicy pomyślałem sobie wtedy, że wolalbym, żeby miał stały kontakt z dyrektorami najbardziej zadłużonych szpitali, a nie z tymi krezusami.

Beneficjentami polityki Filipa Nowaka są nie tylko największe szpitale specjalistyczne, ale też wielkie prywatne sieci: Medcover, Luxmed i AHP, czyli American Heart of Poland. Nie przypadkiem gośćmi najważniejszego panelu o zdrowiu na Europejskim Kongresie Gospodarczym w Katowicach obok Filipa Nowaka i minister Jolanty Sobierańskiej-Grendy byli właśnie prezesi tych trzech firm.

To właśnie z powodu takich zdarzeń w branży coraz częściej pojawiają się pogłoski, że długofalowym celem polityki NFZ jest dalsze pogarszanie kondycji szpitali powiatowych. Nie wszystkie znikną, wielkie sieci, chcąc się dalej „rozpychać” w systemie, chętnie je przejmą.

Nie przypadkiem w zespole powołanym przy Rzeczniku Praw Pacjenta, który ma się zająć złagodzeniem niektórych wymogów dla szpitali, znalazł się ekspert z Grupy Luxmed,

a nie zaproszono nikogo z Ogólnopolskiego Związku Pracodawców Szpitali Powiatowych. Ale nie ma się co dziwić, skoro związek przesowi podpadł, bo za bardzo się awanturował o pieniądze.

A było tak: 30 lipca zeszłego roku OZPSP mieli się spotkać z Sobierańską-Grendą, kilka dni wcześniej powołaną na ministra zdrowia. W spotkaniu miał też uczestniczyć Nowak. By więcej ugrać, dzień przed spotkaniem związek ogłosił na Facebooku i platformie X, że rekomenduje szpitalom powiatowym niepodpisywanie aneksów do umów z NFZ, bo pieniądze, jakie im w tych aneksach Fundusz przyznał na leczenie, są za małe. Wpis pojawił się akurat w momencie, kiedy prezes Nowak i wiceprezes Szulc rozmawiali w KPRM z premierem Tuskiem i zapewniali go, że szpitale powiatowe zgodziły się na aneksy, a sytuacja z podwyżkami jest opanowana.

Następnego dnia na spotkaniu w ministerstwie Nowak nawet nie przywitał się z zarządem OZPSP i opuścił spotkanie zaraz po tym, jak zrobiła to Sobierańska-Grenda.

Były pracownik centrali NFZ: – Kiedy jest na kogoś zły, to stosuje metodę cichych dni. Mową ciała, całym zachowaniem daje do zrozumienia, że jest się persona non grata. Nie podchodzi, nie wita się albo tylko pozoruje powitanie. Pokazuje otoczeniu, że ten ktoś nic nie znaczy.

Można się zrehabilitować i wrócić do łask, ale ludziom z otoczenia prezesa chodzi przede wszystkim o to by nigdy z nich nie wypaść. Są bezwzględnie lojalni. Kiedy pytam, czy nie widzą, że prezes jest wyrachowany i gra tylko na siebie, słyszę powiedziane z wyrzutem „złą kobietą jesteś” i jeszcze, że „mam klapki na oczach”

„Trzeba umieć czytać grę”

Latem 2024 r. Izabela Leszczyna spotkała się z dyrektorami szpitali powiatowych. Powie-

dzieli jej, że ustawa podwyżkowa ich rujnuje. Odpowiedziała, że jej nie zmieni, bo nie będzie zabierała czegoś, co dał ludziom PiS. Chciała być równie dobra, o ile nie lepsza. Kilka dni wcześniej ogłosiła, że spośród trzech wariantów podwyżek wynagrodzeń wybrała najhojniejszy.

– Nowak nie mówił jej prawdy o dziurze w budżecie NFZ, wręcz kłamał na ten temat. Słusznie wyczuwał, że ona woli słuchać o tym, że na wszystkim starczy – słyszymy w ministerstwie. Dlatego w kolejnym roku Leszczyna znów wybrała „najhojniejszy” wariant podwyżek – kolejnych 18 mld zł.

Kilka tygodni później na stanowisku ministra zdrowia zastąpiła ją Jolanta Sobierańska-Grenda. Nowej minister Nowak także nie powiedział prawdy o finansach NFZ. W wywiadzie dla „Wyborczej” przyznała, że pierwsze tygodnie pracy spędziła, próbując się doliczyć, ile pieniędzy zabraknie. – Dopiero rozmowy z kilkoma instytucjami i osobami pozwoliły tę kwotę niedoboru oszacować – stwierdziła.

Prezes Funduszu szybko zorientował się, że ma do czynienia z inną osobą niż Leszczyna. I zmienił płytę. Zaczęło się mówienie o tym, że podwyżki rujnują budżet na zdrowie. Dyrektorów szpitali upomina teraz: „Trzeba umieć czytać grę”. W języku prezesa oznacza to, że powinni oczekiwać dalszych cięć w wydatkach na leczenie, a nie pieniędzy za nadwykonania.

Sam grę czyta doskonale. Ciągąca się od miesiąca afera w Szpitalu Południowym i kolejne z horrendalnymi zarobkami lekarzy i fikcyjnymi dyżurami zachwiały nieco jego pozycję. Była seria postów i artykuł o tym, że to prezes NFZ odpowiada w największym stopniu za kryzys w zdrowiu. Było życzenie Gawkowskiego. Rozeszło się po kościach. Na razie.

Wieloletni pracownik MZ śmieje się: – No widzi pani! Tak czy owak Filip Nowak... ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414016

WSPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU:
PRESJA WYGLĄDU:
PIĘKNO TO BESTIA

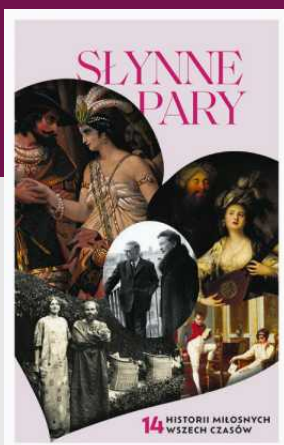
ZWIĄZKI: Pary z ADHD,
jak ze sobą wytrzymują

SEKS: Tajemnice
kobiecego orgazmu

URODA: Zdrowy mikrobiom
włosów ważniejszy niż kolor

wysokieobcasy
extra

Numer dostępny
z książkami do wyboru



W krótkich spodenkach

Nienawiść jest tania. To cecha ludzi, którzy muszą być negatywnością, bo nic pozytywnego, budującego nie mają świata do zaoferowania.



Marcin Matczak

Obrodziło nam ostatnio w takich, co to łąż, jęczą i wyobrażają sobie, że prawdziwa męskość polega na gadaniu, a nie na robieniu, zwłaszcza gadaniu podniesionym głosem. I na nadziei, że jak będziesz odpowiednio agresywny, nikt nie zauważy, że w głębi duszy jesteś złośliwym, małostkowym cwaniakiem.

Takie się nam propagują wzorce męskości w przestrzeni publicznej – jedne przez zachowanie, na przykład tego palanta z miejskiego autobusu w Bielsku-Białej, inne przez gadanie, jak to Jana Rokity o Trumpie na spotkaniu Klubu Jagiellońskiego. Wreszcie trzecie przez marne prowokacje, jak ta, którą zorganizował jakiś czas temu Karol Nawrocki, wręczając Zelenkiemu w prezencie książkę o rzezi wołyńskiej. Niby inne całkowicie te sytuacje, ale dla mnie podobne. Niby wyrośnięte chłopcy, niektóre nawet z długą brodą, a jednak chłoptasie w krótkich spodenkach, jak tak dokładnie się przypatrzeć.

Jedna postać w trzech osobach

Wspólny mianownik głębokiej niedojrzałości jest w tych trzech sytuacjach aż nadto widoczny. Wyobraźcie sobie tych trzech panów nie na niwie poważnego życia publicznego, ale na przerwie w szkole podstawowej. To jedna postać w trzech osobach.

Jej pierwszą cechą jest sadyzm, ale taki, który spotyka się u chłopców wyrwywających musze nogi. Są odważni, jak ten z autobusu, bo mucha im nic nie robi. Silniejszego od siebie by nie zaczęli, ale jak ktoś słabszy, a najlepiej dziecko, to nagle w nich dusza „żołnierza wyklętego” się odzywa i o wolną Polskę będą z groźną grupą dwóch jedenastolatek walczyć.

Druga cecha to podziw dla sadyzmu. Obok tego, co nogi bohaterko owadom wyrwywa, stoi drugi, który odwagę wyrwywającego podziwia i głośno chwali. Jak Rokita, który bez drgnięcia powieki mówi, że świat potrzebował takiego męża stanu jak Trump. Porównuje go do Aleksandra Macedońskiego, bo jakoby Trump potrafił przymusić świat do tego, by robot, co on chce.

Jasne. Trump przymusił świat, na przykład Iran, do tego, żeby coś konkretnego zrobił, tak jak ten bohater z autobusu przymusił dziewczynki, żeby wróciły na Ukrainę. Na razie sam jest bliższy deportacji, bo ma postępowanie karne i tylko polskie obywatelstwo przed wywaleniem z kraju go chroni (a nie powinno, chyba że uznamy chamstwo za naszą cechę narodową). Ale Rokita, który w polityce, jak wiadomo, osiągnął wiele, bo prawie został premierem, widzi w tym małostkowym człowieku zza oceanu wzór cnót wszelakich. Może dlatego, że myli mu się sprawczość z rekompensowanym beczelnością kompleksem niższości.

Cena nienawiści

I trzeci uczestnik tej szkolnej, chłopięcej przegrody: nasz prezydent, który lubi sobie zorganizować sytuację, w której ktoś pozwija się trochę ze wstydu, zakłopotania albo poczucia winy. Nie na miejscu byłoby porównywać Zelenkiego do torturowanej muchy, ale Nawrocki w tych kategoriach wymyślił sobie ich spotkanie. Wyobraźcie sobie, co trzeba mieć w głowie, żeby zaprosić do siebie gościa, a następnie pokazywać mu zdjęcia ze zbrodni, którą urządzili jego dziadowie. W swojej łaskawości dał Ukraincowi tylko książkę o Wołyniu, a mógł przecież zaprosić na seans z pokazem polskich zwłok bezczeszczonych przez UPA. Dlaczego nie? Przecież to prawda! I to taka, która nie stety nikogo nie wyzwoli, bo jest narzędziem niszczenia relacji, a nie jej budowania.

Nienawiść jest tania. To cecha ludzi, którzy muszą być negatywnością, bo nic pozytywnego, budującego nie mają świata do zaoferowania. Facet z Bielska-Białej i inni bohaterowie tego felietonu muszą się definiować przez to, czym nie chcą być. Nie chcą być jak wróg ojczyzny, nie chcą być jak imigrant, którego nienawidzą, nie chcą wreszcie być słabi, dlatego udają silnych. Mówią o sobie „patrioci”, ale definiują ten patriotyzm nie przez miłość do czegoś, ale przez nienawiść do kogoś. To tak, jakby miłośnik kotów definiował się przez nienawiść do psów.

Podziwianie nienawiści to z kolei perwersja. Rokita wychwalający Trumpa każe nam wierzyć, że wielki jest człowiek, który kłamie kilkanaście razy dziennie, publicznie się chwali, że jego rodzina korzysta z poufnych informacji, żeby wzbogacić się na amerykańskiej giełdzie, i mówi, że nie zależy mu na zwyczajnych Amerykanach, którzy nie mogą związać końca z końcem z powodu jego idiotycznych zabaw z płami. To podziw, który klasowy kujon ma dla klasowego łobuza – taki odważny, taki silny i takie ma mięśnie! I tortnister potrafi kolede wyrzucić przez okno!

I jest wreszcie organizowanie poniżenia. Nawrocki to uwielbia, pławi się w tym. Jakis czas temu naigrywał się z sędziów TK, którym nielegalnie odmówił ślubowania. „Ci sędziowie to jakieś raptusy!” – mówił. „Generalowie czekają, szefowie służb czekają, cała Polska czeka na prezydenta, a oni nie mogą!”. Ciekawe, czy z lubością patrzył na twarz Zelenskigo, kiedy podawał mu ten album o polskich ofiarach Wołynia. Czy po zakończeniu spotkania klepał się po plecach ze swoimi doradcami. „Widzieliście jego minę?!” „Ale mu dałem popalić, co nie?!”. Czerwona kartka

Żyjemy w jakimś matriksie. Jacyś dziwni ludzie wymachują plastikową szabelką albo różańcem na granicy, inni im kibicują, pohukując „śmierć wrogom ojczyzny”, a na końcu tym wrogiem okazują się ukraińskie dzieci w autobusie albo wychudzony imigrant, którego atakuje brzuchem Dominik Tarczyński. I jeszcze wstawia o tym film na Instagram. Ale przy każdym spotkaniu z silniejszym ci bohaterowie od siedmiu boleści krzyczą: „Niemcy mnie biją!”, jak ułan Bąkiewicz w Berlinie czy admirałor Trumpa kiedyś w samolocie wrogiem Luftansy.

Ale w komentarzach na prawicowych portalach wszystkiemu winni są prowokatorzy. „Gdzie jest cały film z Bielska-Białej?” – pytają. Ktoś musiał tego autobusowego Polaka sprowokować! „Przecież gdyby nie Niemcy, nie byłoby Jedwabnego!” – wtóruje szukaniu winnych naszej nikczemności prezydent. Tylko Rokita niesprowokowany podziwia człowieka, który jest w stanie załatwić cofnięcie czerwonej kartki swojej drużynie narodowej.

A może by pokazać taką kartkę tym chłoptasom w krótkich spodenkach? Ale tak, żeby nie dało się jej cofnąć? ●

Shrek

Prezydenta Nawrockiego można widocznie porównywać wyłącznie do księcia z bajki (byle nie z bajki o Shreku, bo tam do dyspozycji jest tylko lord Farquaad), najlepiej o śpiącej królewnie.



Michał Rusinek

W 2013 roku doszło do spotkania Xi Jinpinga, sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Chin, z ówczesnym prezydentem Stanów Zjednoczonych Barackiem Obamą. Zdjęcie spacerujących polityków skojarzyło się internautom z disneyowskim Kubusiem Puchatkiem spacerującym z Tygrysiem. Pomysł okazał się rozwojowy, bo szybko premiera Japonii Shinzo Abe porównano do Klapouchego, a Rodriga Duterte do Prosiaczka.

Władze Chin wykazały się dość przewidywalnym brakiem poczucia humoru i zaczęły blokować możliwość publikowania w mediach społecznościowych wszelkich odniesień do postaci z książek i filmów o Kubusiu Puchatku. W 2018 roku zakazano w Chinach pokazywania filmu „Christopher Robin”, z obawy o alegoryczną interpretację pojawiających się w nim postaci i wykorzystywanie go do wyśmiewania towarzysza sekretarza generalnego. Z szanghajskiego Disneylandu usunięto imię Kubusia Puchatka (Winnie) i zaczęto go nazywać „Pooh Pooh Bear”, czyli Pu-puchatkiem. Czyli zupełnie innym Puchatkiem.

W 2017 roku chiński pisarz, dysydent, laureat Pokojowej Nagrody Nobla za walkę o prawa człowieka w Chinach Liu Xiaobo, zamieścił w mediach społecznościowych fotografię z kubkiem przedstawiającym Kubusia Puchatka. Była to jego ostatnia fotografia, zrobiona w szpitalu. Niedługo potem Liu zmarł na raka wątroby. Fotografia była aktem sprzeciwu wobec polityki Chin. Na zdjęciu widać także żonę pisarza, Liu Xia, po której – po śmierci męża – słuch zaginął.

Historia ta mogła być znana Andrzejowi Gawlikowskiemu, członkowi stowarzyszenia OdNowa z Radomska, ścisłe związanego ze Zjednoczoną Prawicą. Złożył on zawiadomienie do prokuratury o możliwości znieważenia prezydenta oraz pierwszej damy. Chodzi o wpis opublikowany w mediach społecznościowych przez lokalnego radnego PSL Wojciecha Ślusarczyka w sierpniu 2025 roku. Była to grafika przedstawiająca Martę Nawrocką stylizowaną na księżniczkę Fionę i podpis: „Pierwsza dama Polski. A Shrek gdzie?”.

Prawnicy uważają sprawę za kuriozalną. Konrad Siemaszko z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka powiedział na antenie radia TOK FM, że dotychczasowe przypadki ścigania za znieważenie głowy państwa „bardziej naraża-

ją na śmieszność majestat państwa niż go chronią”. Spójrzmy jednak na sprawę oczami miłośników animowanych bajek dla dzieci. O ile Kubuś Puchatek jest wprawdzie postacią wzbudzącą ciepłe uczucia, ale jednak zarazem jest misiem o małym rozumku, o tyle Shrek nie jest może szczególnie urodziwy, ale uosabia same dobre i szlachetne cechy charakteru.

Oburzenie Gawlikowskiego wzięło się więc prawdopodobnie stąd, że postrzega on Karola Nawrockiego jako mężczyznę pięknego, więc porównanie go do zielonego ogra wydało mu się uwłaczające i podpadające pod art. 135, par. 2 Kodeksu karnego. Prezydenta Nawrockiego można widocznie porównywać wyłącznie do księcia z bajki (byle nie z bajki o Shreku, bo tam do dyspozycji jest tylko lord Farquaad), najlepiej o śpiącej królewnie. Aczkolwiek takie porównanie mogłoby być przez kogoś odebrane jako uwłaczające dla pierwszej damy. Jesteśmy jednak przekonani, że Andrzej Gawlikowski znalazłby taką postać, która by nikomu nie uwłaczała. I byłaby to postać nie tylko szlachetna, ale i piękna.

Być może pan Gawlikowski jest zbyt młody, żeby pamiętać „Polskie zoo”, program satyryczny Marcina Wołoskiego emitowany w czasie największej oglądalności w TVP, w którym kukielki zwierząt reprezentowały rodzimych polityków. Ale już przecież nie tak dawno temu jeden z plotkarskich portali opublikował galerię polskich polityków, którzy wyglądają jak postaci z kresłówek i bajek dla dzieci. Jest tam Jarosław Kaczyński jako Carl Fredericksen z „Odłotu”, Piotr Gliński jako zrzędlawy Statler z Muppetów, Antoni Macierewicz jako Jafar z disneyowskiej wersji „Alladyna”, Ryszard Kalisz jako Peter Griffin z serialu „Family Guy”, Marian Kowalski jako Popeye, Michał Kamiński jako wujek Fester z „Rodziny Addamsów”, czy Stanisław Piotrowicz jako szpieg z Krainy Deszczowców z „Przygód Baltazara Gąbki”. Zawiadomień do prokuratury wówczas żadnych nie było, mimo że ówczesny prezydent Bronisław Komorowski został przedstawiony jako Pan Ziemiak z „Toy Story”. Wyjątkowo mało urodziwy.

Cóż, wszyscy zapewne marzymy, żeby się nam żyło, jak w bajce. Ponieważ jest to marzenie z gatunku utopijnych, niech nam przynajmniej wolno będzie porównać sobie tych, którzy nami rządzą, do bajkowych postaci. Nie wszyscy natomiast mamy poczucie humoru. Czy ma je pan prezydent – zobaczymy. Na pewno nie mają go chińskie władze. Wiemy też, że nie ma go pan Gawlikowski. Powinien on jednak mieć świadomość, że w bajkach, animacjach i programach satyrycznych aż roi się od takich postaci, jak on.

Może się więc spodziewać, że swoim zawiadomieniem do prokuratury nie tylko ośmieszy głowę państwa bardziej niż radny Ślusarczyk, ale i narazi się na porównanie np. z orłem Samem z Muppet Show, samozwańczym cenzorem, sztywnym i zrzędlawym, który ciągle narzeka na „dziwaków” i jest parodią złe pojmowanego patriotyzmu. ●



W cieniu upałów

Blisko 40 stopni już nawet w Wielkiej Brytanii i Danii – a upał zabija mniej ludzi niż jeszcze parę lat temu.

Kamil Fejfer

Lkna mam od południowego zachodu. Są duże, co generalnie jest zaletą. Dzięki temu mieszkanie jest naprawdę świetliste. Żeby nie było – żaden to apartamentowiec dla wyższej klasy średniej. Zwykły galeriowiec z lat 60.

To jednak, co jest jego plusem podczas większości roku, staje się koszmarem w upalne dni. Podczas ostatniej fali okleiliśmy okna medycznym kocem termoizolacyjnym, a przenośny klimatyzator oraz wentylator były włączone non stop przez trzy dni.

Dzięki zamknięciu sypialni, kiedy na zewnątrz z nieba lał się żar – około 40 stopni Celsjusza – w domu mieliśmy „przyjemne” 32-33 stopnie. Ale w sypialni – duże okna na południowy zachód – było dobrze ponad 50.

W takich temperaturach męczą się nawet osoby relatywnie młode i zdrowe. Dla ludzi starszych lub mających kłopot z układem krążenia takie temperatury to nie tylko uciążliwość, to piekło grożące śmiercią.

Podobne zjawiska będą zdarzać się coraz częściej. Od afrykańskich temperatur nie ma ucieczki. Musimy się po prostu przygotować na nadchodzące wyzwania. Co więc możemy zrobić?

Lipiec, zimno, pada deszcz, polskie lato, nie ma żadnego globalnego ocieplenia?

Po koniec czerwca w polskich serwisach społecznościowych zaroilo się od komentarzy, że „kiedy jest lato, to musi być ciepło”. W ostatnie deszczowe i chłodne dni denialiśmy klimatyczni (chciałem zastąpić ten niezgrabny i abstrakcyjny termin słówkiem „klimatosceptycy”, ale

nie znają go ani Google, ani ChatGPT, więc zaszkodziłbym obiegiowi tego tekstu) wręcz triumfowali: lipiec, zimno i mokro, czyli polskie lato jak zawsze, więc to globalne ocieplenie to chwilowa anomalia, a nie żadna norma.

A tak w ogóle, to z dzieciństwa pamiętają, że podobne zjawiska były normą i nikt nie podnosił larum.

Tylko że to nieprawda.

Czerwiec nie jest w naszym regionie geograficznym najcieplejszym miesiącem w roku. Jest nim lipiec, a drugim – sierpień. To wtedy średnie miesięczne temperatury są najwyższe. Najwyższe jest też prawdopodobieństwo największych fal upałów.

„W oficjalnej sieci pomiarowej IMGW-PIB Słubice osiągnęły 40,5 stopni Celsjusza i jest to nie tylko nowy rekord temperatury czerwca, ale też najwyższa wartość temperatury w Polsce w historii powojennych pomiarów instrumentalnych” – czytamy na stronie Naukaoklimacie.pl.

Tak wysokie temperatury nie oszczędziły nawet sportowców. Podczas Poland Bike Marathonu zorganizowanego w Markach w niedzielę 28 czerwca prawdopodobnie właśnie na skutek upału życie straciło dwóch doświadczonych, wytrenowanych kolarzy – 30-latek oraz 71-latek.

Jeżeli ktoś twierdzi, że „pamięta” z dzieciństwa takie temperatury, to oznacza, że umysł płata mu figle.

To zresztą nauczka dla nas wszystkich, aby nie pokładać bezwarunkowej ufności w swoje zmysły. A już na pewno nie w pamięć.

Rekordy były bite nie tylko w Polsce. Według działającej pod egidą ONZ Światowej Organizacji Meteorologicznej (World Meteorological Organization – WMO) najwyższe temperatury dla czerwca odnotowano w Niemczech (41,7 stopni), na Węgrzech (40,7), w Austrii (40), w Wielkiej Brytanii (37,3). W chłodnej, wietrz-

nej Danii termometry wskazały najwyższą temperaturę w historii – 37 stopni. Skala upałów w tym miesiącu była – jak widać – bezprecedensowa.

Dzięki pracy naukowców skupionych wokół projektu World Weather Attribution wiemy, że ostatnia fala gorąca była, no cóż: wynikiem zmian klimatu.

Dzięki skrupulatnej analizie przeszłych warunków pogodowych badacze mogą przypisać prawdopodobieństwo wystąpienia konkretnych zjawisk atmosferycznych w określonym regionie. Z ich analiz wynika, że pół wieku temu typowa czerwcową fala upałów była o 3,5 stopnia niższa niż obecnie.

Jak informuje portal Naukawpolsce.pl, takie „temperatury występujące [w Europie Zachodniej i Środkowej] w ciągu kolejnych trzech dni występowały rzadziej niż raz na 10 tysięcy lat”.

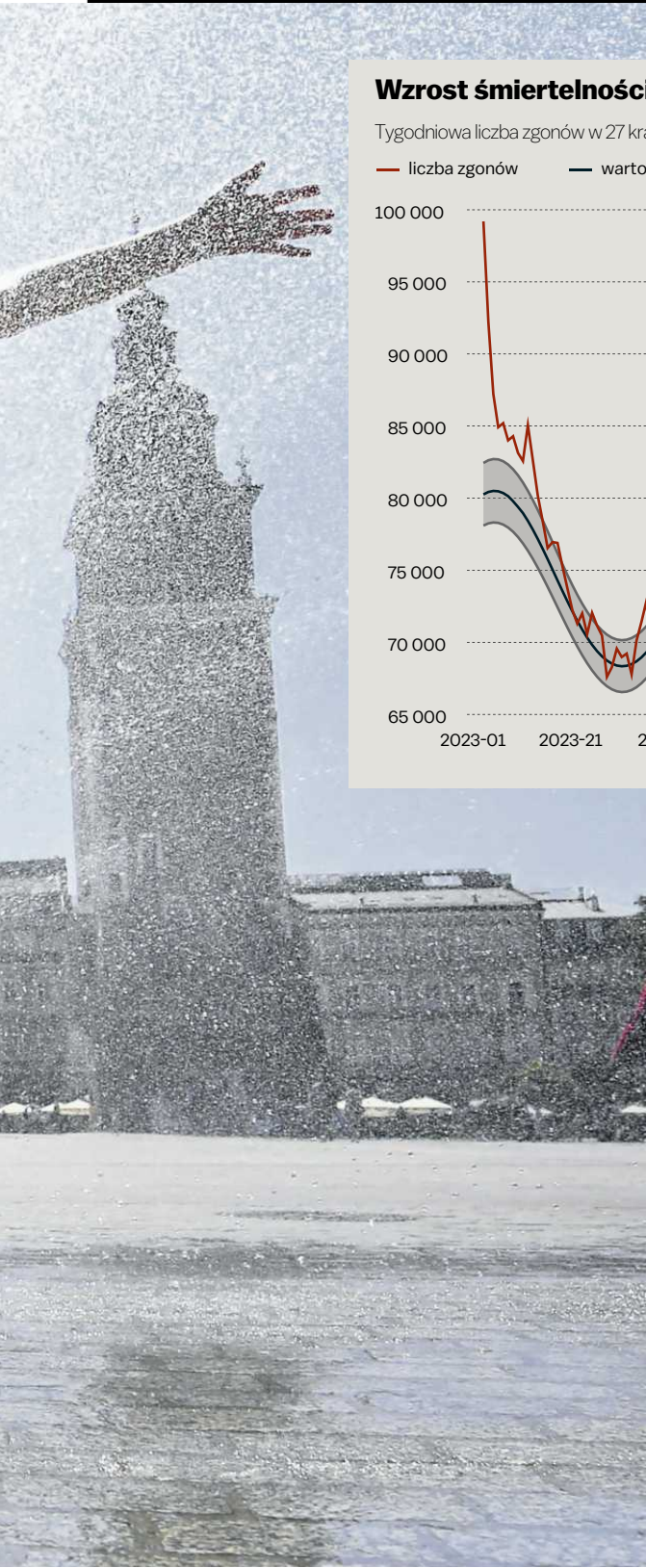
Niewydolność krążeniowa, serce. Śmiertelne (dosłownie) upały

W wyniku wysokich temperatur zmarło tysiące osób. Ile dokładnie? Trudno precyzyjnie ustalić. Natrafiamy bowiem na dwa problemy.

Pierwszy to szybkość gromadzenia danych i raportowania – zanim do instytucji zajmujących się statystyką publiczną spłyną wszystkie informacje, miną tygodnie, a może miesiące.

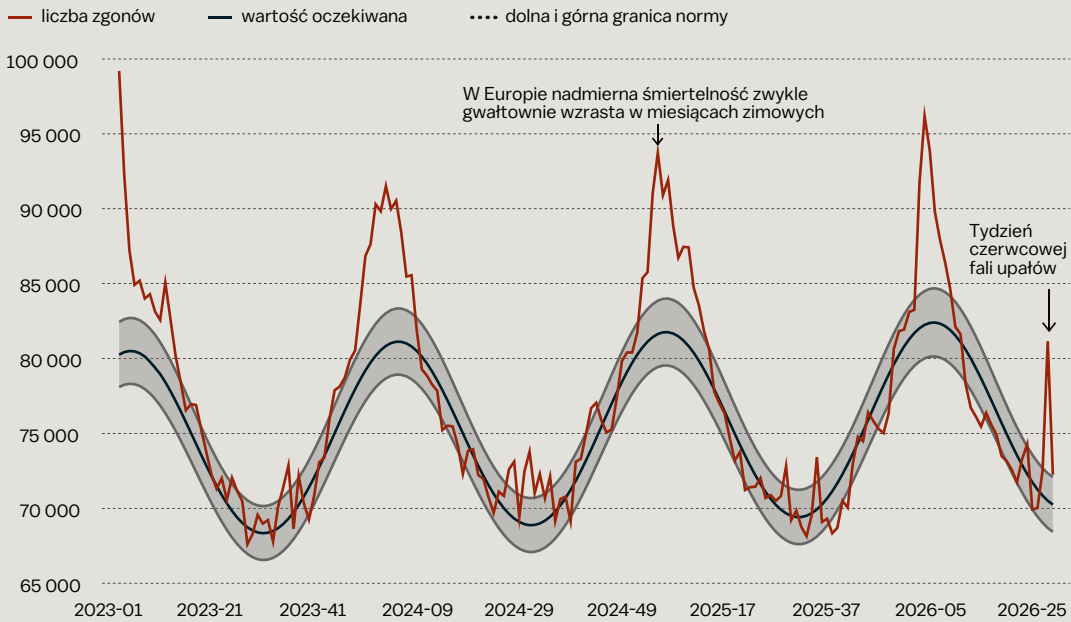
Drugi to fakt, że w dokumentach zgonu rzadko wpisuje się „upał”.

Bardzo często w takich sytuacjach jako bezpośrednią przyczynę śmierci wpisuje się „niewydolność krążeniową” lub „zatrzymanie krążenia”. Jako przyczynę wtórną podaje się chorobę, na którą cierpiał pacjent, na przykład niewydolność serca. A przecież na utratę życia z powodu upału najbardziej narażone są osoby albo starsze, al-



Wzrost śmiertelności w Europie podczas fal upałów

Tygodniowa liczba zgonów w 27 krajach europejskich w porównaniu z oczekiwanym poziomem i zakresem normy



15

TYS. OFIAR

– tyle pochłonęła czerwcową falę upałów w Europie wg szacunków Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu

200

TYS. OSÓB

– tyle ratują co roku systemy chłodzenia wg Międzynarodowej Agencji Energetycznej

◀ Kurtyny wodne ustawione podczas upałów ustawione na Rynku Głównym w Krakowie

FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

bo – tę frazę pamiętamy z pandemii covidu – z chorobami współwystępującymi.

Dlaczego więc rzadko wpisuje się „upał”? Ponieważ bardzo trudno jest przypisać konkretnemu zgonowi bezpośredni związek z gorącem. To trochę jak w przypadku nowotworu u osób, które wiele lat wcześniej zostały napromieniowane. Nie wiemy, czy konkretny rak u konkretnego człowieka rozwinął się z powodu przyjęcia nadmiernej dawki promieniowania. Przecież ludzie, którzy nigdy nie byli wystawieni na podwyższone dawki, również zapadają na choroby nowotworowe.

Skąd więc wiemy, ile upały zabijają osób? Możemy to wnosć ze średniej wieloletniej zgonów w momentach bez ekstremalnych zjawisk pogodowych. Jeżeli na wykresach śmiertelności widzimy „górkę”, to możemy je przypisać ekstremalnej pogodzie.

Możemy robić też coś na kształt inżynierii odwrotnej. Wiedząc, z iloma nadliczbowymi śmierciami mieliśmy do czynienia w przeszłości przy zbliżonych temperaturach, możemy w przybliżeniu określić, ile osób pochłonęła obecna fala. Właśnie takie podejście pozwoliło Christopherowi Callahanowi z Indiana University na estymację liczby ofiar czerwcowych ekstremów w Europie. Jego zdaniem gorąco zabiło od 17 do 25 tysięcy ludzi.

Ale z oszacowaniem Callahana nie zgadza się Dann Mitchell z Uniwersytetu w Bristolu w Wielkiej Brytanii. W czasopiśmie „New Scientist” mówi, że Callahan nie wziął pod uwagę tego, że w ostatnich latach w wielu europejskich domach pojawiło się urządzenie, które drastycznie obniża ryzyko śmierci w przypadku fal upałów. Tym urządzeniem jest klimatyzator.

Cytowany przez „New Scientist” Marcin Walkowiak z Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu zauważa, że Callahan jako punkt odniesienia do swojego modelu wy-

korzystał dane z lat 2015-19. Od tamtego czasu liczba klimatyzatorów zauważalnie wzrosła. Walkowiak ocenia, że realna liczba zgonów okaże się bliższa 15 tysiącom. To wciąż jednak ogromne straty ludzkie.

Sam afrykański upał mniej groźny niż gorące letnie noce

Ostatnio tak potężna fala gorąca przetoczyła się przed Europę ponad 20 lat temu. W roku 2003 fala upałów nad starym kontynentem pojawiło się kilka. Najbardziej dotkliwa okazała się ta sierpniowa. Dane dla 16 europejskich krajów wskazują, że w latem wspomnianego roku mieliśmy do czynienia nawet z 70 tysiącami nadliczbowych śmierci (punktem odniesienia były lata 1998-2002).

Ale nawet bardziej optymistyczne szacunki były porażające – według raportu opublikowanego w ramach unijnego programu działań w dziedzinie zdrowia publicznego między 3 a 16 sierpnia w Europie z gorącą zmarło niemal 40 tysięcy ludzi.

Ówczesna fala upałów była dłuższa niż obecna czerwcową. Za to było zauważalnie chłodniej. Szczyt temperatur podczas tegorocznych ekstremów był o ponad 1 stopień wyższy niż dwie dekady temu.

W dodatku obecna ekstremum miało jeszcze jedną cechę, która powodowała dodatkowe znaczące obciążenie naszych organizmów – tropikalne noce, podczas których temperatura nie spadała nie tylko poniżej 20 stopni, ale miejscami również poniżej 25-28 stopni.

To różnica kluczowa, bo „przy ocenie wpływu upałów na zdrowie minimalne temperatury mogą być ważniejsze niż szczytowe temperatury popołudniowe. Dzień, w którym temperatura osiąga 38 stopni Celsjusza, ale spada do 18 stopni w nocy, znacznie różni się od dnia,

w którym temperatura osiąga 36 stopni i utrzymuje się powyżej 25 stopni przez całą noc”, jak stwierdza Armel Castellan, doradca do spraw ekstremalnych upałów Światowej Organizacji Meteorologicznej.

„Ten drugi scenariusz niesie ze sobą znacznie większe ryzyko zdrowotne” – podkreśla specjalista WMO.

Więc jak to możliwe, że większe upały z 2026 roku poskutkowały mniejszą liczbą ofiar niż te z 2003 roku?

Otóż w Europie po tamtym tragicznym wstępie do nowego stulecia mieliśmy do czynienia z licznymi adaptacjami klimatycznymi. Wiele spośród ofiar tamtych szczytów temperatury stanowiły starsze, samotne osoby lub podopieczni nieklimatyzowanych domów opieki. Systemy chłodzenia w domach dla seniorów stały się normą. Znacznie więcej mamy również klimatyzatorów. Do tego pojawiły się systemy ostrzegania, jak nasze krajowe alerty RCB. Wzrosła również świadomość społeczna niebezpieczeństwa wysokich temperatur.

No i poprawił się ogólny stan zdrowia, forma fizyczna, dieta oraz samoświadomość dzisiejszych seniorów

– wielu z nich na przełomie lat 90. I dwutysięcznych było ludźmi w sile wieku, żyjącymi „nowocześnie” w sensie diety, dbałości o zdrowie, ćwiczeń fizycznych, profilaktyki, redukcji lub odstawienia używek.

Powodzie, huragany, trąby powietrzne, susza. A ofiar globalnego ocieplenie mniej?

Ten trend – jest złe, ale nie tak, jak być mogło – jest zresztą zgodny z innym, szerszym opracowaniem Światowej Organizacji Meteorologicznej, która przygląda się wpływowi ekstremalnych zjawisk pogodowych na śmiertelność na całym globie.

Według analizy „Atlas of Mortality and Economic Losses from Weather, Climate and Water-related Hazards (1970-2021)” w dekadach lat 70. i 80. z powodu ekstremalnych zjawisk pogodowych ginęło od 550 do 670 tysięcy osób. W dekadzie 2010-19 było to nieco ponad 180 tysięcy zgonów.

Śmiertelne żniwo zmniejszyło się pomimo wzrostu liczby ekstremalnych zjawisk pogodowych – od upałów przez powodzie, lawiny błotne, huragany, susze – co do którego nie ma żadnych wątpliwości.

Ten wynik zaskakuje jeszcze bardziej, gdy uświadomimy sobie, że kiedyś było nas dużo mniej. W 1980 roku na świecie żyło około 4,5 miliarda ludzi. W 2015 już mniej więcej 7,4 miliarda. Oznacza to spadek liczby zgonów przy gwałtownym wzroście populacji oraz przy wzroście liczby ekstremalnych zjawisk.

Jaki z tego wniosek? Ludzkość wraz z bogaceniem się dostosowuje się do zmian klimatu. Coraz więcej krajów dysponuje nie tylko coraz lepszym prognozowaniem, ale coraz bardziej odporną infrastrukturą, lepszymi systemami ostrzegawczymi i lepszymi służbami ratunkowymi.

Co oczywiście nie oznacza, że powinniśmy zaprzestać starań, machnąć ręką na cięcie emisji i bez skrupułów jeździć starymi dieslami oraz stawiać kolejne serwerownie sztucznej inteligencji, bo klimatyzacja nas uratuje.

To jednak wątek na inną dyskusję. Tu stwierdzamy i próbujemy przeanalizować suchy fakt, że dostosowujemy się szybciej – przynajmniej jeśli chodzi o ochronę życia ludzi i z zastrzeżeniem, że to zjawisko może być chwilowe – niż zachodzą zmiany klimatu.

Podzielmy ten włos na czworo. Na wykresach WMO można dostrzec, że zauważalnie spada liczba ofiar gwałtownych burz oraz susz. Co samo w sobie jest zresztą zaskakujące – wyjaśnić można szukać w lepszej infrastrukturze, bardziej odpornych budynkach i szerszym dostępowi do wody pitnej (wodociągi!). Innymi słowy, wraz ze wzrostem globalnego PKB rośnie również pula środków, które można przeznaczyć na zabezpieczenia przed ekstremalną pogodą.

Jednocześnie rośnie liczba ofiar... upałów.

Halo, zaraz – czy nie powiedzieliśmy przed chwilą, że upały w Europie zdają się mniej zabójcze niż kiedyś?

Podzielmy więc włos na osiem – takie (doraźnie) optymistyczne zjawisko zachodzi (najprawdopodobniej) na starym kontynencie. Jednak – jak zauważa Światowa Organizacja Meteorologiczna – 90 procent zgonów spowodowanych ekstremalną pogodą dotyka krajów rozwijających się.

Bynajmniej nie dlatego, że mieszka w nich 90 procent ludzkości.

Hiszpania, Portugalia, południe Włoch. Dlaczego tam radzą sobie z upałami?

W tym momencie część czytelników powie: hola, a co z krajami takimi jak Hiszpania czy Portugalia? Przecież istnieją miejsca, gdzie przez całe lato temperatura oscy-

luje wokół trzydziestki i ludzie w miarę normalnie funkcjonują.

Przede wszystkim – to nie jest tak, że upały nie zbierają śmiertelnego żniwa w gorących państwach rozwiniętych.

Ale rzeczywiście niebezpieczne temperatury są nieco niższe dla ludzi zamieszkujących obszary z chłodniejszym klimatem. Czy jest to wynik biologicznej różnicy, lepszego przystosowania wskutek wieków radzenia sobie z upałem? Po części prawdopodobnie również, ale sytuacja jest bardziej złożona. Mamy bowiem do czynienia ze splotem adaptacji na poziomie ludzkich organizmów, architektury oraz kultury.

Po kilku tygodniach funkcjonowania w gorętszym klimacie nasze ciała – również ciała ludzi z krajów chłodniejszych – zaczynają się adaptować.

Pocimy się przy niższych temperaturach, co oznacza bardziej intensywne chłodzenie, dające organizmowi pewien zapas energii. Jeżeli lepiej się schładzamy przy 27 stopniach, to w temperaturę 33 stopni wchodzimy mniej wycieńczeni.

Swój skład zmienia sam pot – staje się bardziej wodnisty i mniej słony, co powstrzymuje wypłukiwanie elektrolitów i zapobiega odwodnieniu.

Gorące kraje mają również inną kuchnię – lżejszą i bardziej „nawadniającą”, zwłaszcza w gorące dni. Stąd zamiłowanie południowców do gazpacho ze zblendowanych warzyw, arbuzów i melonów.

W krajach, gdzie jest gorąco od zawsze, również domy projektowano, biorąc pod uwagę szczytowe wysokie temperatury. Nie stawiano masowo domów z dużymi oknami od strony południowej w zabetonowanych miastach. Okna były mniejsze, wyposażone w zewnętrzne żaluzje i markizy. Dodatkowo w wielu ciepłych krajach mamy do czynienia z gęstą zabudową, która powoduje, że budynki rzucają na siebie wzajemnie cień.

Do tego dochodzi element kulturowy – w środku dnia istnieje instytucja sjesty, a życie społeczne jest przesunięte na późniejsze godziny wieczorne.

Jednak w świecie ze zmianami klimatu te adaptacje przestają wystarczać. Były one bowiem tworzone dla niższych – choć i tak wysokich – temperatur.

Klimatyzatory. Czy Amerykanie słusznie śmieją się z Europejczyków

Wiemy, że temperatury będą rosły, fal upałów będzie więcej, a te, które przyjdą, będą bardziej rozciągnięte w czasie oraz z ciepłszymi nocami niż obecne. Ekstrema będą rosnać wraz z emisjami – im więcej gazów cieplarnianych, tym więcej będzie ekstremalnych zjawisk pogodowych, nie tylko ekstremalnych upałów. Dlatego równie ważne, co starania, by ograniczać ogrzewanie atmosfery, są dostosowania do nowej normy. Co więc możemy zrobić?

Zacznijmy od kwestii, która wzbudziła w ostatnim czasie ogromną burzę w internecie. Chodzi oczywiście o klimatyzatory.

Podczas fali upałów w serwisach społecznościowych pojawiło się sporo wpisów Amerykanów, którzy wyśmiewali europejski brak klimatyzatorów. Posty i filmiki były oparte na prostym schemacie: „znalezli jeden prosty sposób”. Czyli zamiast gotować się w nagrzanym mieszkaniu, po prostu włączyli swoje A/C. Jeden z bohaterów sporu mówił nawet o tym, że jego psy w garażu mają lepiej niż Europejczycy, ponieważ zamontował im (tym pierwszym, nie tym drugim) klimatyzator.

Czy rzeczywiście ten jeden banalny technologiczno-konsumpcyjny trik spowodował, że Amerykanie pobili globalne ocieplenie? Cóż, i tak, i nie.

W Stanach Zjednoczonych rzeczywiście znaczna większość ludzi ma dostęp do systemów chłodzenia. Każdy, nawet najbardziej obfity przydrożny motel na południu USA ma na stanie rzeżący klimatyzator.

Według US Energy Information Administration, agencji zajmującej się statysty-

ką energetyczną w Stanach Zjednoczonych, w 2020 roku niemal 90 procent gospodarstw domowych miało dostęp do klimatyzacji.

W tym 66 procent do centralnego systemu klimatyzacji. W 2001 roku było to odpowiednio 77 oraz 54 procent. W zasadzie wszystkie budynki wznoszone po 2010 roku są wyposażone w klimę.

Jakiś rodzaj „sztucznego”, mechanicznego chłodzenia stał się powszechnym elementem wyposażenia przytłaczającej części amerykańskich domów.

Trend masowego montowania klimatyzatorów będzie zaraz widoczny również w Polsce. Pismo czuje nosem każdy, kto próbował zamówić montera tego typu urządzeń w ostatnim czasie. Wielu fachowców jest zarezerwowanych na tygodnie, niektórzy na miesiące do przodu.

I dobrze, bo w trakcie największych upałów klimatyzacja ratuje życie. Według Międzynarodowej Agencji Energetycznej systemy chłodzenia na świecie ratują rocznie niemal 200 tysięcy istnień ludzkich.

„Nowe analizy pokazują, że w populacji osób powyżej 65 roku życia między okresami 2002-04 a 2019-21 średnia roczna liczba zgonów w wyniku upałów wzrosła o 61procen, do 316 000. Średnia roczna liczba zgonów unikatowych dzięki klimatyzacji wzrosła z kolei 3-krotnie, do 191 000” – czytamy na stronie organizacji.

W okolicach roku 2020 klimatyzatory ratowały niemal tyle samo osób, co w 2002 roku zabijały upały.

W Japonii, gdzie ponad 90 proc. gospodarstw domowych jest wyposażonych w klimatyzację, w latach 2019-21 udało się zapobiegać rocznie ponad 30 tys. zgonów z powodu upałów

Jeżeli liczba ratowanych przez klimatyzację ludzi rośnie szybciej niż liczba tych, którzy giną wskutek spowodowanych zmianami klimatu ekstremalnych upałów, to z prostej matematyki wynika, że w końcu liczba ofiar upałów będzie spadać – choć ekstremalnie gorących dni będzie przybywać.

Według IEA w Japonii, gdzie ponad 90 procent gospodarstw domowych jest wyposażonych w klimatyzację, w latach 2019-21 udało się zapobiegać ponad 30 tysiącom zgonów rocznie. Opór wobec klimatyzacji, który dało się zauważyć w niektórych rewirach internetowego komentarz, trudno określić inaczej niż doktrynerstwo.

Dla biednych za droga, grozi blackoutu, zużywa węgiel i gaz. Minusy klimatyzacji

To jednak nie znaczy, że klimatyzacja jest rozwiązaniem idealnym. Ma ona co najmniej cztery poważne wady.

Po pierwsze, jest rozwiązaniem indywidualnym. A to oznacza, że uzależnionym od grubości portfela.

Chociaż system klimatyzacji w dużym mieście można już założyć za 4-5 tysięcy złotych, co odpowiada cenie telewizora ze średniej półki, to osoby niezamożne zastanowią się kilka razy, zanim dokonają wydatku. Przecież klimatyzacja w Polsce jest naprawdę potrzebna kilka-kilkanaście dni w roku. A części osób i taki wydatek jest absolutnie poza zasięgiem.

To oznacza, że dostęp do chłodu w tym wariancie jest i jeszcze przez lata będzie kwestią klasową.

Po drugie – i tu już przechodzimy na poziom systemowy – klima jest energochłonna i wytwarza punktowe wzrosty poboru energii elektrycznej.

To z kolei obciąża sieci energetyczne, co grozi blackoutami. A podczas blackoutów nie tylko nie można się chłodzić, zakłócenia i braki zasilania dotyczą wszystkie dziedziny życia – cierpią na tym usługi publiczne, również te, które ratują zdrowie i życie.

Po trzecie – klimatyzacja dokłada się do problemu „miejskich wysp ciepła”.

Miasta na całym świecie są cieplejsze niż otaczające je regiony średnio o 5 stopni. Wynika to z faktu gromadzenie energii cieplnej przez budynki i ciemne, betonowe powierzchnie lub dachy. To szczególnie dotkliwe właśnie podczas upałów. Klimatyzatory tylko zwiększają problem – wyprowadzając ciepło z mieszkań na zewnątrz, podgrzewają i tak gorące miasta. To z kolei przekłada się na jeszcze gorsze funkcjonowanie ludzi, którzy nie mają dostępu do klimatyzacji – bo na przykład są ubodzy – i miejskich ekosystemów.

W końcu czwarta sprawa – to fakt, że klimatyzatory same przyczyniają się do zmian klimatu.

Zwiększony pobór mocy zwiększa zapotrzebowanie na energię. Ta z kolei wciąż w dużej części jest wytwarzana z paliw kopalnych.

Do tego dochodzi fakt, że czynniki chłodnicze – tak zwane F-gazy – z nieszczelnych instalacji przedostają się do atmosfery. A F-gazy dla klimatu są o wiele bardziej dewastujące niż dwutlenek węgla. Problem ten jest widoczny szczególnie w starszych urządzeniach.

Możemy jednak minimalizować negatywny wpływ klimatyzatorów na bliskie otoczenie oraz na globalny system klimatyczny. Działania powinny być dwutorowe.

Klimatyzatory powinny używać czynników chłodzących, które są mniej szkodliwe dla atmosfery, a same systemy powinny być bardziej szczelne. To już się zresztą dzieje.

Druga sprawa to miks energetyczny – w krajach, których system wytwarzania energii jest oparty w większym stopniu na OZE oraz atomie, są niższe emisje, więc zwiększone zapotrzebowanie na energię nie generuje tak dużo dodatkowych gazów cieplarnianych.

W Polsce odnawialne źródła energii odpowiadają tylko za 13 procent konsumpcji energii pierwotnej – czyli w jej naturalnej postaci surowca lub „surowca”, jak wiatr czy słońce, nim zostanie przetworzona na prąd, ciepło lub napęd. W Niemczech to 24 procent – ale w Norwegii i Szwecji już ponad 70 procent. Tak więc nie w każdym kraju klimatyzatory negatywnie wpływają na klimat.

Oczywiście tu pojawia się problem chłodzenia samych elektrowni. To również jest jednak problem technicznie możliwy jeśli nie do całkowitego rozwiązania, to przynajmniej do ograniczenia.

Można postawić na chłodnie kominowe zamiast zużywania wód rzecznych – te specyficzne dymiące pękate kominy przy niektórych elektrociepłowniach to po prostu wymienniki ciepła. Można również zarządzać popytem – w momentach „peaków” poboru energii duże zakłady przemysłowe mogą ograniczać produkcję, którą nadrobią w chłodniejsze godziny, a oszczędzony prąd zasili klimatyzację gospodarstw domowych.

Do tego w momencie zwiększenia mocy niezwykle użyteczna staje się fotowoltaika – upały to dni, kiedy niebo jest niemal zupełnie bezchmurne.

Ale co do zasady – tak, i dla planety, i dla naszych kieszeni, lepiej, niezależnie od poglądów, chłodzić się bez kosztownych urządzeń wymagających konserwacji i indywidualnych starań.

Ochładzanie bez klimatyzatorów to tak zwane chłodzenie pasywne – w przeciwieństwie do chłodzenia aktywnego, jakim jest właśnie klima.

I tu pomysłów jest naprawdę dużo. Zacznijmy od urbanistyki.

Czytelnik liberalnych, lewicowych czy po prostu trzeźwych mediów wcześniej czy później zetknął się z pojęciem „rozbetonowania miasta”. I bardzo dobrze. To nie jest żaden „aktywistyczny wymysł”, tylko coś, co powinno być zdroworoządkowym priorytetem.

Każdy widzi i czuje różnicę między ulicą pozbawioną zieleni, na której żar bucha nie tylko z nieba, ale i z rozpalonej kostki czy asfaltu, a okolonym gęstymi trawami, zacienionym chodnikiem pod szpalerem drzew. W tym drugim miejscu temperatura potrafi być nawet kilkanaście stopni niższa.

„Rozbetonowanie” i zazielenienie miast skutecznie ogranicza zjawisko miejskich wysp ciepła.

W artykule pod wiele mówiącym tytułem „We can't air-condition our way out of a hotter future” – „Nie możemy »wyklimatyzować się« z gorętszej przyszłości” – profesor Matthaios Santamouris, ekspert od pasywnego chłodzenia z Uniwersytetu Nowej Południowej Walii, stwierdza: „Jeżeli każdy budynek będzie w całości polegał tylko na klimatyzacji, stworzymy ogromną presję na systemy energetyczne, dorzucając do naszych miast więcej ciepła”.

Jednocześnie naukowiec z Sydney podkreśla, że klimatyzacja na razie pozostanie kluczowym sposobem na ratowanie życia podczas największych fal upałów. Proponuje jednak uzupełnienia. Które niektórych rozczarują, bo – jak zwykle – sprowadzają się do korelacji wielu drobnych rozwiązań, przez co nie działają na wyobraźnię tak, jak Jeden Wielki Piękny Pomysł.

„Najlepszą strategią chłodzenia jest powstrzymanie dostępu gorącego powietrza do budynków. Zacienianie, materiały odbijające promienie słoneczne, mądrzejsza wentylacja i nowe chłodzące materiały mogą drastycznie ograniczyć temperatury wewnątrz mieszkań, zanim klimatyzacja w ogóle zostanie włączona” – stwierdza.

Jak istotny jest kolor danej powierzchni, niech świadczy fakt, że czarne powierzchnie są o około 50 stopni gorętsze od otaczającego powietrza, podczas gdy powierzchnie dobrze odbijające promieniowanie słoneczne – ciepłej są tylko o około 10 stopni.

Innym rozwiązaniem, już zresztą wdrażanym w wielu miastach, jest otwieranie punktów użyteczności publicznej z dostępną klimatyzacją dla wszystkich zainteresowanych. W tym głównie dla osób starszych i tych z problemami zdrowotnymi. Taka akcja powinna być dobrze komunikowana lokalnym społecznościom, być może przez alerty RCB. Również pracownicy opieki społecznej powinni mieć dobrze namierzone osoby, które potrzebują „chłodowej” pomocy.

Sprawy dostosowania się do upałów nie da się rozwiązać tylko na poziomie indywidualnym. Jeżeli wyzwanie adaptacji rzucimy na wolny rynek, stanie się to, co zwykle dzieje się w tego typu okolicznościach. Najsprawniej dostosują się ci, którzy mają największe wypłaty oraz najlepsze doświadczenia. W ten sposób na kolejnym już polu ryzyko śmierci i przywilej dobrostanu będą uzależnione od farta i obrotowości, czyli klasowego zaszeregowania.

To nie jest dobrze pomyślany świat. Dlatego politycy, w tym samorządowi władarze, już dzisiaj powinni gorąco i stanowczo wdrażać plany chłodzenia miast na poziomie systemowym. Żeby nie mieli na sumieniu tysięcy nadliczbowanych zgonów. Przecież za tym technicznym wyrażeniem z raportów i prasowych nagłówków kryją się tysiące pojedynczych tragedii – ludzi takich jak nasi rodzice, dziadkowie, przyjaciele. Czy my sami. ●

W książce „Ile trzeba zarabiać, żeby być szczęśliwym. Oraz 12 innych pytań o ekonomię i naszą przyszłość”

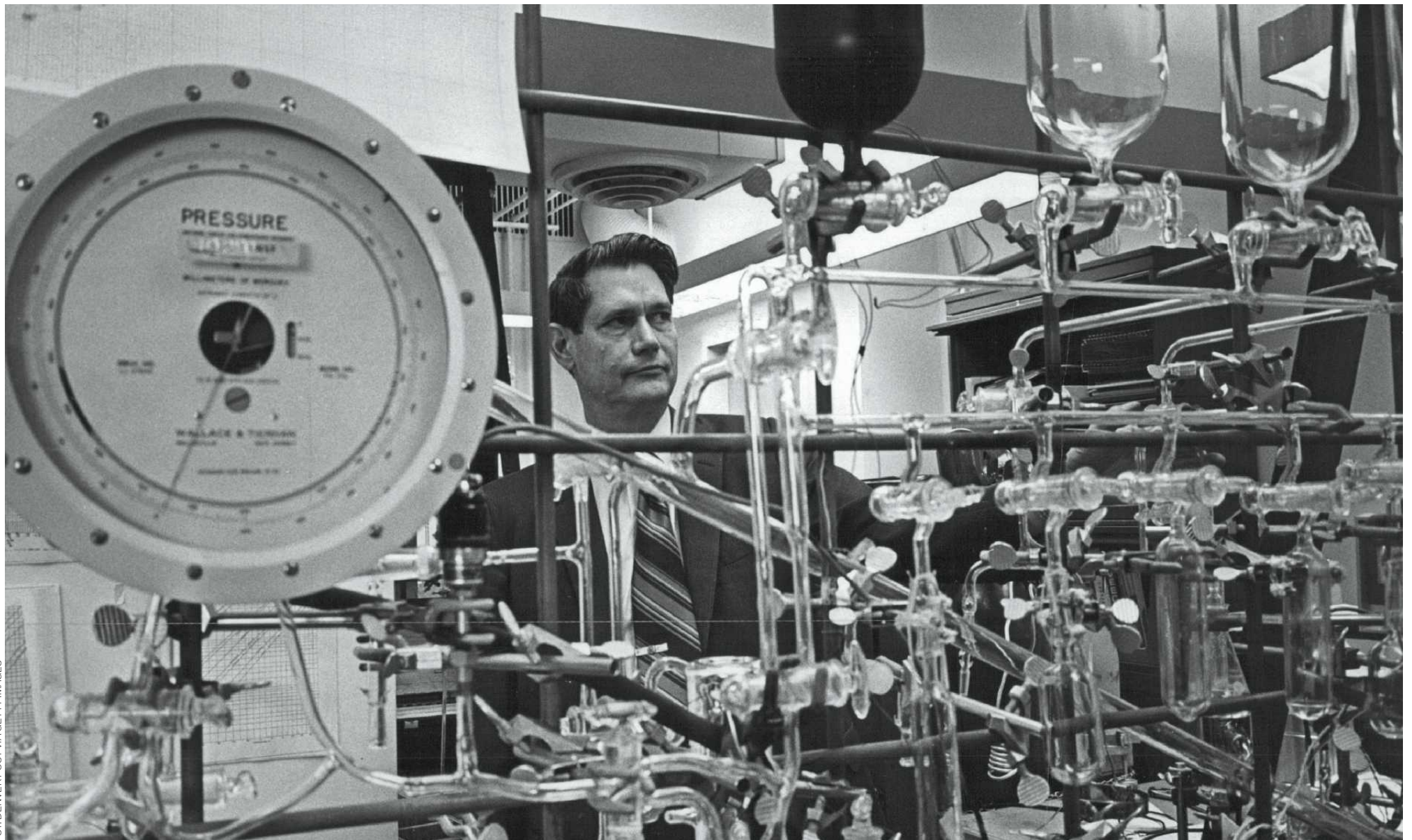
– Kamil Fejfer i Łukasz Komuda opowiadają o problemach współczesności. Czy ZUS upadnie? Dlaczego na świecie rodzi się coraz mniej dzieci? Od czego zależą nasze pensje? Czy sytuacja mieszkaniowa jest tak zła? To tylko kilka z setek pytań, na które autorzy szukają odpowiedzi. Książka dostępna w dobrych księgarniach oraz w formie e-booka na Publio.pl.

Tam również inne książki Kamila Fejfera – „O kobiecie pracującej. Dlaczego mniej zarabia, chociaż więcej pracuje” oraz „Zawód. Opowieści o pracy w Polsce. To o nas”.

TRUMP CHCE TEŻ ZMIENIĆ POGODĘ

Historia kompleksu na stokach Gór Skalistych pokazuje, ile intelektualnego wysiłku wymaga powstanie dzieła sztuki, wspaniałej instytucji naukowej i strażnika przyrody w jednym.

Ludzie w Białym Domu tego nie rozumieją.



• Styczeń 1970 roku. Dr Richard D. Cadle w laboratorium Narodowego Centrum Badań Atmosferycznych (NCAR) w siedzibie głównej ośrodka na wzgórzu Table Mesa w pobliżu Boulder

Aleksander Gurgul

KORESPONDENCJA Z BOULDER
W KOLORADO

W idok z autostrady nr 36 na Boulder i ośnieżone Góry Skaliste w tle zapiera dech. Miasteczko od lat jest bazą wypadową wspinaczy, narciarzy i rowerzystów. Boulder to także jeden z najważniejszych ośrodków naukowych w USA oraz siedziba start-upów. Zdrowy tryb życia widać gołym okiem na ulicy, po której suną grupki na nartorolkach. Mesa Laboratory, jeden z najbardziej ikonicznych budynków naukowych na świecie, widzę już z daleka. Brutalistyczna architektura z jednej strony odcina się na tle górskich lasów, z drugiej – zwłaszcza przy zachodzącym słońcu – komponuje ze skalnymi wychodniami i turniami. Miejscowi mówią na te formacje Flatirons.

Mesa – po hiszpańsku „stół” – to w Ameryce Północnej określenie płaskowyzu o dosyć stromych stokach. Takie położenie idealnie izoluje laboratorium od zabudowy jednorodzinnej Boulder. Stromą drogą wjeżdżam na przepastny parking, z którego – na wschód – rozpościera się widok na miasteczko. Na horyzoncie za nim fałduje ocean wypływających traw – Wielkie Równiny.

Gmach jest główną siedzibą Krajowego Centrum Badań Atmosferycznych (ang. National Center for Atmospheric Research, w skrócie NCAR). Jeszcze w 1984 r. w hrabstwie Boulder wygrał republikański kandydat na prezydenta USA – Ronald Reagan. Od starcia cztery lata później aż do dziś Boulder robi się coraz bardziej niebieskie, czyli demokratyczne. W ostatnich wyborach Donald Trump dostał tam niespełna 21 proc. głosów, podczas gdy Kamala Harris prawie 76,5 proc.

Czy to dlatego NCAR stało się solą w oku obecnego gospodarza Białego Domu?

NCAR to mekka dla naukowców zajmujących się atmosferą (nie tylko w USA, ale także na świecie). Dość wspomnieć, że prof. Szymon Malinowski, najbardziej znany w Polsce naukowiec zajmujący się zmianami klimatu, w latach 1995-2012 wielokrotnie – po kilka tygodni albo nawet miesięcy – wyjeżdżał do Boulder jako visiting scientist.

To miejsce, w którym przewidyuje się pogodę i ostrzega miliony ludzi przed ekstremalnymi zjawiskami pogody na sterydach. Uczniowie w Boulder współpracują z setkami instytucji, odgrywając ważną rolę w poprawie bezpieczeństwa i zarządzaniu ruchem lotniczym.

Obecna ekipa z Białego Domu nazywa to miejsce źródłem „klimatycznego alarmizmu”...

Sputnik dał sygnał

Historia jego powstania jest co najmniej tak samo fascynująca jak badania, które są prowadzone w środku. Żeby mogło powstać NCAR, najpierw skrzyknęło się 14 wiodących amerykańskich uczelni, które w 1959 r. założyły konsorcjum (ang. University Corporation for Atmospheric Research, w skrócie UCAR). Na pierwsze spotkanie w Tucson w Arizonie stawili się przedstawiciele uniwersytetów m.in.: z Arizony, Florydy, Kolorado, Kalifornii, Michigan, Teksasu, stanu Waszyngton, Nowego Jorku, St. Louis czy Chicago, niezwykle prestiżowe MIT, czyli Massachusetts Institute of Technology, równie słynne uczelnie z Los Angeles (UCLA), Penn State czy Johns Hopkins z Maryland, wreszcie bluszczowy Cornell i prężna uczelnia z małego Madison w Wisconsin.

Cel? Większe zaangażowanie USA w badania nad atmosferą. Konsorcjum działające na zasadach non profit powstało po to, by pojedyncze uczelnie nie musiały się mierzyć z olbrzymimi kosztami badań i budową potrzebnej do tego infrastruktury.

Rozwój meteorologii – po II wojnie światowej dzięki radarom, lotnictwu i pierwszym komputerom było coraz więcej danych pogodowych do analizowania – spowodował, że powstanie takiej instytucji było ważne dla rządu

federalnego, który mógłby sfinansować przedsięwzięcie.

Szok, jakim było wystrzelenie Sputnika – pierwszego sztucznego satelity Ziemi – przez Związek Radziecki w 1957 r., spowodował, że w USA coraz częściej spoglądano w niebo.

Narodowa Akademia Nauk (ang. National Academy of Sciences to prywatna korporacja naukowa, która niezależnie i obiektywnie doradza – uwaga – narodowi amerykańskiemu, a której historia sięga 1863 r. i prezydentury Abrahama Lincolna!) poprosiła swoją komisję ds. meteorologii, żeby dała rekomendację, jak przyspieszyć badania w tej dziedzinie.

Już rok po wystrzeleniu Sputnika powstał raport, z którego wynikało, że akademicką wiedzę trzeba połączyć z rządowymi dotacjami. I tak strumień pieniędzy popłynął do Narodowej Fundacji Nauki (NSF), agencji, którą rząd powołał do życia w 1950 r. i dał zadanie: USA mają być światowym liderem w dziedzinie badań dla poprawy zdrowia i dobrobytu Amerykanów. I przy okazji potęgą militarną. Badania miały także służyć obronności kraju.

NSF (pieniądze) weszło więc we współpracę z UCAR (wiedza) po to, by sen o wspólnym domu dla badaczy atmosfery stał się rzeczywistością. Tak powstało NCAR, a pierwszym jego dyrektorem został Walter Orr Roberts, astronom i fizyk atmosfery, legenda w amerykańskiej Nauce (wielka litera nie jest przypadkowa).

Absolwent Harvardu, współtwórca High Altitude Observatory (HAO), które finansowane było przez Harvard, ale pomiary prowadziło w wysokogórskim górniczym miasteczku Climax w Kolorado. Po 1947 r. HAO przeniesiono do Boulder, gdzie Roberts zamieszkał z rodziną. Od II połowy lat 50. zaczął pracę na tamtejszym uniwersytecie, który na pewnym etapie dokładał się do HAO finansowo.

Choć rządowe motywy były jasne, to elastyczna i mieszana formuła zarządzania – przynajmniej do pewnego stopnia – niezależnie miała NCAR od polityków i przemysłu wojskowego.

Kluczowe jest to „do pewnego stopnia”, bo dyrektora NSF i jego zastępcę powołuje prezydent USA, a kandydatów zatwierdza Senat. Jednocześnie federalna administracja wyznacza budżet NSF (czyli de facto także NCAR), ale zatwierdzić go musi Kongres.

Nad pracą NSF czuwa rada (ang. board), której 24 członków także powołuje prezydent USA, ale w tym przypadku jego wyborów nie musi już przykupywać Senat. Rola rady jest o tyle istotna, że pomaga Kongresowi, a także Białemu Domowi wyznaczać strategiczne kierunki badań naukowych.

Miotła Trump

Pod koniec kwietnia 2026 r. Donald Trump zwolnił wszystkich członków tej rady.

Prawie dokładnie rok wcześniej, 24 kwietnia 2025 r., z funkcji dyrektora NSF po blisko pięciu latach zrezygnował Sethuraman Panchathan. W oficjalnym oświadczeniu nie podał powodów, ale tego samego dnia na łamach prestiżowego „Science” przypomniano, że „Panch” stanął przed zadaniem, z którym nie pogodziłby się żaden szanujący się dyrektor.

W epoce Elona Muska, który symbolicznie piłą mechaniczną ciało niepotrzebne jego zdaniem wydatki z publicznej kasy, NSF miała znaleźć oszczędności na poziomie ponad połowy budżetu (który wynosił około 9 mld dol.) oraz zwolnić połowę z 1,7 tys. pracowników. Równolegle zamrażano granty dla uczonych warte setki milionów dolarów. Jako pierwsze na celownik trumpistów wzięli te, które zawierały zapisy dotyczące różnorodności, równości i inkluzyjności (ang. Diversity, Equity, and Inclusion, DEI).

Co ciekawe, to właśnie Trump wysunął „Pancha” na szefa NSF w grudniu 2019 r., a Senat zatwierdził go w sierpniu rok później. Od jego rezygnacji obowiązki dyrektora NSF pełni Brian Stone.

Wkrótce okazało się, że plany trumpistów względem NCAR sięgają znacznie dalej niż kadrowe rozszarpywanie.



• Mesa Laboratory w Boulder u podnóża Gór Skalistych, to jeden z najbardziej ikonicznych budynków naukowych na świecie. Został oddany do użytku 10 maja 1967 r. FOT. GETTY IMAGES

Powyżej „niebieskiej linii” wodociągów

Konsumowanie związku pomiędzy uniwersytetami zrzeszonymi w UCAR z rządową NSF zaczęło się na dobre w 1959 r. W archiwach NCAR zachowały się dokumenty, które świadczą, że Mesa Laboratory jest właśnie tym, za co przez dekady podziwiano amerykańskich naukowców – metodycznym podejściem do wielkiego i ważnego projektu.

Trzeba było wykupić działki od pięciu prywatnych właścicieli (łącznie 565 akrów, czyli trochę ponad 228 ha, na które stanowa legislatura Kolorado miała wysupłać 250 tys. dol.), ale żeby to zrobić, należało przezwyciężyć jeszcze pewną polityczną przeszkodę.

W Boulder funkcjonowało już wtedy lokalne prawo tzw. niebieskiej linii, powyżej której nie dostarczano wody z miejskich wodociągów. Chodziło o to, żeby zabudowa nie rozlewała się nadmiernie w stronę Gór Skalistych.

Płaskowyż, na którym planowano laboratorium, był powyżej tej linii – ok. 1865 m n.p.m.

Od listopada 1960 r., gdy zapadła decyzja o tym, że to właśnie na płaskowyżu powstanie gmach, do marca 1961 r., gdy grunty wykupiono, trwała intensywna kampania. Jej finałem było coś w rodzaju lokalnego referendum.

Wśród argumentów „za” było m.in. to, że instytucja publiczna, w dodatku naukowa, zatrudnia deweloperkę przed zabudowaniem wejścia na piękny i ważny dla mieszkańców szlak wiodący w górskie doliny (tak pozostało do dziś). Dowodzono też, że „będzie zużywać tyle wody co 25 domów”, czy wreszcie, że laboratorium zapewni miejsca pracy odporne na kryzys gospodarczy. Rzecz jasna nikt nie mógł przewidzieć, że do władzy dojdzie kiedyś Donald Trump.

Zwolennicy utworzenia kampusu naukowego (a wśród nich był np. Klub Optymistów Boulder czy Liga Kobiet Głosujących) zdecydowanie przeważyli szalę na jego korzyść i NCAR otrzymało zielone światło do korzystania z miejskiego wodociągu. A proprzyrodnicze nastawienie mieszkańców Boulder utrzymało się do dziś. Kiedy kilka dekad później odbyło się stanowe referendum ws. reintrodukcji wilków do Kolorado, w hrabstwie Boulder odsetek głosów „za” wyniósł rekordowe 67,8 proc.

Droga do budowy stanęła otworem. Czytamy zaproszenie wysłane 9 maja 1961 r. do dziekanów 7 uczelni ze wspomnianej 14, które prowadziły wydziały architektury. „Zgodzili się doradzać” komitetowi powołanemu do budowy gmachu NCAR. Elegancki ton, w jakim prowadzona była korespondencja, w niczym nie przypomina słownego rynsztoka, którym dziś często ludzie nauki obrzucani są na platformach społecznościowych.

W II połowie maja 1961 r. dziekanów zawieziono na szczyt płaskowyżu i urządzono piknik, żeby poczuli atmosferę miejsca i mogli się zainspirować sosnowo-jałowcowym krajobrazem ze sterzącymi turniami i stadami jeleni wychodzącymi na polany. Po wycieczce tere-

nowej poproszono ich o stworzenie krótkiej listy „w pełni wykwalifikowanych” architektów, którzy ich zdaniem podolają zaprojektowaniu kompleksu naukowego.

Wrażliwy brutalista z wyobraźnią

Dziekanom marzył się Frank Lloyd Wright, gigant w historii amerykańskiej architektury, ale ten zmarł jeszcze w 1959 r. Na liście znalazło się ostatecznie sześć nazwisk (komisja brała pod uwagę także projektantów z Europy), które dawały gwarancję, że kompleks będzie harmonijnie wpisywał się w otoczenie.

Rozmowy z kandydatami trwały dwa miesiące, ale ostateczny wybór był jednoznaczny. Człowiekiem, który został wybrany do projektu, został Ieoh Ming Pei, nowojorski architekt chińskiego pochodzenia.

Do USA Pei wyjechał w połowie lat 30. XX wieku na studia. Kształcił się na początku na Penn State, ale szybko przeszedł na MIT, gdzie uzyskał tytuł bakałarza (licencjat). Magistra zdobył natomiast już na Harvardzie. Studiował pod okiem słynnych projektantów Bauhausu, m.in. Waltera Gropiusa i Marcela Breuera.

W 1983 r. Pei otrzymał Nagrodę Pritzкера, czyli architektonicznego Nobla. Na koncie ma długą listę realizacji (zmarł w 2019 r. w wieku 102 lat), oprócz gmachu NCAR najsłynniejszą jest szklana kopuła muzeum w Luwrze ukończona w 1989 r., a więc już po odebraniu nagrody. Zaprojektował także prezydencką bibliotekę Johna Kennedy’ego w Bostonie czy wschodnie skrzydło National Gallery of Art w Waszyngtonie.

Wybór był ciekawy, bo Pei nie był znany z projektów wychodzących poza miejską tkaninę (sam to przyznawał), a stanął przed zadaniem wpisania gmachu naukowego w górski krajobraz. Co prawda pracował już w otoczeniu przyrody m.in. na Hawajach i Tajwanie, a dla MIT zaprojektował gmach nauk o ziemi. Poza tym miał opinię człowieka, który potrafił się zmieścić w budżecie i oczekiwaniach klientów. Uważano go za wrażliwego i obdarzonego wyjątkową wyobraźnią.

Budowa kompleksu miała potrwać kilka lat, na ten czas NCAR zadamowilo się w budynku wynajętym od Uniwersytetu Kolorado w Boulder. HAO, którym kierował Roberts, włączono do NCAR i tak jest do dziś.

Inspiracje ze Stonehenge

Roberts i Pei spotkali się w Boulder 21 czerwca 1961 r., by się rozmówić. Roberts chciał prostego gmachu, najepiej bez klimatyzacji. By lepiej poczuć ducha miejsca, Pei spał na płaskowyżu (chciał oglądać zarówno wschody, jak i zachody słońca), spacerował po nim i popijał wino z widokiem na góry i Boulder u ich podnóża. – To było prawie religijne doznanie – wyjaśnił po latach.

Inspiracje znalazł w dosyć nieoczekiwanych miejscach. Jednym z nich było stanowisko archeologiczne Ollantaytambo w Peru, które odwiedził rok wcześniej. To dawna inkaska osa-

da położona na stromych zboczach Andów. Wśród ruin charakterystycznych tarasów i kamiennych murów wznosi się sześć gigantycznych kamiennych płyt, które mają tylko kilka metrów szerokości i spoglądają z góry na Ollantaytambo.

Pei postanowił też zgłębić rdzenną architekturę południowego zachodu USA. Wynajął auto i razem z żoną wyruszyli w podróż z Albuquerque (Nowy Meksyk) do Boulder. Zatrzymywali się po drodze w dawnych i współczesnych osadach rdzennych Amerykanów.

Gdy dotarł do Mesa Verde, wiedział już, że znalazł to, czego szukał – czytam w archiwum NCAR.

W surowych, a zarazem imponujących budowlach rdzennych Amerykanów miał dostrzec rozwiązanie problemów projektowych, które go nurtowały. Chciał postawić na lokalne materiały budowlane albo przynajmniej odzwierciedlające charakter otoczenia. Zrozumiał, że tylko tak harmonijnie wpisze kompleks NCAR w otoczenie.

Prace budowlane rozpoczęły się w czerwcu 1964 r. Kontrakt o wartości 4,5 mln dol. zawarł z firmą Martin K. Eby Construction Company z Wichity w stanie Kansas.

Ponieważ na miejscu wylewane były wielkie betonowe ściany kompleksu, koszt budowy był jak na tamte czasy wyjątkowo niski. W trakcie realizacji okazało się jednak, że budżet i tak trzeba przyciąć, dlatego zrezygnowano z pomysłu trzeciej wieży (o powierzchni 50-60 tys. stóp kwadratowych), która miała przylegać do południowej krawędzi płaskowyżu i schodzić poniżej wzgórza, w pewnym sensie ukorzeniając w nim cały kompleks naukowców.

Dla Peia było to ogromne rozczarowanie.

Oficjalne otwarcie kompleksu 10 maja 1967 r. podczas uroczystego bankietu, na który zaproszono także lokalnych polityków.

Jak wygląda źródło „klimatycznego alarmizmu”

Russell Vought jest nie tylko dyrektorem Biura Zarządzania i Budżetu USA. Jest także, a może przede wszystkim, jednym z architektów Projektu 2025, opracowanego w Fundacji Heritage planu zmiany ustroju, który wyciekł przed reelekcją Trumpa.

To właśnie Vought dał w grudniu ub.r. sygnał do rozbombardowania NCAR. „(...) Placówka ta jest jednym z największych źródeł alarmizmu klimatycznego w kraju. Trwa obecnie kompleksowy przegląd, a wszelkie kluczowe działania, takie jak badania pogodowe, zostaną przeniesione do innej jednostki lub lokalizacji” – napisał na X.

Wchodzę do gmachu, żeby się przekonać, gdzie Vought zobaczył ten klimatyczny alarmizm. W drzwiach wita mnie skromna tabliczka, że pierwszym dyrektorem był Walter Orr Roberts, i łacińska maksyma: „Si Monumentum Requires, Circumspice” (Jeśli szukasz Jego pomnika, rozejrzyj się dookoła).

W lobby uprzejma recepcjonistka opowiada, że do NCAR przyjeżdżają wycieczki szkolne. Dzieciaki mogą zobaczyć np. jak powstaje tornado, a nawet wsadzić dłoń w taki wir powietrza. W przepastnej bibliotece, z której okien rozpościera się piękny widok na zewnątrz, panują ciśsza i chłód, mimo że na zewnątrz jest upał.

Na kilku „klimatycznie alarmistycznych” tablicach znajdują absolutne podstawy wiedzy, którą sam Donald Trump zapewne określiłby jako hoax, czyli „oszustwo”. Np., że zjawiska pogodowe podkreślone zmianą klimatu (czyli pogoda na sterydach) potrafią zniszczyć życie ludziom. Amerykanom, którzy borykają się z huraganami, powodziąmi i pożarami lasów, raczej nie trzeba tego tłumaczyć?

Na kolejnej tablicy jest tłumaczenie, jak powstają modele klimatyczne i w jaki sposób je wykorzystują np. w prognozach pogody. „Gdzie tu alarmizm?” – zastanawiam się.

Inne tablice też zawierają szkolne informacje: • zanieczyszczenie powietrza jest groźne dla zdrowia ludzi, a trujące cząsteczki pochodzą z kominów domów, fabryk i rur wydechowych;

• spalając paliwa kopalne, pompujemy do atmosfery gazy cieplarniane, co rozgrzewa planetę; w USA największymi trucicielami są transport, produkcja energii, przemysł i rolnictwo.

Na jednej z tablic czytam, że globalne ocieplenie wynosi około 0,7 st. C, podczas gdy obecnie to już blisko 1,4 st. C. Najwidoczniej wystawy nie aktualizowano ostatnio, w podgrzewaniu planety zaczęliśmy bowiem w ostatnim czasie galopować.

Staję wreszcie przed tablicą, która mogłaby przerazić przedstawicieli MAGA-wersum najbardziej. Dzieciaki dostają zestaw pytań, na które mają odpowiedzieć, by zrozumieć, co same mogą zmienić w życiu, by pomóc chronić klimat.

- Jeździć SUV-em, transportem publicznym czy poruszać się piechotą?
- Oprzeć codzienną dietę na mięsie czy warzywach?
- Kupować więcej tandety z Chin czy mniej, ale lokalnych produktów?
- Wykorzystywać prąd z węgla czy paneli słonecznych?
- Budować wielkie posiadłości czy mieszkać w małych domach albo apartamentach?

Czytam te alternatywy, a w głowie dzwiczą mi słowa prezydenta George’a H.W. Busha wypowiedziane podczas Dnia Ziemi w 1992 r. w Rio de Janeiro: „Amerykański styl życia nie podlega negocjacom. Kropka”.

A zaraz po Bushu przypominam sobie Lee Zeldina, którego Trump mianował szefem federalnej Agencji Ochrony Środowiska (EPA).

„Wbijamy sztylet prosto w serce religii zmian klimatycznych, aby obniżyć koszty życia amerykańskich rodzin, uwolnić amerykańską energię, przywrócić miejsca pracy w przemyśle samochodowym w USA i nie tylko” – ogłosił w marcu 2025 r.

A w nagraniu, które zamieściła EPA, dodał: „Dziś kończy się Green New Scam”.

Uniwersytet w Boulder milczy

Zanim przyjechałem do Boulder, poprosiłem obecnego dyrektora NCAR o rozmowę. Doktor Everette Joseph nigdy nie odpowiedział.

Wysłałem także prośbę do Uniwersytetu Kolorado, by skontaktował mnie z naukowcem, który porozmawia ze mną o NCAR. Yvaine Ye w imieniu uczelni odesłała mnie tylko do krótkiego oświadczenia, które zamieściła na ten temat... w marcu.

A tam same ogólniki. „NCAR stanowi fundament amerykańskiego sektora zajmującego się pogodą, klimatem i pogodą kosmiczną” albo że od ponad 60 lat „zintegrowany model działania NCAR służy społeczności, umożliwia osiągnięcie przełomowych odkryć naukowych, które chronią życie ludzkie, usprawniają planowanie na wypadek sytuacji kryzysowych, wzmacniają naszą gospodarkę, poprawiają funkcjonowanie lotnictwa i transportu oraz wspierają bezpieczeństwo narodowe”.

Rozbicie tej instytucji przyniesie wielką szkodę. Nazwisko Trumpa w oświadczeniu nie padło.

Po tym, jak Vought ogłosił, że zabiera się do NCAR, organizacja matka, a więc konsorcjum uczelni UCAR (dziś jest już ich 129), pozwała NSF, z której płyną pieniądze do jej budżetu. Cel: wydanie zabezpieczenia dla danych przechowywanych w NCAR-Wyoming Supercomputing Center. To ośrodek działający od 2012 r. w Cheyenne w sąsiednim stanie Wyoming.

Administracja Trumpa (rękami NSF) chciała oddać to centrum uniwersytetowi w Wyoming. W kolejnych krokach rozparcelowane miały być samoloty badawcze NCAR oraz samo laboratorium na płaskowyżu w Boulder.

W czerwcu sędzia Sądu Okręgowego w Kolorado R. Brooke Jackson orzekł, że decyzję o przekazaniu centrum rząd podjął arbitralnie, a NSF „nie przedstawiła żadnego uzasadnienia”, a wręcz nie zastosowała własnych procedur wymagających zasięgnięcia opinii publicznej przed podjęciem takich działań.

Sędzia Jackson uznał również za przekonujący argument UCAR, że działania NSF wyrządziły szkodę, doprowadzając do odejścia kilku doświadczonych pracowników z centrum superkomputerowego. Z kolei NSF nie przedstawiła żadnych konkretnych dowodów na to, że pozostawienie superkomputera pod zarządem NCAR mogłoby wyrządzić jakkolwiek szkodę.

„Co więcej – napisał Jackson – na podstawie zgromadzonego materiału dowodowego trudno byłoby wykazać coś przeciwnego, skoro agencja nie wskazała żadnych uchybień w sposobie, w jaki UCAR sprawowała funkcję zarządcy [centrum]”.

Trumpiści się bronili, twierdząc, że ostateczna decyzja jeszcze nie zapadła. Co innego mówili pracownicy NCAR, którzy mieli usłyszeć, że kłamka zapadła. Na łamach AFP kilkoro pracowników laboratorium w Boulder oświadczyło, że boją się utraty pracy. Inni opowiadają już o niej w czasie przeszłym, bo opuścili laboratorium zaraz po tym, jak administracja Trumpa zapowiedziała zmiany.

Czerwcowe orzeczenie to tylko pierwszy etap długiej batalii sądowej – wieszczy magazyn „Science”. UCAR domaga się, by sąd zakazał NSF dalszych zmian w NCAR. W odrębnym postępowaniu stan Kolorado, który jest polityczną solą w oku Trumpa, stara się unieemożliwić jakiegokolwiek zmiany.

W tle awantury o Mesa Laboratory biegle sprawa Tiny Peters, byłej sekretarz hrabstwa Mesa, zagorzalej trumpistki. Peters została skazana za naruszenie zabezpieczeń systemów w wyborach prezydenckich w 2020 r. Twierdziła, że zrobiła to, by szukać dowodów na oszustwa wyborcze. Jej oskarżyciele mówili, że otworzyła drzwi promotorom teorii spiskowych.

Ława przysięgłych nie miała wątpliwości i uznała, że Peters była winna 7 z 9 postawionych jej zarzutów, w tym czterech poważnych.



FOTAP/PEA

■

NCAR stało się solą w oku obecnego gospodarza Białego Domu. Jego ekipa nazywa to miejsce źródłem „klimatycznego alarmizmu”...

Jesienią 2024 r. została skazana na 9 lat więzienia.

Trump, kiedy wrócił do władzy, postanowił ją ulaskawić (wcześniej próbowano ją przenieść z więzienia stanowego do federalnego). Kolorado przypomniało mu, że wyroki zapadły na szczeblu stanowym, więc jego działanie nie ma mocy. Trump zagroził, że wstrzyma pieniądze dla stanu. Wkrótce potem demokratyczny gubernator Kolorado Jared Polis zwolnił ją warunkowo, wyszła z za krat 1 czerwca 2026 r.

Ale czy to wpłynie na dalszą strategię Białego Domu wobec jednego z najważniejszych instytutów nauki o klimacie na świecie?

Trump naraża Amerykanów

Ponieważ ani uczelnia w Boulder, ani NCAR nie były skłonne do rozmowy, zwróciłem się do prof. Michaela E. Manna, światowej sławy klimatologa, który stażował pod skałami w Boulder w połowie lat 90. jako młody doktorant. – Miałem wtedy okazję poznać i uczyć się od czołowych naukowców w tej dziedzinie oraz współpracować z młodymi badaczami, z których wielu zostało liderami swoich specjalności – opowiada „Wyborczej”.

Najgorszy możliwy scenariusz dla NCAR? – Zniszczenie najcenniejszego ośrodka ba-

dań nad atmosferą, oceanami i klimatem w USA. Oznaczałoby to oddanie pozycji lidera innym krajom w jednej z najważniejszych i najbardziej aktualnych dziedzin współczesnej nauki – wskazuje prof. Mann. – Na naukowym samounicestwieniu Stanów Zjednoczonych szczególnie mogą skorzystać Chiny.

Dlaczego NCAR jest ważny dla naukowców? Zdaniem amerykańskiego klimatologa chodzi zarówno o dane gromadzone od dekad, jak i pracowników oraz dziedzictwo naukowe instytucji. – Przez NCAR przewinęła się prawdziwa elita światowej nauki, wielu najwybitniejszych badaczy pracowało tam na przestrzeni dekad – dodaje prof. Mann.

Utrata NCAR oznaczałaby utratę nie tylko przywództwa naukowego, ale i możliwości kształcenia kolejnych pokoleń uczonych.

Podobnego zdania jest Szwed, prof. Johan Rockström, dyrektor Poczdamskiego Instytutu Badań nad Wpływem Klimatu, pionier badań nad granicami planetarnymi. Uważa, że administracja Trumpa sama wyrządza sobie krzywdę, podkopując długoterminową szansę na sukces gospodarczy USA: „To wykorzystają Chiny, które wspinają się w rankingach najlepszych uczelni na świecie”.

Prof. Mann mówi także, że atak na NCAR jest częścią szerszego ataku administracji Trumpa i Partii Republikańskiej na naukę, co wraz z Peterem Hotezem opisali w książce „Wojna z nauką. 5 potężnych sił, które niszczą prawdę i zagrażają światu” (w Polsce wydał Helion).

Jak demontaż NCAR może wpłynąć na życie zwykłych Amerykanów?

Prof. Mann: – Narazi nas wszystkich na większe ryzyko. Wiele najważniejszych modeli i zbiorów danych wykorzystywanych do oceny zagrożeń związanych z ekstremalnymi zjawiskami pogodowymi, np. huraganów, pożarów lasów, powodzi czy susz, było od lat opracowywanych i utrzymywanych przez NCAR. Bez nich będziemy mieć mniejsze możliwości przewidywania niebezpiecznych i śmiertelnie groźnych zjawisk pogodowych.

Ten atak administracji Trumpa bezpośrednio naraża zwykłych Amerykanów na niebezpieczeństwo.

W maju 1961 r. Walter Orr Roberts napisał, czym ma być NCAR. Przypominał, że od zarania dziejów ludzie spoglądali w niebo. Czasem budziło w nich zachwyt, innym razem sprowadzało niepokój, a wręcz nieszczęścia. Nic dziwnego, że wymyślali bożków słońca, wiatru czy deszczu. Ktoś musiał stać za tym, czego nie mogli kontrolować.

Jest jednak coś jeszcze, co być może czasem nam umyka, a Roberts wyłożył to w prostych zdaniach. Głębsze i bardziej kompleksowe zrozumienie procesów zachodzących w atmosferze jest nam potrzebne, bo żyjąc na Ziemi, żyjemy w powietrzu. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34440497

14-15-16.08

Olsztyn

green

festival

NA WARMII I MAZURACH

VITO BAMBINO

KACPERCZYK

KAYAH

PEZET

ARTUR ROJEK

SISTARS

SOKÓŁ

GRZEGORZ TURNAU

ZALEWSKI

BASS ASTRAL

HUBERT.

IGO

RALPH KAMINSKI

KASIA LINS

JOHN PORTER

KASIA SIENKIEWICZ

MERY SPOLSKY

VOO VOO

MISIA FURTAŁ

HELA

BARTEK KRÓLIK

OFELIA

PRZEBIŚNIEGI

RUNFORREST

SONBIRD

THE CASSINO

ZABŁOCKI/MOZIL

PIOTR ZIOŁA

A → Z

3 SCENY, 30 KONCERTÓW, TEATRY I STAND-UPY NAD JEZIOREM UKIEL

POCZUJ LATO! ☺

ORGANIZATOR:

WSPÓRORGANIZATOR:

PARTNER GŁÓWNY:

PARTNER STRATEGICZNY:

SPONSORZY STRATEGICZNI:

PARTNER TECHNOLOGICZNY:

PARTNER EKO:

PATRONI MEDIALNI:

PARTNERZY EDUKACYJNI:

PARTNER TERENU:

SPONSORZY:

1 RP

eprasa.pl c336d14da0



FOT. JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

WEŹ ROZWÓD Z MICKIEWICZEM

A odkryjesz miasto
ciekawsze niż
Barcelona, Ateny
czy Neapol, mimo że
z ziemniakami
w genotypie

Michał Olszewski

Dla większości polskich turystów Wilno oznacza klasyczną przechadzkę śladami Mickiewicza. Tymczasem stolica Litwy oferuje o wiele więcej i rozciąga się w nieoczekiwanych kierunkach. Oto subiektywny wybór najciekawszych.

Od konstytucji po kota – ambasadora

Kopenhaga ma Christianię, a Wilno – Zarzecze, schowane za rzeką Wilenką. Przed wojną zamieszkałe przez biedotę żydowską, po jej wymordowaniu przez dekady świeciło pustkami i uznawane było za najniebezpieczniejszą część miasta. Aż do 1997 roku, kiedy za sprawą artystów zmieniło się w niepodległą republikę, z własną konstytucją, osobnymi władzami, a nawet ambasadorem – tę funkcję przez lata pełnił kot Ponulis, zamieszkały przez lata w centrum dzielnicy.

Zarzecze – czyli Užupys – podzieliło los wszystkich miejsc, do których w ślad za artystami przyszli ludzie zamożni. Pustostanów zostało niewiele, a w oficynach zaniedbanych

kamienic zaczęły wyrastać apartamentowce. To nie jest już squaterska dzielnica wolnych ludzi, ale po zmroku, kiedy turyści znikają, zmienia się na powrót w dzielnicę jak ze snu – pustą, z ciemnymi jamami bram i szumem Wilenki dobiegającym zza drzew.

Konstytucja tej republiki (wisi na ścianie przy ul. Paupio) jest chyba najpiękniejszym aktem prawnym, jaki powstał, nie przesadam, w historii cywilizacji. Nie ma tam nic o wojnie, krwi, cierpieniu. Jest co innego, na przykład:

*Człowiek ma prawo być nieznany
i nie znaczący
Człowiek ma prawo do szczęścia
Człowiek ma prawo do nieszczęścia
Człowiek ma prawo do milczenia
Człowiek ma prawo do wiary
Człowiek nie ma prawa do przemocy.
Człowiek ma prawo się nie bać.
Pies ma prawo być psem.*

Od Bernardynów po Moskwę

2 W górnej części Zarzecza znajduje się Cmentarz Bernardyński, znacznie mniej popularny wśród polskich turystów niż Rossa, choć równie piękny. To niemal 5 hektarów nekropolii, którą upływ czasu zmienił w ogród. Groby powstańców stycz-



• Widok na nowoczesną dzielnicę Paupys zaprojektowaną i zbudowaną na miejscu dawnego przedmieścia, i dzielnicy przemysłowej. Ważny punkt na mapie nowego Wilna FOT. GETTY IMAGES

niowych, powstańców AK i nobliwych wilnian toną w zieleni, kryją się w cieniu drzew.

Położony w centrum miasta cmentarz przetrwał powojenne sowieckie dekadę i oparł się pomysłowi budowy przekaznika radiowo-telewizyjnego dlatego, że spoczywa na nim matka Feliksa Dzierżyńskiego. Jej grób okazał się najmocniejszą kartą przetargową w walce miejscowych Polaków o zachowanie nekropolii.

Od Zarzecza po Popławy

Po wyjściu z Cmentarza Bernardyńskiego boczna uliczka prowadzi ostro w stronę Wilenki. A za Wilenką zaczyna się zbudowana w ostatnich latach dzielnica Paupys, czyli Popławy. Warto ją obejrzeć – zaprojektowana na miejscu dawnego przedmieścia i dzielnicy przemysłowej pokazuje, jak nowoczesnym architektonicznie miastem bywa Wilno, bliższym Oslo czy Sztokholmowi niż Warszawie.

Oszczędne elewacje, znakomite wykorzystanie cegły i stali kortenowskiej, wyraźny plan przestrzenny, ścieżki rowerowe, nowoczesna bliskość terenów zielonych i centrum – ta dzielnica stała się jednym z najważniejszych punktów na mapie nowego Wilna.

Od Wilenki do Wilii

To ciągle mało popularny wśród polskich turystów sposób poznawania Wilna. Spływ Wilenką, a potem Wilią pozwala zobaczyć stolicę Litwy z nowej perspektywy. Wilenka płynie pomiędzy starym Zarzeczem a nowymi Popławami, pod świętym dla litewskiej państwowości Wzgórzem Giedymina, i tam wpada do Wilii. Wilenka nie jest głęboka, ale może stanowić wyzwanie – płynie wartko, kamienistym dnem, na północ.

To dobry moment, by postawić sprawę jasno: Wilno ma zasadnicze przewagi nad miastami południowej Europy. Po pierwsze – jest tu chłodniej niż w Barcelonie, Atenach czy Neapolu. Po drugie – nie stało się jeszcze obiektem powszechnego uczestników *stag party* i masowej turystyki (poza pielgrzymkową). Po trzecie – w stolicy Litwy nawet w szczycie sezonu turystycznego można znaleźć ciszę i spokój, nie tylko na kajaku.

Od Zułowa po Sachalin

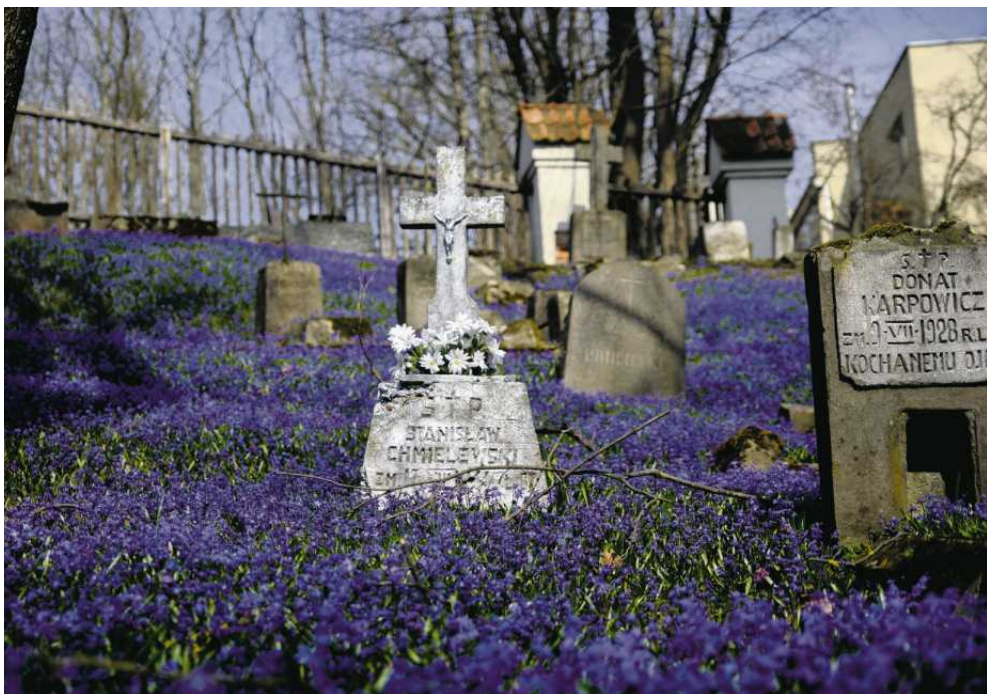
Trochę na uboczu wileńskich szlaków turystycznych położony jest Dom Historii (ul. T. Kosciuskos 3). Warto tam zajrzeć co najmniej z dwóch powodów.

Po pierwsze: stała ekspozycja pozwala zajrzeć w głąb ludowej historii Litwy, przesyconej magią, zbudowanej na wierzeniach pogańskich i chrześcijańskich i przenikniętej zdumiewającymi czasami podobieństwami we wzornictwie i rzemiośle do tradycyjnej kultury górali zakopiańskich. To świat wajdelotów, duchów i skomplikowanych rytuałów, chroniących przed działaniem złym duchów albo je wykorzystujących (zapytajcie przewodnika o przepis na odebranie mleka krowie sąsiada, jest genialnie prosty!).

A po drugie – do końca lipca w Wilnie można oglądać fenomenalną litewsko – polską wystawę „Człowiek między światami”, poświęconą urodzonemu w Żuławie Bronisławowi Piłsudskiemu i jego Żołnierzom Ajnów, które prowadził na zesłaniu. Przestrzenna, wypełniona muzyką, eksponatami i fotografiami wykonanymi przez brata marszałka Piłsudskiego, odtwarza niezwykłą i tragiczną historię jednego z najwybitniejszych polskich etnografów.

Od kazamatów po scenę alternatywną Łukiszki

Wyobraźcie sobie, że w dawnym areszcie przy Rakowieckiej albo Montelupich grają punkowe zespoły, słysząc brzęk kufla, a na wielkim ekranie piłkarze Nowej Zelandii mocują się z Egiptem? Tak właśnie dzieje się na Łukiszkach, jednym z najcięższych zakładów karnych w całym bloku sowieckim. Więźniowie odsiadali tu kary od



• Cmentarz Bernardyński w dzielnicy Zarzecze. 5 hektarów nekropolii, którą upływ czasu zmienił w ogród. Przetrwał powojenne sowieckie dekady i różne pomysły na przebudowę

1837 roku carskich aż do 2016 roku, kiedy mury opuścili ostatni skazani.

Na Łukiszki zwrócili uwagę artyści – są położone w ścisłym centrum, dziedzińce są szczelnie ogrodzone, więc na zewnątrz nie słychać hałasu. Przejęli więzienie z szacunkiem dla litewskich, żydowskich i polskich ofiar kaźni. Nie ulega wątpliwości – udało się. Owszem, na Łukiszkach można napić się piwa i wziąć udział w technawce, ale obowiązują również czytelne zasady.

Mimo że od czasu zamknięcia więzienia minęło 10 lat, w tych jego fragmentach, które nie zostały przeznaczone na działalność artystyczną, nadal robi wstrząsające wrażenie. Stalowe pryzmy, ściany pomalowane na ciemny brąz, nazwiska osadzonych, czas odmierzany kreskami rytymi w tynku. Cierpienie, przemoc i okrucieństwo wnikały w ściany i pozostały tu na zawsze.

Poza dziedzińcami więzienia na Łukiszkach można zwiedzać z przewodnikiem, przechodząc ścieżkę od miejsca, gdzie skazani przekraczali bramę zakładu, aż po portiernię, przez którą wychodzili na wolność. Fotografowanie większości oddziałów jest jednak zabronione – nazwiska na ścianach łatwo pozwalają zidentyfikować niektórych osadzonych w ostatnim okresie. Część wielkiego kompleksu pozostała nienaruszona – cele, spacerniaki, kłęby drutów kolczastych czy budki psów stróżujących pozostały nietknięte.

Jest na Łukiszkach miejsce szczególne. Jedną z cel, w których skazania odsiadywali najcięższe wyroki, przeznaczono dla Władimira Putina. Na razie zbrodnie wojenne odsiaduje tam jego wycięta z kartonu postać, ale artyści litewscy nie tracą nadziei, że morderca z Kremla trafi tam w końcu osobiście.

Od kartaczy do shimei

W potocznej opinii kuchnia litewska to królestwo ziemniaka serwowanego na niezliczone sposoby. Wilno tego dziedzictwa się nie wypiera, a jeśli ktoś (tak jak piszący te słowa) ma ziemniaki w genotypie, znajdzie tam raj. Tylko kartacze w podstawowej formie serwowane są na trzy sposoby – klasyczne, pokrajane w plastry i usmażone oraz opieczzone na złoto w całości. Ale Wilno ma tyle samo restauracji z gwiazdką Michelin, co trzy razy większa Warszawa, a łączna liczba rekomendowanych przez kulinarną wyrocznie jest niewiele mniejsza.

Poza jazdą obowiązkową można spróbować też kuchni, dla której tradycja jest trampoliną. Mnie rozłożyły na łopatki babka z tarem, lodyga kapara i grzybami shimei (restauracja Augustin, ul. Didžioji 18) oraz gofry z lososiem oraz pączki z nadzieniem z pieczonych i pokrojonych w drobną kostkę jabłek (piekarnia Desertu Klubas, ul. Dominikonu 16).

A jeśli ktoś poszukuje mniej wyszukanej atmosfery niż w gwiazdkowych lokalach, wystarczy wejść po schodach do legendarnego targowiska „Pod Hałą” (Hales Turgus). W wędzeniu i suszeniu mięsa oraz ryb nasi sąsiedzi są mistrzami. Street food z całego świata miesza się tutaj z zapachem słoniny, kiszunek i kawy.

Litwini, podobnie zresztą jak Łotysze i Estończycy, jedzą również pasztety z legalnie odławianych bobrów, ale na ten specjal nie dałem się skusić. Natomiast, co tu kryć, dzięki litewskiej kuchni stałem się fanem świńskich uszu, które można kupić na każdym szanującym się stoisku spożywczym.

Od fresku do generacji Z

Wilno kusi dużą kolekcją sztuki współczesnej. Otwarte w 2018 roku i zaprojektowane przez Daniela Liebeskinda muzeum MO (ul. Pylimo 17) to dar małżeństwa litewskich kolekcjonerów sztuki – Danguolė i Viktorasa Butkusów. Butkusowie zebrali około 5 tysięcy dzieł, w tym najcenniejsze przykłady powojennej sztuki litewskiej.

Do końca sierpnia w muzeum można oglądać przekrojową wystawę „Gen Z. Viskas vienu metu”, pokazującą prace 11 młodych artystów z Europy Wschodniej. Jak piszą kuratorzy wystawy, znakiem rozpoznawczym na pozór odległych rzeczywistości stają się „odłożona na później przyszłość i nieustanny stan przejściowy”.

Litewską sztukę współczesną można także oglądać w Centrum Sztuki Współczesnej CAC (ul. Vokieciu 2), na Zarzeczcu i w dzielnicy przylegającej do dworca kolejowego.

Od Wilna do Baltimore

To historia jak z Jorge Luisa Borgesą. Saulius Paukštys, litewski fotografik, wykorzystał dziejową okazję i w 1992 roku pojechał do USA. Po powrocie opowiedział przyjaciółom, że zaprzyjaźnił się z legendarnym Frankiem Zappą. Tu historia rozdwaja się na osobne nurty: jedna wersja mówi, że Paukštys był na koncercie muzyka w Kalifornii, ale nie rozmawiał z nim w ogóle, druga, że rozmawiał, ale przez chwilę.

**Konstytucja republiki Zarzecza
jest chyba najpiękniejszym
aktem prawnym,
jaki powstał w historii
cywilizacji**

Jak by nie było, Paukštys założył w budzącym się do nowego życia Wilnie fan club Franka Zappy i doprowadził do powstania rzeźby muzyka. Rzeźba wzbudziła opór władz, które uznały, że Zappa jest za bardzo podobny do słynnego malarza Mikołajusa Čiurlionisa, a poza tym może przyczynić się do deprawacji młodzieży. Pomnik stanął więc w 1995 r. na uboczu (ul. Kalinausko), a nie, jak chciał Paukštys, obok liceum plastycznego. Zappa nie doczekał jego odsłonięcia, ale w rodzinnym Baltimore odsłonięto kopię litewskiej rzeźby.

A fascynację Frankiem Zappą można odnaleźć również na ul. Literatów, poświęconej artystom, którzy dla wilnian mają szczególne znaczenie. Muzyk, który Wilna zresztą nigdy nie miał okazji odwiedzić, znalazł swoje miejsce pomiędzy Miłoszem, Venclową i Gałczyńskim.

Od średniowiecza do ponowoczesności

Jeśli ze Wzgórza Gedymina popatrzyć na północny wschód, naszym oczom ukaże się widok symboliczny. Wilno ma swoje biznesowe downtown, które przegląda się w starym mieście, nekropoliach i rzece Neris. Przyciąga uznanych architektów, czego dowodem Business Stadium Central – druga wileńska realizacja znakomitej brytyjskiej pracowni architektonicznej Zahra Hadid Architects.

Czy w wieżowcach, szkle i stali może być cokolwiek pociągającego? Owszem, jeśli zdać sobie sprawę, że przez 35 lat Wilno przeszło drogę od skolonizowanego miasta na obrzeżach imperium do regionalnego centrum kulturalno-biznesowego.

Od grodziska do kościoła

Trzydzieści pięć kilometrów na północny zachód od Wilna można zobaczyć jeden z najpiękniejszych pejzaży środkowej Europy. Rzeka Neris rozlewa się tu szeroko i płynie dnem głębokiej pradoliny. Pierwsze ślady osadnictwa znalezione w tym miejscu pochodzą sprzed 10 tysięcy laty.

W nazwie „litewska Troja” nie ma przesady – u szczytu świetności Kernavė, grupa pięciu grodzisk, liczyło 5 tysięcy mieszkańców i stało się pierwszą stolicą Wielkiego Księstwa Litewskiego.

W niewielkim muzeum archeologicznym można oglądać znaleziska z wczesnego średniowiecza – ozdoby, biżuterię, monety, broń, a nawet ludzkie szczątki, jakie pozostały z rytualnych pogrzebów. A częścią ekspozycji są świetnie zachowane grodziska.

Dla Litwinów Kernavė jest ważne z jeszcze innych powodów. Z jednej strony to miejsce, gdzie powstał najstarszy kościół litewski. Z drugiej – chrześcijaństwo spotyka się tutaj z wierzeniami pogańskimi, które przetrwały w dobrej formie do dzisiaj i są istotnym elementem kultury litewskiej. Kultuwującą religię bałtyjską wspólnota Romuva jest zarejestrowana jako wyznanie, a jej duchowni mają między innymi prawo udzielania ślubów i prowadzenia pogrzebów.

To dlatego najdłuższy dzień roku, celebrowany na Litwie 23 czerwca jako święto Jonines, ma w Kernavė tak poważny charakter (Litwini świętują przesilenie wiosenne – letnie dzień wcześniej niż my). W tym roku w obchodach święta uczestniczyło około 20 tysięcy osób: plotły wianki zgodnie ze skomplikowanym rytuałem i stały w długiej kolejce do pomostu, z którego wianek należy rzucić, przechodziły przez symboliczne bramy i śpiewały transowe mantry wokół słupów „kupoł?”, na których płonęły rozpalone przez duchownych z Romuwy ognie.

Nawet jeśli nie uda się wam przyjechać do Kernavė, żeby rzucić w noc przesilenia wianek do rzeki Neris, to miejsce trzeba koniecznie zobaczyć. Widok zapiera dech w piersiach, a obecność litewskich duchów nadal przyjmowana jest tu za pewnik. ●

DZIKA ARMORYKA

W Bretanii wszyscy wiedzą,
że różnica między galette
i naleśnikiem jest zasadnicza.



Bartosz T. Wieliński

Kelner przynosi talerze, na których leżą ciemnoszare naleśniki. Moim gospodarzom na ich widok oczy się śmieją. Ja nie jestem do tej potrawy przekonany. W tej części Francji – z racji bliskości morza – gościa powinno się karmić owocami morza. Mule, przegrzebki, langusty, kawałek homara mógłby na talerzu wylądować... Ale gospodarze chcą, bym spróbował czegoś naprawdę stąd. I właśnie dlatego podano mi galette, naleśnika będącego specjałem regionalnej kuchni bretońskiej.

O galette mawia się, że to naleśniki wytrawne. Biorę do ust pierwszy kęs i z zaskoczeniem stwierdzam, że ciasto nie jest lekkie i słodkie – czego się spodziewałem – ale grube, ciężkie, a w smaku wręcz kwaskowate. Nadzienie też jest – jak to się mówi na moim rodzinnym Górnym Śląsku – konkretne. To ser pleśniowy, jajka, szynka.

W Bretanii je się nawet galette z kielbasą, wokół której zawią się naleśnika. Potrawa przypomina mi hot-doga, choć te skojarzenia zostawiam dla siebie. Jesteśmy przecież we Francji, a w tym nie lubiącej Ameryki kraju takie porównanie uznano by za profanację.

Nazwa „galette” pochodzi z języka Normanów, czyli wikingów, którzy osiedlili się u ujścia Sekwany w X w., przyjęli chrześcijaństwo i założyli państwo. Następnie pod wodzą Wilhelma, nazwanego później Zdobywcą, ruszyli na podbój Anglii. Dla jego wojowników słowo „gale” oznaczało „płaskie ciasto”, czyli placek.

Mijały wieki, a słowo „gale” zostało zdrobnione, nabrało francuskiego sznytu i zakorzeniło się w lokalnej kuchni w sąsiedniej Bretanii. I choć galette serwuje się w naleśnikarniach, to różnica między naleśnikiem a galette jest zasadnicza.

Ciasto robi się nie z mąki pszennej, ale gryczanej – cięższej, gęstszej, o lekko orzechowym smaku. Bretończycy byli dawniej na nią ska-

zani, bo na tutejszych słabych i kwaśnych glebach pszenica ani żyto nie chciały rosnąć. Tymczasem gryka, niewymagająca, niska roślina o drobnych, białych kwiatach, dawała dobre plony. Z pól zbierano trójganiaste orzeszki zwane nielupką, które męło się na mąkę. Bretończykom zresztą takie rolnicze uwarunkowania nie wychodziły na złość. Mąka gryczana jest zdrowsza niż pszenna. I nie zawiera glutenu.

Inna ważna rzecz dotycząca galette: do zrobienia ciasta używa się nie mleka, tylko wody. To też efekt bretońskiej biedy. Wszak mleko niegdyś było tu luksusem.

Gryczana mąka, woda, sól, trochę oleju, do środka jajko i ser. Smakuje bardzo dobrze i szybko zapełnia żołądek. Popijam lokalnym cydrem. Smakuje inaczej niż cydr, który można kupić w Polsce. Nie jest słodki, tylko wytrawny – to brut – i tylko trochę musujący. no i do tego lekki, nie szumi po nim w głowie,

Owoce morza, które także są bretońskim specjałem – z tego regionu pochodzi 1/3 ostryg produkowanych we Francji – muszą poczekać.

Jestem w **Rennes**, liczącej prawie ćwierć miliona mieszkańców stolicy Bretanii, położonej u nasady Półwyspu Bretońskiego: 60 km na północ jest kanał La Manche, 100 km na południowy-zachód rozpościera się Atlantyk.

Wychodzę na Aleję Jeana Janviera, nazwaną na cześć lokalnego polityka z przełomu wieków. Mijam pamiętający jeszcze czasy restauracji monarchii **gmach Liceum im. Emila Zoli**, jedną z najstarszych szkół średnich w kraju.

Budynek w szczególny sposób zapisał się we francuskiej historii. W 1899 r. odbył się tu drugi proces Alfreda Dreyfusa, oficera francuskiego sztabu generalnego oskarżonego o szpiegostwo i mimo braku dowodów skazanego na dożywotnie więzienie w kolonii karnej w Gujanie Francuskiej. Sprawa wywołała wstrząs we Francji. Z jednej strony wybiło antysemityczne szambo, z drugiej narosła fala sprzeciwu przeciwko autorytarnym praktykom w państwie. Dzięki uporowi demokratów udało się doprowadzić do powtórzenia procesu oficera. Sąd w Rennes jednak ponownie uznał go za winnego, choć złagodził wyrok.

• **Latarnia morska na Różowym Wybrzeżu Granitowym (Côte de Granit Rose) w okolicach Ploumanac'h w północnej Bretanii**

FOT. GETTY IMAGES/ISTOCKPHOTO



• **Galette. Specjał regionalnej kuchni bretońskiej czyli wytrawny naleśnik z mąki gryczanej z dodatkami: serem, jajkiem i pomidorami**

FOT. GETTY IMAGES

POZNAJMY
NASZĄ
EUROPE



• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej” i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.



Niedługo później Dreyfus został ulaskawiony, a potem zrehabilitowany.

Dwie przecznice za liceum znajduje się **hala targowa**. Jestem wprawdzie najedzony, ale oglądanie staroświeckich straganów z różną żywnością sprawia mi przyjemność. A w Rennes na stoiskach leżą ułożone w rzędy najrozmaitsze ryby, homary i ostrygi.

Docieram do rzeki Vilaine, gdzie wzdłuż nabrzeża stoi rząd barek. Automatycznie przypomina mi to Paryż, ale z drugiej strony życie w Rennes toczy się o wiele wolniej. Paryż jest napięty do granic, w Bretanii ludzie wrzucają na luz, wszystko toczy się siłą rozpędu.

Tuż przed I wojną światową część uregulowanego koryta Vilaine przykryto. W ten sposób powstał **Plac Republiki**, miejsce, w którym przecinają się główne szlaki komunikacyjne miasta. Stoi tu piękny **Pałac Handlu (Palais de Commerce)**, który niegdyś był po prostu biurowcem, a na parterze handlowano rybami i tkaninami. Dziś mieszczą się tu uczelnie artystyczne: akademia muzyczna i akademia sztuk pięknych.

Dochodzę pod **gmach Parlamentu Bretońskiego**. Stoi przy głównym placu miasta, w pobliżu ratusza. Piękny budynek z XVII w. z wysokim mansardowym dachem wbrew nazwie służył jako sąd apelacyjny. Bretońska szlachta upominała się tu o swoje prawa, gdy naruszali je francuscy monarchowie i ich urzędnicy. W 1720 r. podczas wielkiego pożaru, który strawił znaczną część Rennes, gmach cudem ocalał.

W 1994 r. budowli zabrakło szczęścia. Podczas demonstracji rybaków domagających się większej pomocy ze strony państwa jedna z odpalonych przez nich rakiet sygnalizacyjnych przebiła pokrycie dachu. Gdy drewniane belki dachowe stanęły w płomieniach, a strażacy próbowali opanować pożar, mieszkańcy rzucili się ratować gobeliny i obrazy.

Na odbudowę gmachu i restaurację uszkodzonego przed dym i wodę wyposażenia wydano ponad 55 mln euro.

Dziś budynek pełni tę samą funkcję, urządza w nim sąd apelacyjny. Sale pełne złotych zdobioń, gobelinów i montowanych w kaseto-

1 RP



• Tradycyjne domy szachulcowe na starówce w Rennes. Zachowało się ich tutaj grubo ponad 300 – najwięcej nie tylko w Bretonii ale i w całej Francji
FOT. GETTY IMAGES



• Fragment świetnie zachowanych murów obronnych i twierdzy w Fougères
FOT. GETTY IMAGES/ISTOCK-PHOTO



• Widok na port i uroczę miasteczko Douarnenez, które nigdy niegdyś słynęło z połowu sardynek
FOT. GETTY IMAGES



• Saint-Nazaire. W bazie niemieckich okrętów podwodnych, z czasów II wojny, mieszczą się teraz: wystawa Escal'Atlantic, punkt informacji turystycznej, i sala koncertowa
FOT. GETTY IMAGES

nach na suficie obrazów można zwiedzać. Ale na wizytę trzeba umówić się przez internet.

Na lewo od gmachu parlamentu zaczyna się prawdziwie **Stare Miasto**. Wąskie uliczki, 500-letnie kamienice o fasadach z czerwonego granitu lub czarnego łupku, colombage, czyli ściany wzmacniane belkami z drewna (w Polsce mówimy „pruski mur”, ale we francuskim kontekście takie określenie nie byłoby na miejscu). Zabudowa ściśnięta i krzywa.

Dopelnia jej **Katedra św. Piotra**, jeden z najmniej szczęśliwych budynków w mieście. Zbudowana w tym miejscu w średniowieczu gotycka katedra częściowo się zawaliła. Odbudowa trwała ponad 200 lat. A gdy już miała się zakończyć,

okazało się, że konstrukcja dalej jest niestabilna. Gdy rozpoczęto kolejne podejście do przebudowy, wybuchła rewolucja francuska. Prace zakończono dopiero w połowie XIX w.

To tylko kilka miejsc, które warto odwiedzić w Rennes. Z Warszawy można tu dotrzeć w pięć godzin. Dwie godziny trwa lot do Paryża, na lotnisko im. Charlesa de Gaulle'a, potem godzinka w Rerze B, podmiejskim pociągu jadącym do centrum miasta, i jeszcze kwadrans w płataninie korytarzy paryskiego metra.

A potem ze stacji Paris Montparnasse jedzie się szybkim pociągiem TGV w kierunku Atlan-

tyku. Ostatni odcinek podróży do Rennes trwa niecałe dwie godziny. Koszt: ok. 60 euro.

Z radością zostawiam za sobą paryski zgilek, wieczne korki, ścisk w metrze, w którym trzeba bardzo uważać na kieszonkowców, i rozgrzane jak patelnia bulwary. Bretania – choć w Rennes też mają metro, i to nawet dwie linie – to inny świat.

Inny świat choćby dlatego, że na ulicach tablice są w dwóch językach. Po francusku i bretońsku, który z francuskim nie ma nic wspólnego. I chodzi nie tylko o nazwy miejscowości (Rennes to po bretońsku Roazhon), ale też lokalnych instytucji.

Język bretoński to spadek, a w zasadzie relikt, po czasach, gdy Celtowie trzęśli Europą. Nie tworzyli jednak państw, funkcjonowali raczej jako plemiona, które zawierały ze sobą sojusze albo się nawzajem zwalczały. W końcu ulegli Rzymianom, którzy podbili Galię, a potem Brytanię. Ziemię dzisiejszej Bretonii weszły w skład imperium jako **Armorika**.

W 1959 r. francuski magazyn młodzieżowy „Pilote” opublikował pierwszy odcinek dziejącego się w Armoryce właśnie komiksu o przygodach galijskich wojów Asteriksa i Obeliksa, którzy wraz ze swoją wioską skutecznie stawiają czoła rzymskiej dominacji, chroniąc galijskie, czyli celtyckie, kulturę i język.

Komiks, który zrobił światową karierę (przetłumaczono go na 110 języków, sprzedano 400 mln egzemplarzy i zekranizowano), stał się symbolem Francji i po części Bretonii. Ale jeśli chodzi o przetrwanie celtyckiego języka, komiksowa historia Asteriksa i Obeliksa wprowadza w błąd.

Podbili przez Rzymian galijscy Celtowie szybko się zlatynizowali. Kilkaset lat później, gdy imperium się zachwiało i musiało opuścić Brytanię i oddać ją Germanom, do Armoryki zaczęli przybywać Celtowie z Kornwalii, chroniąc się przed germańskimi najazdami. Po drugiej stronie kanału La Manche okrzepili na tyle, że zachowali odrębność od państwa Franków, a potem Francji.

Niezależność skończyła się dopiero w XV w., gdy zmarł ostatni męski władca Bretonii. A i tak król Francji, poślubiwszy jego córkę (a jego następca wnuczkę), musiał potwierdzić obowiązywanie lokalnych praw i przywilejów.

To historia podobna trochę do losów Mazowsza, które mniej więcej wtedy w podobnych okolicznościach stało się częścią Polski. Tyle że Bretania w ramach Francji pozostała w pewnym sensie osobnym bytem aż do rewolucji francuskiej.

Język bretoński przetrwał te burzliwe czasy. Dziś posługuje się nim mniej niż 300 tys. osób, a liczba ta maleje. Dlatego język uznaje się za zagrożony, w regionie powstają szkoły uczące bretońskiego najmłodszych, język kultury lokalni artyści przy wsparciu bretońskich stowarzyszeń. Wspierają to lokalne władze, ale władze kraju nie.

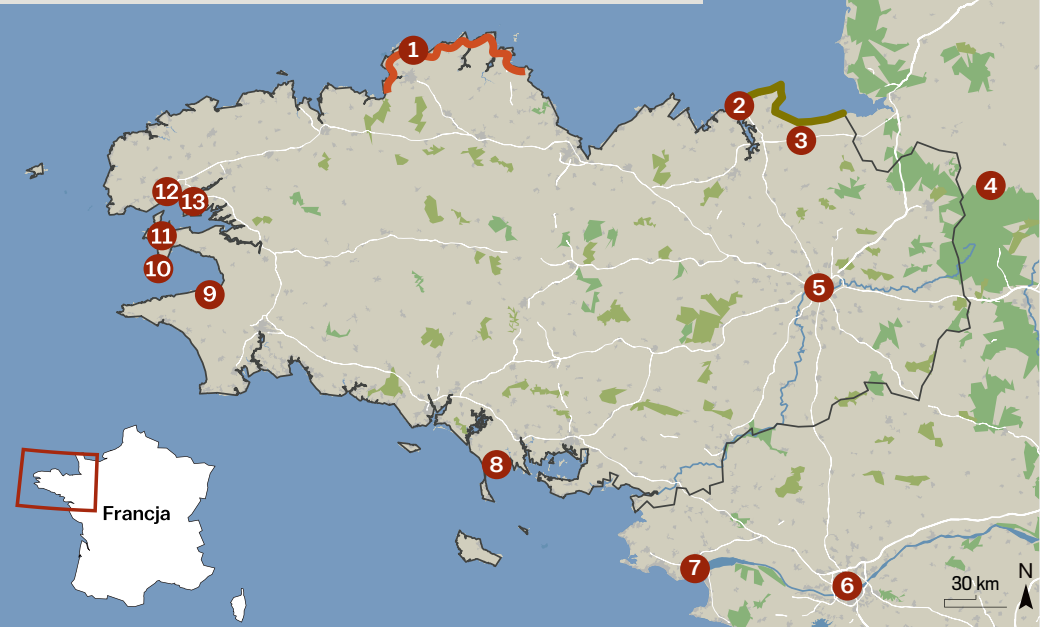
Z perspektywy Paryża Francja to państwo unitarne, gdzie wspiera się język urzędowy. Dekadę temu bretońska rodzina chciała nadać synkowi tradycyjne imię Fañch. Urzędnik stanu cywilnego odmówił zapisania go z tyldą nad literą n, bo taki znak diakrytyczny nie obowiązuje we francuskim alfabecie. Sprawa skończyła się w sądzie, po dwóch latach francuski sąd najwyższy przyznał rodzinie rację.

Na łamach komiksów o Asteriksie i Obeliksie jest też inna nieprawda, która dotyczy **menhirów, wielkich stojących pionowo głazów**. Z komiksu wynika, że Galowie produkowali menhiry jako dekorację. W rzeczywistości stawiano je już tysiące lat przed tym, zanim w tej części kontynentu pojawili się Celtowie, a po nich Rzymianie. Szacuje się, że w Bretonii stały dziesiątki tysięcy takich głazów. Do dziś przetrwało 3 tys. Najwięcej stoi w pobliżu miejscowości **Carnac** w południowej Bretonii.

Ale odmienność Bretonii to nie tylko język i historia. To także **klimat i krajobraz**. Pokutuje taki stereotyp, że wakacje najlepiej spędzać na Lazurowym Wybrzeżu. Luksusowe hotele, ciepłe morze o pięknym kolorze, stare miasto w Nicei, Antibes czy Mentonie, celebryci na pasażach w Cannes czy Monte Carlo.

Bretania. Tu galette pijamy brutem

1. Perros-Guirec
 2. Saint-Malo
 3. Dol-de-Bretagne
 4. Twierdza w Fougères
 5. Rennes
 6. Nantes
 7. Saint-Nazaire
 8. Carnac
 9. Zatoka i miasteczko Douarnenez
 10. Cap de la Chèvre (Kozi przylądek)
 11. Półwysep Crozon
 12. Brest
 13. Zatoka do której wpływa rzeka Élor
- Szlak celników na wybrzeżu
— Côte du Granit Rose (Wybrzeże Różowego Granitu)



© GAZETA WYBORCZA MAPA: JOANNA PATYK

Paryżanie, których było na to stać, pakowali latem samochód i ruszali na południe autostradą A6 do Lyonu, potem A7, „autostradą słońca”, do Marsylii, gdzie autostradą A8 odbijali na wschód. Kogo nie było na to stać, ten mógł Łazurowe Wybrzeże oglądać w telewizji.

Jako dziecko chłonałem przygody żandarmerii z Saint Tropez. No i w końcu zjechałem tę część Francji, od Saint Tropez, aż po włoską granicę. I czar trochę przysł.

Kurorty, w których pół wieku temu stawiano betonowych hotelowców, straciły urok. Starówki są cudowne, ale zatłoczone, bo nad Łazurowe Wybrzeże zjeżdżają ludzie z całego świata. Morze ma niesamowity kolor, pamiętam, jak jako nastolatek wspinałem się na zamkowe wzgórze w Nicei i, patrząc z góry, pojąłem, skąd wzięła się nazwa.

Ale krajobraz jest raczej monotony. Wapienne skały polerowane przez morze, wielkie wille milionerów blokujące dostęp do morza i w większości kamieniste plaże. Spróbujcie wejść do morza w Nicei... No i temperatura. Na Łazurowym Wybrzeżu da się żyć wiosną lub jesienią. Ale nie latem.

● **A w Bretanii** w czasie klimatycznych perturbacji nawet w sierpniu jest czym oddychać. No chyba że nadejdzie fala katastrofalnych upałów jak pod koniec czerwca. Na bretońskim wybrzeżu nie ma willi bogaczy blokujących dostęp do morza, nie ma tłumów turystów na plażach. A o krajobrazie nie można powiedzieć, że jest monotony.

Dwie godziny jazdy na północny zachód z Rennes znajduje się **miejsceowości Perros-Guirec**. A wokół niej wybrzeże upstrzone tysiącami wielkich głazów. Mają lekko czerwony kolor, stąd nazwa tego miejsca **Wybrzeże Różowego Granitu** (*Côte du Granit Rose*). Tak jakby miliony lat temu ktoś usypał długi na ponad 10 km wał ze skał, a morze poddało go obróbce, poprzewracało skalne klocki, niektóre połamało. Granitowe głazy mają wygładzone krawędzie, kolor nadają im czerwone minerały: skałki i hematyt.

Do tego krajobraz zmienia się w zależności od pory dnia. Przypływ i odpływ następują tu po sobie co 6 godzin i 12 minut.

Podczas odpływu w pobliskich małych portach, takich jak Ploumanac'h, jachty i łodzie zagłębiają się w mule. Woda wycofuje się stamtąd całkowicie. Wzdłuż różowych skał można wtedy spacerować, w zagłębieniach, z których woda nie ma jak uciec, siedzą kraby. W oddali widać wyłonięne z morza skaliste wyspy. Mija kilka godzin, poziom wody się podnosi, krajobraz się zmienia.

● Wzdłuż morza, między miejscowościami Różowego Wybrzeża Granitu biegnie **szlak celników**. To trasa, którą w czasach rewolucji francuskiej, czyli pod koniec XVIII wieku, patrolowali celnicy zwalczający kontrabandę. Władze rewolucyjne wprowadziły drakońskie cła i podniosły podatki, więc setki holenderskich i brytyjskich marynarzy parały się szmugłem, dowożąc do pogrążonej w kryzysie Francji np. zboże czy herbatę.

Celnicy okazali się bezsilni, bo było ich zdecydowanie mniej niż



● **Jachty i żagłówki w Trégastel, niedaleko Perros-Guirec na Wybrzeżu Różowego Granitu**
FOT. GETTY IMAGES

przemysłowców, poza tym miejscowa ludność miała do państwa wrogi stosunek.

Bretania była wszak jednym z głównych ośrodków oporu przeciwko rewolucji. Dopiero przejęcie władzy we Francji przez Napoleona i reforma służby celnej, do której zaczęto kierować weteranów z frontowym doświadczeniem, przyniosły efekty. Ale wybrzeże i tak nie było szczelne. Dziś dawnym celniczym szlakiem podążają turyści.

● Inne niesamowite miejsce na wybrzeżu to **półwysep Crozon**. Kształtem przypomina krzyż wbity w zachodni skraj Bretanii. Przy prawym ramieniu znajduje się zatoka, do której wpływa rzeka Èlorn, a na jej drugim brzegu rozciąga się wielkie **portowe miasto Brest**. Jest tam też **Ile Longue**, ściśle strzeżona baza francuskich okrętów podwodnych, które przenoszą pociski międzykontynentalne z głowicami jądrowymi.

Przy lewym ramieniu półwyspu Crozon rozciąga się **zatoka Douarnenez** pełna pięknych klifów. Najpiękniejsze i najwyższe otaczają **Kozi Przylądek** (*Cap de la Chèvre*). To chyba najdziksze miejsce we Francji, wcinająca się w ocean surowa skała pokryta wrzosowiskami, nad którymi gdzieś górują sosny. Można godzinami stać na skraju klifu i patrzeć na zachód, w bezkres Atlantyku.

Ale można pojechać na drugą stronę zatoki do **miasteczka Douarnenez**. To śliczna, wręcz pocztówkowa miejscowość, która niedługo się słynęła z polowy sardynek. Na przełomie XIX i XX wieku w 50 tułtejszych przetwórnich produkowano tu 160 mln konserw rocznie. Żaden inny rybacki port na świecie nie miał większej wydajności niż to li-czące tylko 15 tys. ludzi bretońskie miasteczko.

Co ciekawsze, przy obróbce ryb pracowały wyłącznie kobiety. Mężczyźni na pokładach kutrów zajmowali się połowem. Dziś nielicznym rybackim łodziom można się przyglądać w starym porcie w czę-

ści miasteczka znanej jako Rosmeur. Przetwórnicy nie ma już ani jednej.

● Dobrze pamiętam swoją pierwszą podróż do Bretanii. Był pamiętny wrzesień 2001 r. Zaczynałem szkołę w Paryżu i ściubiłem franki (euro wprowadzonodopiero od 2002 r.), by w weekendy móc wyjechać dalej za miasto. Sama podróż pędzącym 250 km na godz. pociągiem TGV była przeżyciem. Wówczas pod względem samego standardu obsługi pasażerów polska kolej w porównaniu z francuską była w trzecim świecie. Bilety na grubym papierze przechowywałem jako pamiątkę.

W pewną wrześniową sobotę wysiadłem więc do **Nantes**. To historyczna bretońska stolica założona tuż przy ujściu Loary, najdłuższej rzeki Francji, do Atlantyku. Dworzec jest tuż obok starówki, więc prosto z pociągu poszedłem zwiedzać renesansowy **Zamek Książąt Bretońskich** wzniesiony w czasach niezależności księstwa w murach średniowiecznej twierdzy otoczonej fosą. Zderzenie stylów – potężnych murów i wież z pełnym renesansowych zdobień, delikatnym, choć wysokim pałacem o fasadzie z białego tufu – daje niesamowity efekt.

Wewnątrz murów jest też mniejszy budynek zwany **Petit Gouvernement**. W nim podczas wizyt w Nantes mieszkał francuski król.

W tym miejscu w 1598 r. król Henryk IV wydał edykt nantejski, który po krwawych wojnach religijnych zapewniał hugenotom, czyli francuskim protestantom, ograniczone swobody religijne i zrównywał ich w prawach z katolikami. Edykt wprowadził na dłuższy czas religijny pokój we Francji, choć Henryk IV już 12 lat po wydaniu edyktu zginął z ręki fanatycznego jezuitę, a za panowania jego syna Ludwika XIII, gdy Francją faktycznie rządził kardynał Richelieu, rozpoczęto prześladowania hugenotów, co doprowadziło ostatecznie do ich emigracji.

Na zamku dziś działa muzeum historyczne opowiadające historię Bretanii i Nantes. Sporo miejsca po-

święcono niewolnictwu. W portowym mieście rozpoczynał się i kończył szlak wykorzystywany przez handlarzy niewolników. Wypływały stąd statki załadowane tkaninami, wyrobami manufaktur, bronią. Te towary w portach Afryki wymieniano na niewolników, których tymi samymi statkami przewożono do francuskich kolonii na Karaibach, gdzie ich sprzedawano. A miejsce po nich w okrętowych ładowniach zajmowały cukier, bawełna, tytoń czy rum, czyli typowe produkty z amerykańskich plantacji obsługiwanych niewolniczą siłą roboczą.

Okręty wracały do Nantes, trójkątny cykl zaczynał się od nowa. Mimo że w Nantes nie było nigdy niewolników – we Francji w przeciwieństwie do jej kolonii niewolnictwo było zakazane – miasto bogaciło się na handlu ludźmi. Ofiary tego haniebnego procederu upamiętnia pomnik stojący w porcie przy nabrzeżu, skąd wyruszały statki w kierunku Afryki.

● Z Nantes pojechałem wtedy dalej, nad sam ocean, do **Saint Nazaire**. Ciągnęłam mnie tam pamiątki po II wojnie światowej: zbudowany przez Niemców **żelbetowy schron dla okrętów podwodnych** i największy suchy dok w Europie. Dla miłośnika zamków takie obiekty to żadna atrakcja, ale dla ludzi, których interesuje II wojna światowa, to symboliczne miejsca.

Gdy Niemcy w 1940 r. zajęli Francję, jej oceaniczne porty przejęła Kriegsmarine. Z francuskiego wybrzeża operowały niemieckie okręty podwodne, polując na konwoje, którymi z USA wożono pomoc wojсковą do Wielkiej Brytanii, a potem do ZSRR. By uchronić U-Booty przed nalotami alianckich bombowców, Niemcy budowali na nabrzeżu gigantyczne bunkry z żelazobetonu, których strop był tak gruby, że wytrzymał bezpośrednie trafienie bombą lotniczą.

Bunkier w Saint Nazaire, głównej atlantyckiej bazie Kriegsmarine, skąd dowodził operacjami okrętów podwodnych, ma 300 m długości. Wylano tam 460 tys. m sześci. betonu. Bunkier ma 14 doków, z czego 8 było suchych, czyli można z nich było odpompować wodę, by dokończyć napraw kadłuba czy śrub napędowych. Przez czas okupacji przewinęło się przez niego aż 100 jednostek. Alianci próbowali bunkier zniszczyć, Saint Nazaire było bombardowane 50 razy. Miasto zostało prawie całkowicie zniszczone. A bunkier stoi do dziś. Po wojnie przejęła go francuska marynarka wojenna, dziś w jego wnętrzu stoi francuski okręt podwodny Espadon, przerobiony na muzeum. Gdy 25 lat temu kupo-

wałem bilet wstępu, kasjerka dla celów statystycznych pytała, z jakiego jestem kraju. I zdziwiła się, że ktoś z Polski dotarł nad ocean, by zwiedzać francuski okręt podwodny.

● Z wielkim dukiem w Saint Nazaire alianci byli bardziej skuteczni. Był to jedyny dok poza Niemcami, który mógł pomieścić niemiecki pancernik Tirpitz, największy okręt pływający po europejskich wodach, którego bali się brytyjscy admirałowie. Suchy dok oznaczał, że okręt będzie miał gdzie się wycofać, by przejść na prawy i wrócić na morze do walki. Dlatego Brytyjczycy postanowili dok zniszczyć. Ale lotnictwo było – tak jak w przypadku schronu dla okrętów podwodnych – bezsilne. Przeprowadzono więc operację specjalną. W marcu 1942 r. Brytyjczycy wysłali do portu nafaszerowany materiałami wybuchowymi niszczyciel, który z pełną prędkością wbił się we wrota doku, a po kilku godzinach eksplodował, niszcząc obiekt i zabijając oficerów Kriegsmarine, którzy weszli na jego pokład.

Dok po wojnie odbudowano. Gdy stałem nad przechodzącym nad nim mostem – a z doku akurat wypompowano wodę – mogłem wyobrazić sobie rozmiary niemieckiego pancernika. Dzięki śmiałości brytyjskiej akcji Tirpitz nigdy nie wziął udziału w morskiej bitwie. Na rozkaz Hitlera ewakuowano go do Normandii. W listopadzie 1944 r. pancernik ostatecznie zatopiły brytyjskie bombowce.

● Do Bretanii wróciłem w 2017 r. przed wyborami prezydenckimi, w których liberal Emmanuel Macron walczył z Marine Le Pen ze skrajnej prawicy. Kręciłem się wokół Rennes, pytając ich zwolenników i poznając problemy francuskiej prowincji. Bretania to region rolniczy, ale już wtedy głośno narzekano na niskie ceny skupu i wysokie ceny paliwa, konkurencję ze wschodu: niemieckie reżenie, polskich kierowców ciężarówek.

Dwa lata później część moich rozmówców maszerowała w pochodach „żółtych kamizelek”, pozaparyskiej rewolwy, która wybuchła, gdy Macron, by chronić klimat, podniósł akcyzę na diesel. Rozmawiałem z lokalnymi politykami z **Fougeres**, a po spotkaniach zdążyłem zobaczyć **tamtejszy zamek**, największą średniowieczną twierdzę Europy. Jeden z dawnych władców hodował w jej murach osły, co w Fougeres kulturowane jest po dziś dzień.

W **Dol de Bretagne** dołączyłem do spotkania Le Pen z miejscowymi kierowcami. Kandydatka pozowała nawet z kierowcą ciężarówki. Później przez kilkadziesiąt minut, czekając na pociąg do Rennes, spacerowałem wzdłuż kamieniczek o kamiennych murach. Typowa Bretania.

● Jest jedno miejsce, które chcę zobaczyć. To **Saint Mâlo**, otoczony wysokim średniowiecznym murem przepiękny port położony nad kanałem La Manche. Niezwykle gęsta zabudowa, katedra, zamek i setki niesamowitych historii o francuskich korsarzach i kolonistach, którzy właśnie z Saint Mâlo ruszali na podbój Ameryki. Pociąg z Rennes jedzie tu jedynie 54 minuty. Aż wstyd się przyznać, że jeszcze tam nie dotarłem. ●



● **Skupisko pionowo ustawionych głazów w okolicach Carnac. Pochodzą z okresu neolitu, z około 3300 r. p.n.e, a niektóre są nawet starsze**
FOT. SHUTTERSTOCK

Letzter Halt: Warschau

Właśnie tak wygląda miejsce Polski w hierarchii niemieckich priorytetów

Parys

Są decyzje, których nie da się usprawiedliwiać kolejnymi analizami, konsultacjami i komisjami. Na końcu zostaje już tylko jedno słowo: hańba.

Od miesiący czytam o kolejnych spotkaniach, konsultacjach, analizach i dyskusjach niemieckiego rządu dotyczących symbolicznego wsparcia dla ostatnich żyjących polskich ofiar niemieckiego teroru z czasów drugiej wojny światowej.

Nie chodzi o reparacje ani o biliony euro, chodzi o spóźniony gest wobec ludzi, którzy byli więzieni, wywożeni na roboty przymusowe, prześladowani i którym niemieckie państwo odebrało młodość i szansę na normalne życie. Jeszcze rok temu żyło ich około 64 tysięcy, dziś jest ich już tylko 55 tysięcy. Każdego miesiąca odchodzą kolejni, a niemiecki rząd nadal dyskutuje.

Poprzedni kanclerz, Olaf Scholz, zaproponował jednorazowy fundusz w wysokości 200 milionów euro. Polska uznała jednak, że to nie odpowiada ani skali krzywd, ani potrzebom ostatnich żyjących. Dlatego wskazała inne rozwiązanie: coroczne świadczenie dla każdej z ofiar. Łączny koszt takiego programu oszacowano na około 300 milionów euro, z czego w pierwszym roku Niemcy musiałyby przeznaczyć na wypłaty około 100 milionów.

To oznacza rocznie dla każdej z osób 10 tysięcy złotych. W kolejnych latach wydatki byłyby coraz niższe, bo z każdym rokiem ubywa ludzi, dla których ten gest ma jeszcze jakiekolwiek znaczenie. Tymczasem mijają miesiące, lata i nic się nie dzieje. Czy to możliwe, że dla trzeciej gospodarki świata 300 milionów stanowi aż taki problem?

Niemcy od dziesięcioleci budują swój autorytet na odpowiedzialności, kulturze pamięci i moralnym obowiązku wobec ofiar narodowego socjalizmu. Wspaniale. Tyle że w tym przypadku nie chodzi już o kolejne przemówienia przy pomnikach, których polskie ofiary i tak wciąż właściwie nie mają, jeśli nie liczyć tymczasowych rozwiązań i symbolicznych kamieni. Chodzi o coś znacznie istotniejszego: o wiarygodność i dotrzymywanie słowa.

Wszystko razem wzmacnia przekaz od lat obecny w polskiej prawicy, która

przekonuje, że Niemcom nie można ufać. Odkładanie decyzji staje się wodą na młyn dla tych, którzy polityczną siłę budują na nieufności wobec Niemiec i pogłębianiu podziałów.

Nie sądzę, by taki był zamysł niemieckiego rządu. Coraz częściej odnoszę jednak wrażenie, że Polska nie jest traktowana jako temat wymagający długofalowej uwagi. Czy Berlin ma dziś wobec Polski jakąkolwiek spójną strategię? Jak to możliwe, że Polska jako bezpośredni sąsiad, kluczowy partner strategiczny, jeden z najważniejszych partnerów handlowych, wciąż nie należy do najważniejszych priorytetów niemieckiej polityki?

Jak to możliwe, że Polska jako bezpośredni sąsiad, kluczowy partner strategiczny, jeden z najważniejszych partnerów handlowych, wciąż nie należy do najważniejszych priorytetów niemieckiej polityki?

W grudniu, podczas wizyty kanclerza Niemiec Friedricha Merza w Polsce, Donald Tusk zwrócił się do niemieckiego rządu z prośbą: „Proszę, zróbcie to szybciej”. Trudno wyobrazić sobie bardziej umiarkowany apel. Ale decyzji nadal nie ma.

I chyba właśnie to niepokoi mnie najbardziej. Ten coraz bardziej utrwalający się sposób (nie)działania Niemiec. Odkładanie decyzji, powoływanie kolejnych komisji, zapowiedzi zamiast rozstrzygnięć. Trudno oprzeć się wrażeniu, że nie jest to wyjątek, lecz pewien utrwalony mechanizm.

Widać go w wielu innych sprawach. Od lat ciągną się kwestie zwrotu zagrabionych podczas wojny dzieł sztuki i dóbr kultury. Zdarza się, że obrazy i inne zabytki pojawiają się na niemieckim rynku sztuki, trafiają do katalogów aukcyjnych lub zmieniają właścicieli, mimo że od lat figurują w polskich rejestrach dzieł utraconych albo są przedmiotem roszczeń restytucyjnych.

To samo dotyczy inwestycji. Od kilkunastu, a właściwie od kilkudziesięciu lat

słyszymy o modernizacji połączeń kolejowych między Polską a Niemcami. Zmieniają się rządy, ministrowie i plany, poza jednym: satysfakcjonujących połączeń nadal nie ma. Dziś przyczynę tego upatruje się w skutkach pandemii, wojny w Ukrainie, rosnących kosztach czy problemach kadrowych.

Niezależnie jednak od powodów, rezultat od lat pozostaje ten sam. Gdy przychodzi do podjęcia konkretnych decyzji, Polska zbyt często okazuje się partnerem, który może jeszcze poczekać.

Podobnie jest z budową Centralnego Miejsca Pamięci poświęconego polskim ofiarom niemieckiej okupacji. Bez większej refleksji wygaszane są polskojęzyczne media. Protesty przeciwko planowanemu zamknięciu Radia Cosmo nie wywołały właściwie żadnej poważniejszej reakcji. Jakby obecność języka polskiego w niemieckiej przestrzeni publicznej przestała mieć znaczenie.

Patrzę na obchody trzydziestopięcioletnia polsko-niemieckiego Traktatu o dobrym sąsiedztwie, śledzę konferencje, jubileusze, debaty i okolicznościowe przemówienia i pytam: co my właściwie świętujemy?

Patrzę na obchody trzydziestopięcioletnia polsko-niemieckiego Traktatu o dobrym sąsiedztwie, śledzę konferencje, jubileusze, debaty i okolicznościowe przemówienia i nie wierzę. Co my świętujemy?

Zwrot XVI-wiecznego pierścienia Zygmunta Augusta urosł do rangi wydarzenia o historycznym znaczeniu, choć w rzeczywistości był jedynie spóźnionym naprawieniem oczywistej niesprawiedliwości.

Oczywiście dobrze, że pierścień wrócił do Polski. Każde dzieło sztuki i każdy odzyskany przedmiot ma znaczenie, ale powinien być jednym z wielu takich zwrotów, a nie wyjątkiem przedstawianym jako dowód przełomu. Dobra wola nie polega na pojedynczych, szeroko nagłośnionych zdarzeniach. Polega na konsekwentnym zamknięciu spraw, które od dziesięcioleci pozostają otwarte.

Przez trzydzieści pięć lat słyszeliśmy o partnerstwie, pojednaniu i wspólnej Europie. I wierzę, że wiele z tych słów było szczerych. Problem polega na

tym, że nawet najszlachetniejsze deklaracje kiedyś przestają odnosić skutek. Jeśli przez dziesięciolecia nie idą za nimi decyzje, zaczynają tracić moc. Nie dlatego, że ktoś przestaje wierzyć w pojednanie. Dlatego, że pojednanie nie może istnieć wyłącznie w przemówieniach.

Ostatnio słuchałam w Bundestagu wystąpienia Knuta Abraham, pełnomocnika rządu federalnego do spraw współpracy z Polską. Było rzeczowe, dobrze przygotowane i przekonujące, miejscami nawet emocjonalne. Abraham mówił między innymi o tym, że czasy traktowania Polski jako młodszego partnera bezpowrotnie minęły, że Polska jest dziś ważnym partnerem i w wielu obszarach może być dla Niemiec wzorem. Uderzyło mnie jednak coś zupełnie innego: na sali siedziało zaledwie kilkunastu posłów. Być może to przypadek, być może zwykła parlamentarna codzienność. Nie potrafiłam jednak oprzeć się wrażeniu, że ten obraz mówił równie wiele jak samo przemówienie. Pomyślałam wtedy, że tak właśnie wygląda miejsce Polski w hierarchii niemieckich priorytetów.

Na koniec chciałabym jednak wrócić do kwestii najważniejszej: do 55 tysięcy żyjących ludzi. Być może w chwili, gdy to piszę, jest ich już o kilka tysięcy mniej, ale wbrew pozorom czas nie pracuje też na korzyść tych, którzy odwołają decyzję. Wraz z kurczącą się liczbą ofiar teroru Niemcy zaoszczędzą kilka milionów euro, ale stracą coś znacznie cenniejszego – wiarygodność. A tej tak szybko się nie odbuduje.

To przeczekiwanie jest po prostu hańbą. ● **Magdalena Parys**

Magdalena Parys

• pisarka, publicystka, pisała m.in. dla „Magazynu Wyborczej”, „Wysokich Obcasów Extra”, „Zwierciadła”, „Pisma”, „Stuttgarter Zeitung”, „Marianne”. Mieszka w Berlinie. Laureatka Europejskiej Nagrody Literackiej. Jej trylogia berlińska – przetłumaczona na kilkanaście języków „Magik”, „Książę” i najnowszy „Floren” – dostępne na Kultu-ralnysklep.pl i w formie e-booków oraz audiobooków na Publio.pl.

FOT. ANNA POWAŁOWSKA - GÓRSKA



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414015

Połącz **Kropki**
Idealna gra
na krótką przerwę

Zeskanuj
QR kod i graj



**APLIKACJA
WYBORCZEJ**

Czy Lupita Nyong'o zna Homera? A kto nie zna?

Nie trzeba nawet czytać „Odysei”, bo jej echa odnajdujemy w niezliczonych dziełach kultury, również masowej.

Jarek Szubrycht

W swojej ekranizacji „Odysei” Christopher Nolan powierzył rolę Heleny Trojańskiej i jej siostry Klitajmestry Lupicie Nyong'o. Helena słynęła z urody – wszystko się zgadza, Nyong'o jest piękną kobietą. Aktorką też pewnie niezgorszą, skoro ma już na koncie Oscara za drugoplanową rolę w „Zniewolonym”.

Powiedzieć jednak, że wybór Nola na wzbudził kontrowersje, to nic nie powiedzieć, bo urodzona w Meksyku Kenijka ma kolor skóry typowy dla przedstawicieli tej nacji, Helena natomiast... no właśnie.

Czy wiemy na pewno, jaką karnację miała córka boga Zeusa, która ponoć wyklula się z labędziego jaja? Czy przypominała Lupitę, czy może bardziej blondwłosą, błękitnooką Diane Kruger, która ponad dwie dekady temu zagrała Helenę w „Troji” Wolfganga Petersena?

Nie jestem pewien, kwestiami rasowymi w poniższym tekście zajmował się zatem nie będę. O wiele ciekawsza wydaje mi się awantura wokół wyznania Nyong'o, że przed propozycją Nolana o „Odysei” nie słyszała.

Kogo ominęła „Odyseja”?

W wywiadzie udzielonym magazynowi „Elle” w maju 2026 r. aktorka otwarcie przyznała: „Naprawdę nie miałam pojęcia, czym jest »Odyseja«”.

Powiedziała „tak” Nolanowi, zanim wyjaśnił jej, kogo ma zagrać, bo czy jest na świecie aktor, który odmówiłby dużej roli twórcy „Interstellara” i „Oppenheimeira”? Potem sięgnęła po książkę, a później po następne, by nie tylko poznać historię, którą miała nam opowiedzieć, ale i szerszy, historyczny i kulturowy kontekst. Była szczerą, to się chwali, ale w sieci znowu zawrzało. Została okrzyknięta ignorantką, niegodną świętokradczego udziału w przedsięwzięciu tak doniosłym jak ekranizacja „Odysei”. Przecież my z niej wszyscy. Bez eposu Homera nasz język byłby ubogi jak chłopi spod Myken, nasza wrażliwość tępa niczym miecze w epoce brązu, a wyobraźnia płaska jak morze w czasie flauty.

Ironizuję, choć to wszystko prawda. „Odyseja” – oraz „Iliada” – to fundament literatury Zachodu. I już mniejsza o to, czy Homer naprawdę istniał i czy napisał samodzielnie tak wybitne, skończone dzieła (prawdopodobnie nie, ktokolwiek nadał im ostateczny kształt, był zapewne zręcznym kompilatorem pieśni dojrzewających przez wieki i mających wielu autorów) – ważne jest to, że w naszym kręgu kulturowym chyba tylko Biblia ma większą siłę rażenia, mierzoną cytataми, trawstacjami i reinterpretacjami. Ale to sfera sacrum, innymi rządzi się prawami.

Spośród profanów z Homerem w szranki mógłby stanąć tylko Szekspir, ale czy podniósłby rękę na swojego mistrza? Nawet jeśli „Odysei” nie czytał (a mógł nie zdążyć, bo jej pierwsze kompletne tłumaczenie, autorstwa George'a Chapmana, ukazało się raptem rok przed śmiercią angielskiego poety), znał wiele innych tekstów, starożytnych i jemu współczesnych, które od Homera to i owo zapożyczały lub zapożyczały od tych, co przed nimi zapożyczyli.

Lupita Nyong'o dorastała w Nairobi, tam chodziła do szkoły, zatem można założyć, że nawet w epoce globalizacji program miała nieco inny niż dzieciaki z krajów szeroko pojmowanego Zachodu (tudzież Północy). Mogłoby to jej niewiedzę usprawiedliwiać, gdyby nie fakt, że studia aktorskie kończyła w Stanach, co już wystawia nienajlepsze świadectwo... Tylko nie wiadomo, czy bardziej jej czy uczelni. Ale tych, co rwą się do odsądzania aktorki od czci i wiary, zapytałbym przy okazji, co ze swoją wiedzą o istnieniu „Odysei” zrobili? Czy wszyscy, którzy uważają, że Nyong'o nie zasłużyła na rolę Heleny, na pewno przeczytali epos Homera? W całości?



A jeśli nie, to co jest cięższym grzechem – nie wiedzieć o istnieniu „Odysei” i jej wadze czy doskonale wiedzieć, uważać się za strażnika tożsamości kulturowej, ale przez całe życie nie znaleźć czasu, by otworzyć książkę?

Odyseja sądowa i zdziczałe syreny

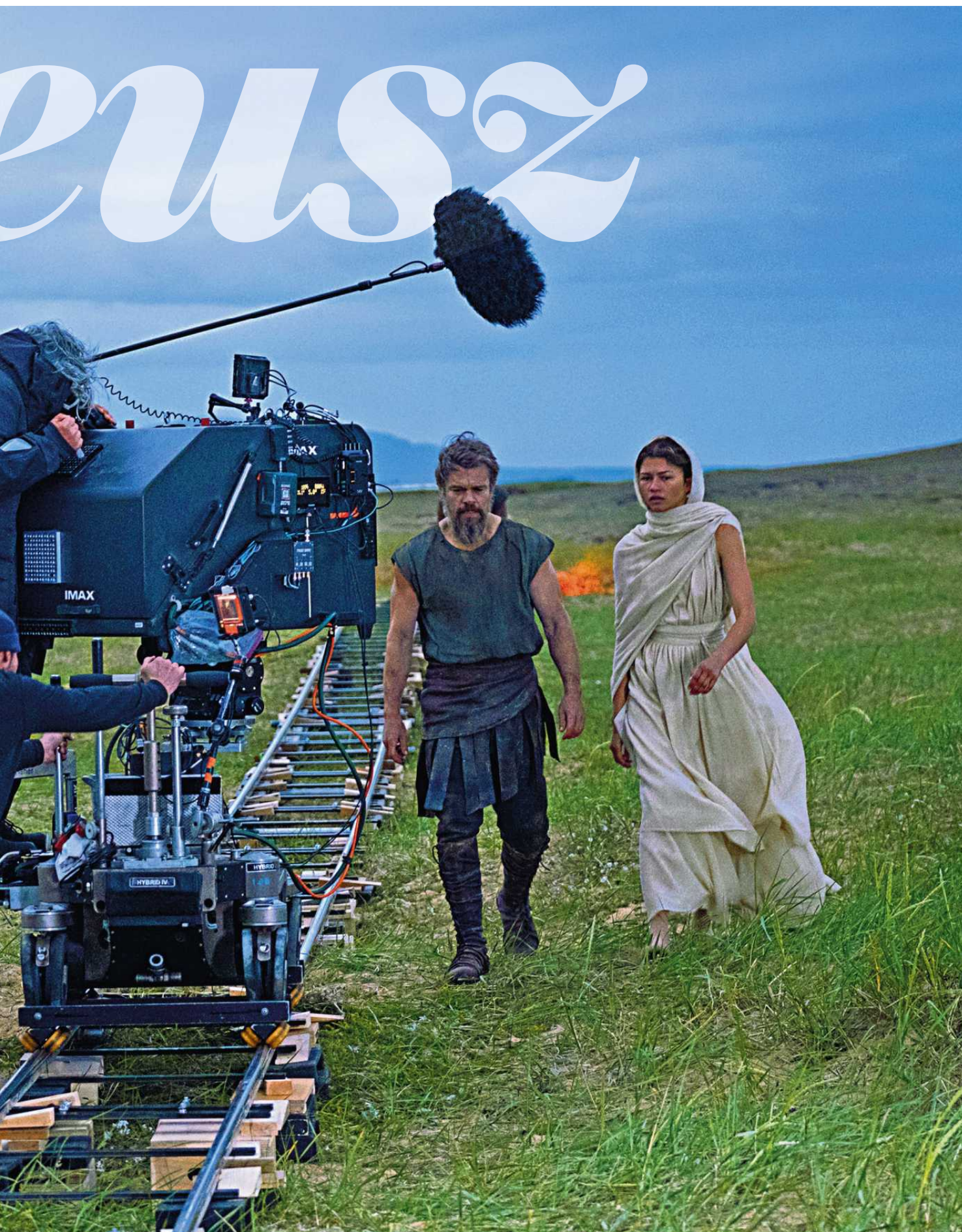
Okruchy „Odysei” codziennie nam towarzyszą, już choćby za sprawą samego tytułu, który w dziesiątkach współczesnych języków robi za rzeczownik polspolity. Według Słownika Języka Polskiego odyseja to „długa wędrówka pełna przygód i dramatycznych wydarzeń”, traktowana bywa jako synonim podróży, choć niekoniecznie w komfortowych warunkach, czy wręcz tułaczki.

Autor filmu dokumentalnego „Rok pierwszy: polityczna odyseja” zapewne sugeruje tytułem, że początek prezydentury Joe Bidena nie był łatwy. Na Kongresie Chorób Rzadkich prelegenci mówili o „odysei diagnostycznej” i nietrudno się domyślić, o co im chodziło, o „sądowej odysei” mieszkanka Nysy informowała TVP („pięć lat procesu, kilka instancji, zmiana kwalifikacji czynu”). Kiedy media donosiły o „drogowej odysei”

na Śląsku, chodziło o to, że zbyt długo trwają prace nad nową trasą z miasta A do miasta B. Nie do końca rozumiałem tylko, dlaczego imprezę biegową na Pomorzu nazwano Kołobrzeską Odyseją – mam nadzieję, że wszyscy zawodnicy dotarli do mety.

Trudno zatem jednoznacznie rozstrzygnąć, kiedy ktoś w nazwie lub tytule odwołuje się do „Odysei”, a kiedy do odysei. Czy kultowy film „2001: Odyseja kosmiczna” był dialogiem Kubricka z Homerem? A co z takimi gramami jak „Assassin's Creed: Odyseja” czy „Field of Growth: A Farmer's Odyssey”? Akcja pierwszej z nich dzieje się co prawda w starożytnej Grecji, ale na tym podobieństwa się kończą, a w tej drugiej gracz jest współczesnym rolnikiem i dogląda swoich upraw oraz hodowli. Śmiało można powiedzieć, że Odyseusz trafił pod strzechy.

Syreny też zawdzięczamy „Odysei”. Kusily Odyseusza i jego kompanów pięknym śpiewem, ale zamiary miały paskudne. Dlatego syrena w potocznej angielszczyźnie oznacza kobietę atrakcyjną i niebezpieczną zarazem. Pamięta się też o syrenim talencie muzycznym, czego dowodem choćby przejmująca pieśń „Song to the



Siren” Tima Buckleya. Zemstą nowożytnych za brzydkie zachowanie syren wobec naszych praszczurów jest nazwanie ich imieniem urządzeń wydających donośne, ale nieprzyjemne dźwięki ostrzegające przed niebezpieczeństwem. Doskonale uchwycił tę leksykalną perfidię Tadeusz Baranowski, zmarły niedawno mistrz komiksu, w „Antresolce profesorka Nerwosolka”, urządzając podróżnikom koncert zdziczałych syren okrętowych.

Gdyby Lupita dorastała w PRL-u, „Odyseja” by jej nie ominęła. Zajadałaby się lodami Calypso (grecka nimfa), czytając „Antresolkę...” albo inny wielki hit, powieść „Telemach w dżinsach” i jej kontynuację „Gdzie twój dom, Telemachu?” autorstwa Adama Bahdaja, mistrza literatury młodzieżowej. To historia nastolatka próbującego odnaleźć ojca, który zostawił rodzinę, gdy chłopiec był mały. Zapewne jak Odyseusz zostawiający w domu, w Itace, Penelopę i synka Telemacha miał swoje powody, bo męska rzecz być daleko, a kobieca wiernie czekać.

O tym właśnie był nakręcony w 1988 r. film „Penelopy” Bohdana Poręby, o trzech żonach marynarzy, które niby opływały w luksusy niedostępne dla przecięt-

**Co jest cięższym grzechem?
Nie wiedzieć o istnieniu „Odysei”
i jej wadze,
czy doskonale wiedzieć, uważać się
za strażnika tożsamości kulturowej,
ale przez całe życie nie znaleźć czasu,
by utworzyć tę książkę?**

nych obywateli schyłkowego PRL-u, ale tego, co najważniejsze, nie miały. „Penelopy” to również tytuł piosenki zaśpiewanej mniej więcej w tym samym czasie do innego filmu („Porcelana w składzie słonia”) przez Kalinę Jędrusik. „Penelopy przesmutne, zaprzestanie czekania/ Żaden Odys na świecie tyłu lat nie jest wart” – to

czyży apel. Jak Penelopa kocha, to poczeka, stąd przecież związek frazeologiczny „wierna jak Penelopa”.

Odyseusz w kosmosie

Jak już wiemy, Nyong’o urodziła się w innym miejscu i czasie, nie oglądała polskiej telewizji, nie czytała naszej literatury młodzieżowej. Musiała mieć jednak styczność z dziełami kultury świecącymi światłem od „Odysei” odbitym i bynajmniej nie chodzi mi o „Uliksa” Jamesa Joyce’a. Swoją drogą, kiedyś egzemplarz tej powieści zbierał kurz na półce każdego domu z pretensjami do inteligencji. Obecnie jego brak w zbiorach książkowych już nie jest kompromitujący. Chyba nie jest nawet kompromitujący brak domowej biblioteczki. A jednak starożytne dzieło wciąż inspirowało i chyba nawet dociera do szerszych mas niż kiedykolwiek wcześniej – dzięki telewizji, kinu czy grom wideo.

Pomijam jako zbyt oczywiste dotychczasowe ekranizacje „Odysei” lub jej fragmentów, choć, korzystając z okazji, polecę najświeższą, czyli kameralny dramat „Powrót Odyseusza” z Juliette Binoche i Ralphem Fiennesem, która można znaleźć na jednej z platform streamingowych.

Nie znam jednak wspanialszej filmowej „Odysei” – i nawet Nolanowi będzie trudno to przebić – od filmu „Bracie, gdzie jesteś?” Joela i Ethana Coenów. Chwilami zaskakująco bliskiej oryginałowi, choć tak odległej w czasie i przestrzeni, z George’em Clooneyem jako sprytnym, choć zagubionym we wrogim świecie Odyseuszem (jego bohater ma na imię Ulysses, żeby nie było wątpliwości).

U Homera zapożyczali się też twórcy „Piratów z Karaibów”, nie tylko dlatego, że trudno opowiadać o morskich wyprawach, nie budząc skojarzeń z tym, kto zrobił to jako pierwszy i tak doskonale. Coś z Odyseusza ma i kapitan Jack Sparrow, i jego przytomniejszy i po prostu bardziej ludzki kompan Will Turner, którego wybranka Elizabeth w zależności od potrzeb robi albo za Helenę, albo za Penelopę. Scyllą, morskim potworem, z którego macek Odyseusz ledwie się wymknął, jest w „Piratach z Karaibów” równie potworny Kraken. Mamy wreszcie wiedzmę Tię Dalmę, która wprost nazwana jest wcieleniem bogini Calypso.

Utalentowani wielbicieli serialu „Star Trek” nakręcili własne, niezależne produkcje, które nie bez powodu noszą tytuły „Star Trek: Odyseja” i „Star Trek: Kroniki Heleny”, ale i w „Gwiezdnych wojnach” dałoby się znaleźć motywy z „Odysei”. Albo i od „Odysei” starsze, powtarzane od zarania ludzkości w różnych wariantach tej samej opowieści, jeśli wierzyć amerykańskiemu religioznawcy Josephowi Campbellowi, autorowi głośnego „Bohatera o tysiącu twarzy”.

Ponad wszelką wątpliwość bezpośrednio do „Odysei” odwołuje się animowany musical „Epic”, internetowy fenomen ostatnich lat. Portorykańczyk Jorge Rivera-Herrans zaczął go tworzyć w akademiku jako pracę dyplomową inspirowaną serialami anime, ale opartą na tekście Homera. Pochwalił się fragmentami na TikToku i... fala wiralowej popularności poniosła go ku sławie i fortunie. W latach 2022-24 powstało dziewięć części tej zamkniętej już sagi. Rivera-Herrans na TikToku przesłuchiwał śpiewaków zgłaszających się do kolejnych ról, tylko przez sieć rozchodziły się wieści o jego dziele. Na tyle skutecznie, że to prawdopodobnie najbardziej popularny musical od czasów „Hamiltona”, choć skuteczne mierzenie zasięgów „Epic” nie jest łatwe, bo to produkcja niezależna, trafiająca do publiczności różnymi kanałami, zarówno kontrolowanymi przez twórcę, jak i zupełnie niezależnymi, tworzonymi przez fanów.

Czy „Epic” mógł zachęcić młodzież, niemal od urodzenia przyklejoną do podłączonych do sieci ekranów, do sięgnięcia po książkę starą jak (nasz) świat?

Pewnie nie. Chociaż z danych udostępnianych przez księgarnie internetowe wynika, że przed premierą filmu Nolana papierowa „Odyseja” znowu nieźle się w Polsce sprzedaje. Również w pięknym, choć archaicznym tłumaczeniu Lucjana Siemieńskiego, więc nie każdy pewnie znajdzie dość samozaparcia, by przez to przebrnąć. No chyba że w ramach fascynującej odskoczni od współczesnej polszczyzny: „Ażaliż nie tej pieśni słuchamy najchętniej, co czymś nowym w sercu słuchacza odtętni?”.

Nie trzeba jednak czytać „Odysei”, nie trzeba nawet wiedzieć o jej istnieniu, by mieć ją w swoim kulturowym DNA, by towarzyszyć Odyseuszowi w drodze do domu, wraz z Penelopą cierpliwie czekać i u boku Telemacha szukać ojca, a więc odpowiedzi na pytanie o własną tożsamość. O tym, że trzeba uważać na syreny, aż za dobrze wszyscy wiemy. ●

• **Na planie „Odysei”. Matt Damon (Odyseusz) i Zendaya (Atena) oraz reżyser i scenarzysta filmu Chris Nolan**

• **„Odyseja” w polskich kinach od piątku 17 lipca**

Maja Staniszevska

Nie ma co do tego wątpliwości – „Odyseja” w reżyserii Christophera Nolana jest najbardziej oczekiwanym filmem tego lata. Jest również filmem najbardziej kosztownym i obsadzonym największą liczbą gwiazd.

Będzie też zapewne najbardziej dochodowym. Chyba że najbogatszy człowiek na świecie oraz armia wojowników klawiatury sprawią, że widzowie się zniechęcą. To jednak mało prawdopodobne.

Nolan należy do wąskiej grupy reżyserów, którzy przyciągają do kin swoim nazwiskiem i dorobkiem, oferując widowiska warte czasu i wydanych pieniędzy.

„Odyseja”. Wyzwanie dla współczesności

Tak było z „Oppenheimerem”, czyli ryzykowną, mieszącą style opowiadania, czasy akcji, a nawet kolory opowieści o ojcu bomby atomowej. Film zarobił prawie miliard dolarów i dostał worek Oscarów.

A Nolan dzięki temu mógł spełnić swoje wielkie marzenie – przenieść na ekran starożytny epos.

Zrobił to z rozmachem godnym tej epickiej opowieści, w której występuje jeden z najbardziej znanych herosów starożytności, Odyseusz, a także greckie boginie i bogowie, morskie potwory, syreny, cyklopi, nimfy i czarodziejki.

W scenariuszu opartym na Homerze uwypuklił całkiem współczesne wyzwania, a film obsadził tak, by widzom łatwiej było nawiązać z nim relację.

Nie spodziewał się zapewne, że przez to stanie się bohaterem wojny – ale nie trojańskiej, a kulturowej. A w ruch zamiast luków, włóczni i mieczy pójdą klawiatury.

„Odyseja”, liczący trzy tysiące lat grecki epos, okazała się znieścaka bliska sercom internetowego komentariatu, a także chwilowego bilionera, Elona Muska.

Kontrowersji wokół filmu na długo przed premierą nie brakowało, także tych jakoś uzasadnionych. Ale to nie o nich było najgłośniejsze.

Czy czarna kobieta może być najpiękniejsza? Pytanie retoryczne

Ta dyskusja jest najgłośniejsza i najpaskudniejsza: kto może zagrać w „Odysei”?

Biorąc pod uwagę, że to fantastyczna historia pełna interweniujących w ludzkich sprawach bogów (Ateń!), magii (zamiana towarzyszy Odyseusza w świnie!) i potworów (Scylla!), odpowiedź powinna brzmieć: każdy, kogo wybierze Nolan. Ale nie ma tak łatwo.

Bo Nolan wybrał transpłciowego aktora Elliota Page’a do roli dzielnego żołnierza i czarnego rapera Travisa Scotta do roli poety. To drugie uzasadniał, przypominając, że dzieła Homera (albo Homerów, jak pisze w swojej najnowszej książce „Homer na nasze czasy” profesor Marek Węcowski) pierwotnie były przekazywane w formie mówionej.



• Tom Holland (Telemach) i Lupita Nyong'o (Helena) na londyńskiej premierze „Odysei” 6 lipca br.

Kogo oburza wizja Nolana

Zamiast wojny trojańskiej mamy kulturową, a zamiast cyklopów – internetowe trolle.

Ale to nie koniec. Helenę, najpiękniejszą kobietę na świecie, z powodu której wybuchła wojna trojańska, gra u Nolana czarna aktorka Lupita Nyong'o.

Jeden z najpopularniejszych amerykańskich prawniczych komentatorów napisał w serwisie X, że „nikt na całej planecie nie uważa, że Lupita Nyong'o jest najpiękniejszą kobietą na świecie”. Teza karkołomna, biorąc pod uwagę osiem miliardów ludzi na Ziemi i różne wzorce piękna.

Wtórował mu właściciel X, wspomniany Elon Musk, choć raczej powinien być zajęty prowadzeniem swoich licznych firm i wysłaniem człowieka na Marsa, co obiecuje od 15 lat.

Musk nie jest jedynie właścicielem i jednym z użytkowników X. Jest też harcownikiem wojen kulturowych, które amerykańska prawica próbuje przenosić do innych krajów. I często jej się to niestety udaje. Także u nas.

Zajął się więc tematem castingu w „Odysei” i „moralnego upadku” Nolana, a za nim podążyło wielu jego wyznawców oraz zwykłych rasistów czy mizoginów.

Okazało się, że przywiązują oni niezwykłą wagę do określenia „białoramienna” występującego w homeryckim opisie Heleny. „Białoramienna” znaczy dla nich biała, niczym Diane Kruger grająca Helenę w „Troji” Wolfganga Petersena, luźnej adaptacji „Iliady” sprzed 22 lat. Zresztą w „Troji” wszyscy najważniejsi bohaterowie byli biali, a do tego heteroseksualni (tak, Achilles i Patroklos także). Dziś więc ten mocno

archaiczny, nakręcony w stylu klawiatury gatunku „miecza i sandałów” film zyskuje nowych fanów.

To, że zdaniem historyków i badaczy literatury starożytnej określenie „białoramienna” oznacza kobietę z wyższych sfer, a nie wprost kogoś o takim kolorze skóry ani to, że Homer unika opisywania Heleny, a skupia się na tym, jak działa ona na ludzi w swoim otoczeniu, nie ma dla krytyków znaczenia.

Ten sam prawniczy komentator (nazwiska celowo nie podaję) napisał, że reżyser obsadził urodzoną w Meksyku córkę Kenijczyków w roli Heleny, bo „bał się, że nazwą go rasistą”. To, że laureatka Oscara pasowała do wizji reżysera, chyba nie mieściło mu się w głowie. Skąd powziął wiedzę o lękach Nolana – nie wiadomo.

Ta dyskusja toczyła się od kilku miesięcy. Sama Nyong'o się do niej nie odnosiła, a w wywiadzie dla „ELLE” przypomniała, że „Odyseja” to opowieść mitologiczna, nie historyczna.

W filmie Nolana pojawia się dosłownie na kilka minut, na dodatek najważniejsza z nią scena kryje dający do myślenia twist.

Gdzie są Grecy? Dobre pytanie

Nolan mówi, że dobrał obsadę swojego filmu tak, by „reprezentowała świat”. Ale zastrzeżenia do jego wyborów mają nie tylko konserwatyści i trolle.

Słuszne tym razem pretensje mają Grecy. „Odyseja” to ich opowieść, tymczasem na ekranie pojawiają się

na krótką chwilę. Wśród głównych ról nie ma Greka ani Greczynki, a nawet aktorów greckiego pochodzenia, zdomowionych w Hollywood, jak Billy Zane, Dave Bautista, Theo James czy Nicholas Galitzine.

Grecki dziennikarz pisał w „Guardianie”, że na tamtejszych platformach społecznościowych są kompletowane alternatywne obsady filmu, ale dodawał też, już poważnie: „czujemy się ponownie pominięci przez Hollywood – i to bez żadnego wyjaśnienia – w naszych fundamentalnych mitach i eposach, w których obsadzie nie ma nawet symbolicznej postaci o nazwisku kończącym się na -opoulos, -edes czy -iannou”.

Agamemnon w zbroi Batmana

Zwiastuny „Odysei” wywołały także dyskusję dotyczącą historycznej zgodności kostiumów i rekwizytów.

Statek Odyseusza przypominał wielu wikiński drakkar. Nie pomylił się Nolan wykorzystając zbudowany współcześnie, ale według technologii używanej przez wikingów, norweski statek Draken Harald Hårfagre, który kiedyś przepłynął Atlantyk. Jego załoga, złożona z 26 wioślarzy przebranych w kostiumy, była częścią załogi Odyseusza.

Ktoś inny zwrócił uwagę, że ciemna zbroja Agamemnona kojarzy się z kostiumem Batmana. Zastrzeżenia budzą też broń i helmy. Zwłaszcza ten Odyseusza, który w „Iliadzie” nosi hełm z zębów dzika, a na ekranie u Nolana – późniejszy o całe stulecia hełm hoplity z charakterystyczną szczotką.

Angielski prosto z ulicy

Innej kontrowersyjnej dla anglojęzycznych widzów decyzji Christopher Nolan gotów jest bronić. Choć, jak powiedział w wywiadzie dla „Los Angeles Times”, ta może „wrócić i ugryźć go w tyłek”.

Otóż postanowił nie tylko że aktorzy będą mówili z amerykańskim akcentem, ale też dość współczesnym angielskim z rozmaitymi kolokwializmami, typu „dad” zamiast „father”, by historia była „równie przystępna dla współczesnej publiczności, jak była dla odbiorców Homera”.

Zależało mu, by w widzu wywołać emocje, którym na drodze nie staną archaizmy.

I to ma szansę się udać, przy okazji przybliżając film tym, do których zdaje się być skierowany przede wszystkim: Amerykanom.

Nie chodzi tylko o to, że nie oglądają oni filmów z napisami, więc „Odyseja” nakręcona w starożytnej grece nie znalazłby widowni. Chodzi o przesłanie, jakie zawarł w filmie Nolan. Antywojenne z jednej i przypominające o antycznym prawie gościnności z drugiej strony.

Ten sam Elon Musk kontra inny Tom Holland

Musk tak się zapędził w krytykowaniu „Odysei”, której nie widział, że nie tylko stwierdził, że Nolan „zbeszczył” epos. Postanowił również wdać się w dyskusję z kimś, kto film widział na ubiegłotygodniowej londyńskiej premierze. I nie tylko widział, ale też pochwalił.

Zresztą po tym pokazie zarościło się od pozytywnych komentarzy obecnych na nim widzów i krytyków, które wystarczyły, by rozszerzyć przedsiębiorcę. Wybrał sobie jednak fatalny cel – Toma Hollanda. Nie, nie aktor, który gra w filmie, a autora książek historycznych i współprowadzącego jeden z najpopularniejszych podcastów z tej dziedziny, The Rest is History.

Holland zajmował się starożytną literaturą podczas studiów w Cambridge, ma na koncie kilka książek o starożytności, tłumaczył również Herodota. Nawet więc na jego własnym X wyśmiewano najbogatszego człowieka świata.

Recenzję, na które embargo zeszło tydzień później, również były w przytłaczającej większości pozytywne, serwis TheWrap.com napisał nawet „Nie możecie powiedzieć, że Hollywood nie robi już takich filmów, bo nikt nigdy jeszcze takiego filmu nie zrobił”. Jak zniesie to Musk?

Uzasadniona kontrowersja

Nie wszystkie zarzuty wobec „Odysei” pochodzą jednak od trolli czy prawniczych komentatorów.

Część zdjęć powstała w położonym w Saharze Zachodniej nad oceanem mieście Ad-Dachla, które od 50 lat znajduje się pod marokańską okupacją.

W ubiegłym roku organizatorzy miejscowego festiwalu filmowego krytykowali za to Nolana, twierdząc, że jego obecność w mieście normalizuje ten stan rzeczy, który w tzw. państwie nieuznawanym trwa od momentu, gdy to zostało zajęte przez Maroko po wycofaniu się z tego terenu Hiszpanów.

Do tego zarzutu reżyser się jednak nie odniósł. ●

EMOCJE ODPOWIEDNIO WYCENIONE

Koncertowy kalendarz w Polsce jest wyjątkowo gęsty. Nic dziwnego, że problemem nie jest brak artystów światowego formatu, a raczej to, na którego z nich znajdziemy czas i pieniądze.



• Żeby na żywo zobaczyć Oasis Milena za wejściówkę zapłaciła 600 funtów. Na zdj. Liam i Noel Gallagherowie z Oasis przed koncertem na stadionie Murrayfield w Edynburgu. FOT. GETTY IMAGES

Krystyna Romanowska

O godzin. Tyle w internetowej kolejce spędziła 40-letnia Milena, żeby kupić bilety na koncert reaktywowanego Oasis. Był 31 sierpnia 2024 roku. Prawie rok później, 8 sierpnia stanęła na stadionie Murrayfield w Edynburgu, gdzie Liam i Noel Gallagherowie po raz pierwszy od 16 lat zagrali razem dla szkodliwej publiczności.

Kiedy Milena logowała się na rok przed koncertem do internetowej kolejki, była 1028. Po wielu godzinach przesunęła się na miejsce 245. Wtedy system się wyłączył. – Zupełnie mnie to załamało. Wiedziałam, że nie mam już szans na bilety – opowiada. Bracia Gallagher reklamowali trasę jako wydarzenie wyjątkowe. Koncertów nie będzie można później obejrzeć w telewizji, kto nie znajdzie się na stadionie, zapewne straci jedyną szansę. Milena pogodziła się z porażką, ale gdy

latem następnego roku trasa ruszyła, zaczęła zaglądać na oficjalną platformę odsprzedaży. Pojedyncze bilety pojawiały się rzadko i znikały natychmiast. – Jeszcze dobrze nie kliknęłam Manchesteru, a już go nie było. Potem pojawiła się Irlandia i też zniknęła. W końcu zobaczyła bilet na koncert w Edynburgu. Jeden. Za 600 funtów. Kupiła natychmiast. – Wydawało mi się, że złapałam Pana Boga za nogi. Zapłaciłabym pewnie i tysiąc. Pomyślałam: „dobra, całą resztą będę się martwić później”.

Reszta oznaczała lot do Edynburga w szczycie sezonu turystycznego, transport i nocleg podczas sierpniowego festiwalu Fringe, kiedy ceny w mieście osiągały rekordowe poziomy. Milena jedną noc spędziła więc na lotnisku w Zurychu. Po koncercie również nie pojechała do hotelu. – Uznałam, że skoro tyle wydałam na bilet i samolot, to łóżko i prysznic już mi się nie należą. Poczekam, aż wrócę do domu.

Koncert był wspaniały. Milena nie żałuje ani jednej wydanej złotówki, choć sama nazywa ten wyjazd rozpustą. Wie, że za podobną kwotę mogłaby pojechać na dwutygodniowe waka-

019

• ŻŁOTYCH
kosztował najdroższy regularny bilet
na koncert Metalliki w Polsce w 2026 roku

cje. Tyle że dla niej koncert nie jest zwykłą rozrywką. – Niektórzy wydają na all inclusive. Dla mnie to było all inclusive dobrych emocji. Coś, co zostanie we mnie na zawsze – mówi.

System nie daje czasu do namysłu

To, co Milena opisuje jako gorączkę, nie jest skutkiem ubocznym sprzedaży biletów. Jest częścią mechanizmu, który – zdaniem Grzegorza Słoki z fanpage'u „Koncerty w Polsce” – został precyzyjnie zaprojektowany.

Klient wchodzi do wirtualnej kolejki, nie wiedząc, ile biletów zostało ani ile ostatecznie zapłaci. Kiedy po kilku, a czasem nawet kilkudziesięciu minutach dostaje się na stronę wyboru miejsc, cena może być znacznie wyższa od zapowiadanej. Na mapie znikają kolejne niebieskie punkty. Zegar odlicza czas. System przypomina, że rezerwacja zaraz wygaśnie.

– Człowiek wie, że ma tylko chwilę. Nie ma czasu, żeby spokojnie policzyć, ile może wydać, zastanowić się albo porozmawiać z kimś, kto mógłby potencjalnie z nami pojechać. Po prostu klika i kupuje, a dopiero potem próbuje

to jakoś poukładać – mówi Słoka. Przy dużym zainteresowaniu uruchamiane są też ceny dynamiczne: im większy popyt i mniejsza dostępność, tym droższy staje się bilet. Klient, który wszedł do kolejki z myślą o jednej kwocie, po kilkudziesięciu minutach staje przed zupełnie inną propozycją. Tyle że w tym momencie wycofanie się oznacza nie tylko rezygnację z zakupu, ale i stratę czasu i być może definitywną utratę szansy na zobaczenie artysty. – To sytuacja trochę bez wyjścia. Ludzie kupują bez namysłu i przeplacają – ocenia Słoka.

– Ceny w Polsce są dosyć wysokie – przyznaje Arkadiusz Hronowski, organizator gdańskiego Mystic Festival. Ale jego zdaniem polscy fani są gotowi zapłacić wysoką cenę za wydarzenie o wyjątkowej jakości. – Są osoby, które bez wahania wydadzą nawet 2,5 tys. złotych na koncert The Rolling Stones, bo wiedzą, że dostaną widowisko na najwyższym poziomie.

Ten mechanizm, zwany *dynamic pricing*, został mocno skrytykowany przez Competition and Markets Authority (brytyjski UOKiK), który wszczął postępowanie sprawdzające, czy konsumenci zostali odpowiednio poinformowani o zasadach sprzedaży.

Na dwa lata przed koncertem Oasis przeciwno zbojcekiej polityce cenowej biletów na koncerty wystąpił Robert Smith z The Cure. Paradoks polegał na tym, że same bilety na amerykańską trasę grupy nie należały do najdroższych – kosztowały od 20 do ok. 70 dolarów. Muzyk przyznał jednak, że był wręcz zniechęcony wysokością opłat doliczanych przez Ticketmaster. W efekcie bilet za 20 dolarów potrafił kosztować ponad dwa razy tyle. Smith nazwał *dynamic pricing* oszustwem i przekonywał, że system zniknąłby, gdyby artyści po prostu powiedzieli, że tego nie akceptują. Po jego interwencji Ticketmaster zwrócił fanom część opłat serwisowych.

W ślady Smitha poszedł Neil Young, który przed trasą zapowiedział, że nie zgodzi się na sprzedaż biletów w modelu *dynamic pricing*, argumentując, że nie chce, by jego fani płacili więcej tylko dlatego, że popyt jest większy.

SOAD: Warszawa czy Mediolan?

– Polski rynek koncertowy w ostatnich latach stał się jednym z najdynamiczniej rozwijających się w Europie. Widać to po liczbie światowych artystów odwiedzających Polskę, nowych festiwalach, dużych tras koncertowych czy koncertów stadionowych. Publiczność chętnie uczestniczy w wydarzeniach na żywo – mówi Arkadiusz Stolarski, szef agencji LIVE i współorganizator trasy Męskie Granie.

Już pierwsza połowa lipca pokazała, jak gęsty jest koncertowy kalendarz. Na Open'erze zagrali m.in. Florence + The Machine, The xx, Nick Cave & The Bad Seeds, Calvin Harris i The Cure, a do Polski przyjechali także Ricky Martin, The Roots, Hurts czy Rise Against, Bad Bunny i Lenny Kravitz, a czekają nas jeszcze m.in. Marilyn Manson, dwa wyprzedane koncerty System of a Down, Tom Jones, Scorpions i Judas Priest, a także Łódź Summer Festival z Timbalandem, Seanem Paulem, Bastille, Natalie Imbruglią i Rudimental.

Problemem przestaje być brak koncertów, a staje się to, na które z nich jeszcze nas stać i na które znajdziemy czas. – Marzyliśmy, żeby rynek koncertowy w Polsce był jak na Zachodzie. No i mamy to – mówi Piotr Pawłowski, basista legendarnej nowofalowej grupy Made in Poland, obecnie nadal koncertujący z zespołem i współtworzący projekt Formy Planet.

NuMetalowy mokry sen millenialsów, System of a Down gra w lipcu Polsce aż dwa koncerty na PGE Narodowym – to wiele świadczy o „sile rażenia” amerykańskich Ormian z Kalifornii. Gdy ogłoszono ceny biletów – od 589 zł za miejsce na płycie, a za najlepsze miejsca nawet ponad 1000 zł – w serwisach społecznościowych zawrzało. Mimo to zainteresowanie okazało się tak ogromne, że organizatorzy dołożyli drugi koncert. – To pokazuje, że nawet przy cenach wyższych niż za granicą największe gwiazdy wciąż są w stanie wyprzedzić koncerty – mówi Grzegorz Słoka.



• Pol'and'Rock Festival. Koncert zespołu Agnostic Front. Lotnisko Czaplinek-Broczyń, 1 sierpnia 2025 r. FOT. CEZARY ASZKIELOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jeśli występ jednego artysty kosztuje tyle, ile karnet na cały festiwal, podczas którego zobaczymy 20-30 wykonawców, w tym kilka światowych gwiazd, to doszliśmy do ceny, której trudno bronić

Byli tacy, którzy za te same pieniądze polecili do Mediolanu i zobaczyli SOAD i Queens Of Stone Ages. Marcin Iwankiewicz, dziennikarz sportowy, relacjonował na swoim Facebooku, że za identyczną kwotę otrzymał nie tylko koncert (organizowany przez Live Nation Italy), ale i bilety samolotowe w tę i z powrotem, a także – jego zdaniem – znacznie wyższy standard organizacji: lepsze nagłośnienie, możliwość wniesienia plecaka, a także własnej wody i jedzenia oraz darmowe punkty jej uzupełniania. Znacznie sprawniej przebiegało też samo wejście na koncert, bo nie było drobiazgowego przeszkukania i wyrzucania wszystkich rzeczy z kieszeni.

„Podsumowując – napisał. – Mamy najdroższe koncerty, z fatalnym brzmieniem i kolejkami do wejścia. Na które nie możemy wnosić nawet »nerek« czy, w przypadku pań, torebek. O własnych napojach i jedzeniu nawet nie ma co myśleć: Polaka trzeba wydoić, na czym tylko się da”.

Arkadiusz Hronowski przywołuje też własne doświadczenia z lipcowego, organizowanego przez tamtejszą gminę – Lucca Summer Festival w Toskanii, we Włoszech. – Byłem na koncercie Jamiroquai, na którym bawiło się ok. 40 tysięcy osób. Dawno nie widziałem tak sprawniej organizacji. Wpuszczanie publiczności przebiegało płynnie, panowała świetna rodzinna włoska atmosfera, a liczba punktów sprzedaży alkoholu była bardzo ograniczona – relacjonuje. Bilet – 80 euro. Dla porównania: na jedyny dotychczasowy koncert Jamiroquai w Polsce, w 2019 r. w TAURON Arenie Kraków, bilet na płytę kosztował 269 zł.

Adam Wolski, wokalista Golden Life, często jeździ na koncerty za granicę. – Głównie do Berlina i do Pragi. Mam wrażenie, że tam wydarzenia są przygotowane dużo lepiej pod

względem technicznym: jakości dźwięku, bezpieczeństwa i całej otoczki. Nigdy nie zapomnę koncertu Red Hot Chili Peppers w praskiej O2 Arenie. Siedziałem na samej górze i byłem przekonany, że nic nie usłyszę. Tymczasem nawet z najwyższych miejsc koncert brzmiał znakomicie – wspomina.

Dla kogo „cena akceptowalna”?

Mirek jest na pograniczu mocno starszym millenialsem, pracuje w korporacji i od jakiegoś czasu regularnie chodzi na koncerty. Problem w tym, że obecnie nawet przy dobrej pensji nie jest w stanie zobaczyć wszystkich artystów, których lubi. – Kiedyś człowiek czekał na jeden ważny koncert. Teraz co chwilę pojawia się następne ogłoszenie. W jednym miesiącu masz kilka zespołów, które naprawdę chciałbyś zobaczyć. Tego się nie da obskoczyć ani czasowo, ani finansowo – mówi.

Sam ustala sobie granice. Gdyby do Polski przyjechał Rammstein byłby gotów zapłacić 800 zł. To dużo, przysznaje, ale w zamian wie, co mógłby dostać. oprócz muzyki, także widowisko: rozbudowana scena, pirotechnika, znakomite nagłośnienie i poczucie, że uczestniczy w wydarzeniu, którego nie dałoby się odtworzyć w klubie ani przed telewizorem.

Inaczej patrzy na artystów, którzy oferują skromniejszą oprawę. W ich przypadku kilkaset złotych za bilet wydaje mu się przesadą. Tyle że „cena akceptowalna” nie jest kategorią, którą da się obliczyć jednakowo dla wszystkich. Dla jednej osoby 800 zł za Rammstein będzie szaleństwem. Dla innej – rozsądną ceną za zespół, którego słucha od szkoły podstawowej. Ktoś kupi bilet za ostatnie oszczędności, ktoś inny nie zauważy nawet tej kwoty w domowym budżecie. Ale istnieje moment, w którym – zdaniem Grzegorza Słoki – porównanie

z innymi wydarzeniami pokazuje, że granica została przekroczona.

– Jeżeli za występ jednego artysty płacimy tyle, ile za karnet na cały festiwal, podczas którego zobaczymy 20 albo 30 wykonawców, w tym kilka światowych gwiazd, to doszliśmy do ceny naprawdę trudnej do obrony – mówi.

Za ok. 800 zł można kupić karnet na tegoroczny trzydniowy OFF Festival w Katowicach.

Open'er kosztował prawie 1200 zł. Dla porównania w 2022 r. czterodniowy karnet kosztował 699 zł. W 2023 r. już 899 zł, w 2024 r. – 1039 zł, w 2025 – 1089 zł, a w tym roku regularna cena wynosi 1149 zł. Oznacza to, że w ciągu pięciu edycji koszt podstawowego karnetu wzrósł o 450 zł, czyli blisko 64 proc.

Jeszcze bardziej podróżował wyjazd z polem namiotowym – z 889 zł w 2022 r. do 1419 zł w tym sezonie. A to tylko początek wydatków. Do ceny biletu trzeba doliczyć transport, noclegi lub camping, jedzenie i napoje, przez co weekend na festiwalu toraj częściowej oznacza wydatek rzędu kilku tysięcy złotych.

Rosnące ceny festiwalu najmocniej odczuwają młodzi. – Widzę to po swoich studentach i studentkach. Wielu z nich zbiera na festiwal przez cały rok albo dostaje karnet czy bilet na koncert w prezencie od rodziców – mówi dr Krystian Darmach, antropolog kultury z Uniwersytetu Łódzkiego.

– Ceny biletów dostosowujemy do naszej publiczności. Nasz festiwal ma dopiero pięć lat, więc nadal budujemy bazę fanów. Wiemy też, że środowisko fanów metalu jest bardzo wymagające i zróżnicowane. To sprawia, że nie możemy prowadzić agresywnej polityki cenowej – mówi Arkadiusz Hronowski (tegoroczny trzydniowy karnet na Mystic Festival kosztował 903,76 zł wraz z opłatą serwisową, był *sold out*).

Jak podkreśla organizator, jednym z najważniejszych czynników wpływających na ceny biletów pozostaje inflacja oraz rosnące koszty organizacji wydarzeń. – Z roku na rok rosną ceny usług, dlatego musimy weryfikować ceny biletów i karnetów. Jednocześnie pilnujemy budżetu przeznaczonego na artystów. Jeżeli zespół oczekuje wynagrodzenia, na które nas nie stać, po prostu go nie zapraszamy. Są festiwałe, które przepłacają za wykonawców, ale my nie należymy do tej grupy – zaznacza.

Arkadiusz Stolarski: – Konkurencja pomiędzy organizatorami jest dziś bardzo duża. Artysty często otrzymują kilka ofert występów, a negocjacje dotyczą nie tylko wynagrodzenia, ale również terminów czy warunków wyłączności. To sprawia, że organizacja koncertów wiąże się z coraz większym ryzykiem finansowym. Koszty pozyskania artystów rosną, a organizatorzy muszą brać na siebie pełne ryzyko sprzedaży biletów. Zdarzają się spektakularne sukcesy frekwencyjne, ale też wiele wydarzeń balansuje na granicy rentowności.

Hronowski uważa jednak, że dla zagranicznych uczestników Polska nadal jest atrakcyjna cenowo, choć trzeba powiedzieć, że sama nie jest już tanim krajem. – Podczas Mystic można zobaczyć blisko 100 zespołów. Dla prawdziwego fana metalu to bardzo atrakcyjna oferta, zwłaszcza że pojedynczy koncert tego gatunku kosztuje dziś ok. 150 zł. Sporo naszych gości to ludzie z zagranicy, po 60-tce. Widać, że planują podróże właśnie wokół festiwali muzycznych. Wolą przeznaczyć nawet 10 tys. zł. na wyjazd festiwalowy niż na wakacje w Egipcie. Festiwałe stały się dla nich formą turystyki, ludzie planują je po prostu latem w swoim kalendarzu.

Za co się tyle płaci?

Po pandemii, kiedy publiczność była wygłodniała wspólnych przeżyć, artyści wrócili do koncertowania ze zdwojoną siłą, trasy miały odbudować kontakt z fanami, ale też finans branży, która przez kilkanaście miesięcy była niemal pozbawiona przychodów. I ceny poszybowały w górę.

Od 2022 r. zainteresowanie muzyką na żywo osiągnęło, zdaniem krytyków, niespotykaną skalę. Tłumaczenie podwyżek pandemicznymi stratami utrzymywało się jednak długo po tym, gdy największe firmy i artyści zdążyli je odrobić. Ceny nie wróciły do dawnych poziomów, a publiczność do dawnych przyzwyczajeń. Najskuteczniejszym paliwem współczesnego rynku koncertowego jest ... nostalgia.

– Oasis, Limp Bizkit, Linkin Park, System of a Down, Deftones czy odrobinę starsi Depeche Mode, The Cure, zespoły, które największe sukcesy odnosiły pod koniec lat 90. i na początku XXI wieku, trafiają dziś do ludzi znajdujących się w najłepszym finansowo okresie życia – analizuje Słoka. – Ich dawni nastoletni słuchacze mają po 35, 40, 50 lat. Mają własne pieniądze, a często i silną potrzebę odzyskania choć na dwie godziny świata sprzed kredytów, dzieci, rozwodów, pracy i obowiązków.

– Ludzie, którzy wychowali się na tej muzyce, mają już pieniądze i chcą wrócić do czasów młodości. Nie płacą więc wyłącznie za kilkanaście piosenek, a za spotkanie z własną biografią – zauważa Słoka. Wspomina koncert Rogera Watersa w Krakowie w 2018 r. Poszedł na niego z ojcem. Gdy zabrakło „Comfortably Numb”, tata zaczął płakać. – Wiedziałem, że czekał na ten moment przez 40 lat. Od czasu, kiedy zaczął słuchać Pink Floyd. Ludzie kupują dziś coś, co jest dla nich doświadczeniem formacyjnym – mówi Słoka.

Dr Darmach nazywa to monetyzacją autentycznych potrzeb. – Tęsknota za młodością nie jest przecież wymyślona przez korporacje. Wzruszenie i łzy na koncertach nie są fałszywe. Rynek nauczył się te emocje rozpoznawać, opakowywać i wyceniać. Nasze pragnienia, potrzeby, sentymenty i nostalgia są komercjalizowane. Nie ma już właściwie przestrzeni, która nie zostałaby zagospodarowana – mówi.

Współczesne festiwałe można czytać przez pryzmat teorii dystynkcji Pierre’a Bourdieu, który mówił, że uczestnictwo w kulturze nie

jest wyłącznie formą rozrywki, ale także sposobem manifestowania pozycji społecznej i posiadania kapitału. Dziś prestiż buduje się już nie tylko przez posiadanie przedmioty, ale przez dostęp do unikalnych, wyjątkowych doświadczeń. Festiwal czy koncert stają się formą konsumpcji symbolicznej i budowania tożsamości. Drogi bilet działa trochę jak luksusowe buty czy zegarek: pozwala nie tylko coś przeżyć, lecz także określić własną pozycję.

Do biletu dochodzą bowiem koszulki, limitowane płyty, jedzenie, napoje i transport. A potem serwisy społecznościowe, które przedłużają wydarzenie. Zdjęcia stroju pojawiają się jeszcze przed wejściem na teren festiwalu. Relacje spod sceny publikowane są podczas koncertu. Następnego dnia przychodzi czas na filmiki, rolki, podsumowania i galerie.

– Konsumowanie ma dziś charakter performatywny – mówi dr Darmach. – Nie tylko uczestniczymy w wydarzeniu. Przedstawiamy siebie jako osobę, która w nim uczestniczy. Tego wszystkiego nie da się już „obszkoczyć”

Niebieskie kropki zwiastują pęknięcie

Ta gorączka może jednak zbliżyć się do granicy. Coraz więcej koncertów w Polsce nie wyprzedaje się już na pniu. Po pandemicznym boomie rynek zaczął się nasycać, a publiczność – zmuszona do wybierania między wydarzeniami – coraz częściej głosuje portfelem.

W tym sezonie pojawiły się promocje na koncerty Limp Bizkit, Ricky’ego Martina, The Roots i innych wykonawców. Bilety na arenowy występ Madison Beer można było w pewnym momencie kupić za 79 zł!

– W tamtym roku w Atlas Arenie w Gdańsku grał australijski Parkway Drive. Bilety sprzedawały się słabo i w pewnym momencie wszyscy, którzy kupili wejściówki na koncert całkiem innego zespołu, dostali maila, że jeśli chcą, mogą przyjsić również na Parkway Drive – opowiada Piotr Pawłowski.

Nie przypomina sobie wcześniej podobnej sytuacji, w której organizator próbował zapełnić halę, rozdając wejście na koncert osobom, które kupiły bilety na inne wydarzenie. Jego zdaniem takie akcje promocyjne pokazują, że organizatorzy coraz częściej wolą zapełnić halę niż zostać z tysiącami pustych miejsc.

– Pojawia się zjawisko *blue dot fever* – gorączki niebieskich kropek. Chodzi o widok mapy hali, na której pozostają setki niesprzedanych miejsc oznaczonych na niebiesko.

Ten sam mechanizm, który podczas najbardziej pożądaných koncertów wywołuje panikę znikającymi punktami, przy słabiej sprzedających się wydarzeniach pokazuje skalę przestrelonych oczekiwań.

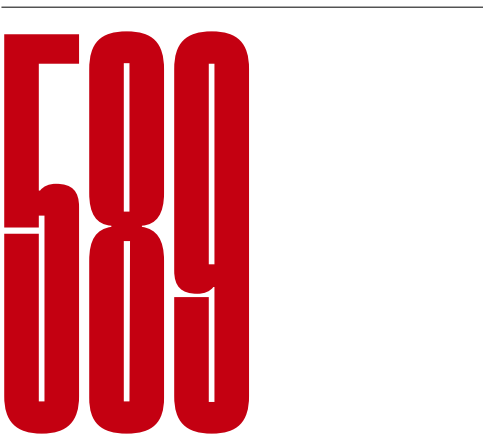
Organizatorzy biorą za duże areny, ustawiają zbyt wysokie ceny i chcą wycisnąć za dużo pieniędzy. Widzowie muszą wybierać, czyli ktoś musi oberwać, czyjs koncert musi sprzedać się słabiej – tłumaczy Grzegorz Słoka.

– To promotorzy w dużej mierze decydują o poziomie cen. Najwięksi gracze dysponują ogromnym kapitałem i mogą pozwolić sobie na znacznie większe ryzyko. Nawet, jeśli na pojedynczym wydarzeniu stracą milion euro, przy przychodach liczonych w setkach milionów czy miliardach euro nie stanowi to dla nich istotnego problemu. Dzięki temu mogą także pozwolić sobie na znacznie wyższe ceny biletów – tłumaczy człowiek z branży. – Dlatego taniej jest czasem polecić za granicę, gdzie promotor nie wyciska z ludzi ostatniego eurocenta.

Arkadiusz Stolarski nie zgadza się z opinią, że duzi, międzynarodowi promotorzy mogą swobodnie finansować nierentowne koncerty z zysków osiąganych gdzie indziej.

– Z mojego doświadczenia wynika, że każde wydarzenie jest analizowane przede wszystkim pod kątem jego własnej rentowności. Nawet największe firmy bardzo dokładnie oceniają potencjał frekwencyjny i ekonomiczny każdego koncertu – mówi.

Grzegorz Słoka uważa, że bańka rynków koncertowych w najbliższych latach sama wy-



• ŻŁOTYCH

to cena wejściówki na płytę Stadionu Narodowego na tegoroczny koncert System Of A Down

musi korektę. Obecnie mamy za dużo koncertów, a ceny są zbyt wysokie, żeby każdy mógł zgarnąć swoją część tortu. Coraz więcej wydarzeń ma problemy ze sprzedażą biletów, organizatorzy uruchamiają promocje, a publiczność – po kilku sezonach koncertowego boomu – zaczyna wybierać.

– Mam wrażenie, że rynek zbliża się do poziomu, przy którym dalsze podnoszenie cen biletów staje się coraz trudniejsze do zaakceptowania przez publiczność – potwierdza Arkadiusz Stolarski. – Dlatego w tym roku zdecydowaliśmy się utrzymać ceny biletów na Męskie Granie na poziomie ubiegłorocznym, a pierwszą pulę „Early Birds” udostępniłmy z 20-procentowym rabatem. Dodatkowo umożliwiliśmy zakup biletów ze zniżką poprzez partnerów wydarzenia. Chcieliśmy pokazać, że mimo rosnących kosztów nadal można szukać rozwiązań korzystnych dla odbiorców.

Gwiazdy się wyżywia

Nie oznacza to jednak, że podobne reguły będą obowiązywać największe światowe gwiazdy. Te coraz częściej odchodzą od klasycznych tras koncertowych na rzecz tzw. rezydencji. Zamiast odwiedzać kilkanaście czy kilkadziesiąt miast, wybierają jedną lokalizację i grają tam serię koncertów. Model, który przez lata kojarzył się głównie z Las Vegas i koncertami Elvisa, dziś przeżywa renesans.

Adele w 2024 roku zagrała 10 koncertów w specjalnie zbudowanej arenie w Monachium, przyciągając fanów z całej Europy.

Harry Styles zapowiedział z kolei serię występów tylko w kilku światowych metropoliach, m.in. w Londynie, Amsterdamie i Nowym Jorku, rezygnując z tradycyjnej trasy obejmującej dziesiątki krajów.

Dla artystów to rozwiązanie ma wiele zalet. Scena jest budowana raz, nie trzeba codziennie przewozić setek ton sprzętu ani angażować ogromnej logistyki związanej z przemieszczaniem całej produkcji. Pozwala to ograniczyć koszty transportu, energii i pracy, a jednocześnie przygotować bardziej rozbudowane widowisko.

Ciężar podróży przenosi się na fanów. To oni muszą kupić nie tylko bilet, ale także lot, hotel i często kilkudniowy pobyt. Coraz częściej więc to nie artysta przyjeżdża do publiczności, a odwrotnie. – Najwięksi sobie poradzą. Problem może mieć średnia półka artystów stojących na granicy między wyprzedaniem kilku klubów w różnych miastach a wejściem do hali – mówi Słoka.

„Co ja tutaj robię?”

A jeżeli zapowiedzią zmiany nie są ani puste krzeselka ani promocje?

26-letnia Antonina z Gdyni przez lata chodziła na Open’era. Pierwszy raz wybrała się z rodzicami jako 17-latką, a potem przez następne lata początek lipca rezerwowała na festiwal. Czasem wybierała jeden dzień, czasem kupowała cały karnet. Zauważyła rzecz jasna wzrost ceny, ale to nie podwyżki zadecy-

dowały, że nie pojawiła się już na tegorocznej edycji. – Miałam coraz silniejsze wrażenie, że muzyka stała się tłem. Chodzi bardziej o modę, marketing, stoiska, sprzedaż i pokazywanie się. Ludzie przychodzą, żeby odpowiednio się ubrać i zrobić relację na Instagram albo TikToka. Brakowało mi w tym duszy, czegoś głębszego – mówi. – Rok temu pomyślałam: co ja właściwie tutaj robię? Nic mnie tu nie trzyma. Widziałam wokół poprzebieanych ludzi patrzących nie na artystę, tylko na ekran telefonu. Miałam poczucie, że tu nie pasuję. I jeszcze ta wszechobecna golizna... Mnie to po prostu odpychało.

W tym roku pojechała na Sounds of Veritas w Starej Morawie. To mniejszy charytatywny festiwal muzyczny połączony z warsztatami, wykładami czy jogą. Bez alkoholu, agresywnego marketingu i stacji do ładowania telefonów. Opowiada o ludziach leżących na kocach, przytulonych do siebie, o rodzinach z dziećmi i psami, o intuicyjnym tańcu z zamkniętymi oczami. Pod sceną prawie nikt nie nagrywał. Nie było potrzeby udowadniania, że się tam jest.

Antonina nie twierdzi, że Open’er jest festiwalem wyłącznie dla próżnych ludzi ani że młodzi przestali interesować się muzyką. A jednak jej decyzja może mówić coś istotnego o przyszłości wielkich festiwali.

Przez ostatnie lata organizatorzy zakładali, że trzeba zaoferować publiczności coraz więcej: więcej scen, marek, atrakcji, stref, ekranów i miejsc do robienia zdjęć. Wszystko, co miało zwiększać wartość wydarzenia, jednocześnie spychało muzykę coraz dalej od centrum.

A okazuje się, że dla osób takich jak ona, wartość festiwalu może kryć się przede wszystkim w doświadczeniu siebie, drugiego człowieka w kontakcie z tańcem, muzyką i uważnością.

Paradoks współczesnych festiwali być może tkwi w tym, że dorośli, kupując drogie bilety dzieciom, chcą i wierzą, że gdzieś pod warstwą stoisk sponsorów, gadżetów stref VIP i food trucków, nadal kryje się jakieś pokoleniowe doświadczenie, które sami pamiętają sprzed lat. Liczą na to, że dzieciaki przywiozą z festiwali swoją historię do opowiadania. Taką, jaką oni przywieźli z Jarocina.

Piotr Pawłowski nie ma jednak złudzeń. – Jarocin był czymś formacyjnym, Open’er jest wyłącznie hedonistyczny – podsumowuje. Żaden to zarzut. Raczej znak czasu. – Tym bardziej, że tegoroczna edycja była najlepsza od lat. Organizator doskonale rozumie, że największe przychody daje festiwal, na którym każdy znajdzie coś dla siebie. Widziałem tam dwa, a nawet trzy pokolenia publiczności, zarówno na koncertach legend rocka, jak i na występie Jennie, gwiazdy K-popu – konkluduje.

Dawniej festiwal był ucieczką od świata. Dziś jest po prostu jego przedłużeniem. Bilety dla wielu kosztują tyle, co tygodniowe wakacje, a jednak wciąż je kupujemy z nadzieją, że gdzieś między koncertami, a kolejką po opaskę wydarzy się coś, czego nie da się zaplanować ani wycenić. ●

Najdroższe w Polsce...

- ...standardowe bilety na pojedyncze koncerty w ostatnich latach kosztowały ok. 800 zł. Na czele zestawienia znajduje się Metallica, której najdroższe regularne bilety na koncert w 2026 r. kosztowały do 819 zł. Ciut tańsze były bilety na AC/DC – do 805 zł. Kolejne miejsca zajmują Bruce Springsteen z cenami sięgającymi 799 zł oraz Beyoncé i Taylor Swift, gdzie najdroższe standardowe wejściówki kosztowały około 749 zł. Warto zaznaczyć, że zestawienie nie obejmuje biletów VIP ani ofert Platinum z dynamicznym systemem cen, których koszt mógł przekraczać nawet 1500–2500 zł.

„Mówię w arystokratyczny sposób, ale my nawet nie byliśmy rodziną z klasy wyższej” – mówi Benedict Cumberbatch, Brytyjczyk, gwiazdorkina i teatru. 19 lipca kończy 50 lat. Nie zmarnował ich.

Joanna Chojnacka

GIBKI

JAK BENEDICT

Mówi się, że swoich idoli i bohaterów lepiej nie spotykać. Czasem wystarczy kilka sekund, by poczuć dysonans między naszymi wyobrażeniami o osobie, którą cenimy, a tym, jak zachowuje się naprawdę. Dlatego do londyńskiego Barbicanu wchodzę z nie-malym stresem. W perelce brutalistycznej architektury spotkam swojego ulubionego aktora, który pokazał mi, jak kochać kino.

Otwierają się drzwi wypełnionej po brzegi sali kinowej. Benedict Cumberbatch wchodzi z uśmiechem, ale lekko niepewnym krokiem, przepuszczając zaproszonych na dyskusję gości.

Naprawić krzywdy

– Nie jestem dziedzicznym lordem. Nie urodziłem się w rodzinie posiadającej ziemię i tytuły, ani takiej, która ma złoza ropy. Mówię w arystokratyczny sposób, ale my nawet nie byliśmy rodziną z klasy wyższej – tak w wywiadach Cumberbatch opowiada o swoim pochodzeniu. Ale też przyznaje: – Wychowałem się wśród ludzi dobrze sytuowanych i nierzadko mających wysoką pozycję społeczną.

Chodził do Harrow, prestiżowej, elitarnej szkoły dla chłopców, którą ukończyło ośmiu premierów Wielkiej Brytanii. Czesne było tam horrendalnie wysokie, a rodzice-aktorzy występowali sporo, ale nie byli zamożni. Pomogła babcią, której przodkowie dorobili się na plantacji, wykorzystując powiązania z handlem niewolnikami.

Dla dorosłego już Benedicta to wstydlawa część rodzinnej historii. Gdy w filmie „Głos wolności” (2006 r.) grał Williama Pitta Młodszego, najmłodszego premiera w historii Wielkiej Brytanii, opowiadającego się za zniesieniem niewolnictwa, komentował: – Być może starałem się choć trochę naprawić wyrządzone krzywdy.

Cumberbatch dba o reputację. Woda sodowa nie uderzyła mu do głowy – jego życie prywatne nie jest pożywką dla tabloidów. Z żoną Sophie Hunter wychowuje trzech synów.

Kiedy zdarzy mu się publiczna wpadka, przeprasza. Gdy w Ameryce wywołał burzę, nazywając czarnoskórych aktorów „kolorowymi”, mówił: – Jestem zdruzgotany, że mogłem urazić kogoś tą przestarzałą terminologią. Jestem idiotą i wiem, że wyrządziłem szkodę.

Ledwo uniknął śmierci

W 2004 roku w Republice Południowej Afryki kręcił „To the Ends of the Earth”. Jechał z kolegami z planu, samochód złapał gumę, musieli się zatrzymać. Nagle pojawili się uzbrojeni bandyci. Związali napadniętych, okradli, Cumberbatcha wrzucili do bagażnika. Przetrzymywali ich przez kilka godzin.

Aktor opowiadał potem w wywiadach, że zaczął symulować klaustrofobię. – Jeśli mnie tu zostawicie, dostanę ataku, umrę i dopiero będziecie mieć problem. Trup Anglika w samochodzie – mówił.

Ostatecznie porywacze zostawili przerażonych zakładników przy drodze. Cumberbatch wielokrotnie podkreślał, że to była trauma, że otarł się o śmierć, a porwanie na zawsze go zmieniło. Gdyby ta dramatyczna historia skończyła się inaczej, nie mielibyśmy jednego z najsłynniejszych aktorów naszego stulecia.

Zacznijmy od jednej z jego najsłynniejszych ról, tej, która wyniosła go na absolutne wyżyny popularności.

W 13 odcinkach serialu „Sherlock” (2010-17) Cumberbatch stworzył Holmesa innego niż ten, którego znamy z opowiadań sir Arthura Conana Doyle’a. Opowieść przeniesiono do współczesnego Londynu. Zamiast opanowanego, uprzejmego książkowego Holmesa, dostaliśmy sarkastycznego, aroganckiego i nieznoszącego geniusza. – Jestem wysoko funkcyj-



◀ Debiutował w 2000 r. w serialu „Heartbeat”, w którym kiedyś grali jego rodzice, Wanda Ventham i Timothy Carlton. W 2015 r. już jako gwiazdor „Sherlocka” pozował do swojej figury woskowej w Muzeum Madame Tussauds

▲ Za zasługi w 2015 r. otrzymał z rąk królowej Elżbiety II Order Imperium Brytyjskiego. To nie znaczy, że należy go tytułować „sir”. Tytuł szlachecki przysługuje osobom uhonorowanym tzw. rycerstwem (knighthood)

▼ Sophie Hunter jest byłą aktorką, a dziś reżyserką teatralną i laureatką prestiżowej Nagrody Samuel Beckett. Cumberbatch poślubił ją w walentynki 2015 r., wcześniej przyjaźnili się przez 17 lat



jącym socjopatą – mówi Cumberbatch w jednym z odcinków i kończy zdanie rozbrajającym uśmiechem.

Aktor sprawił, że antypatyczną postać pokochały miliony. Nieskazitelną dykcją, postawą, energią i charyzmą przekonał oglądających do nieograniczonej inteligencji i sprytu Sherlocka. Dzięki jego niepodrabialnej, wyrazistej mimice widzowie zobaczyli w Sherlocku kogoś więcej niż robota do rozwiązywania zagadek.

– Dobrze sobie radzi z językiem, jest szybki i w rezultacie umie zagrać postaci, które błyskawicznie myślą, prawdziwie błyskotliwych ludzi – mówił o Cumberbatchu Martin Freeman, serialowy John Watson.

Rola Sherlocka sprawiła, że Cumberbatch stał się idealnym kandydatem do ról społecznie niedostosowanych geniuszy. W 2013 roku wcielił się w Juliana Assange’a, założyciela WikiLeaks w filmie „Czwarta władza”. Rok później otrzymał pierwszą nominację do Oscara za rolę Alana Turinga w „Grze tajemnic”. Był botanikiem Josephem Hookerem w filmie „Darwin. Miłość i ewolucja” (2009), Thomasem Edisonem w „Wojnie o prąd” (2017) i Dominikiem Cummingssem w „Brexicie” (2019).

Pojawiły się nawet zarzuty, że zbyt często gra przedstawicieli wyższych sfer w produkcjach historycznych. Fakt, prócz wspomnianego „Głosu wolności” i roli Williama Pitta, w 2007 r. w rozgrywanej się w latach 30. i 40. XX wieku „Pokucie” wcielił się w okrutnego Paula Marshalla. Grał Ryszarda III w serialu „The Hollow Crown” (2016). Z tym władcą łączy go zresztą bardzo dalekie pokrewieństwo.

Między komedią a bólem

Jednak kto dokładnie śledzi karierę Benedicta Cumberbatcha, nie będzie miał wątpliwości, jak wszechstronnym i otwartym na wyzwania jest aktorem.

Pierwsze role grał w teatrze szkoły Harrow. Nauczyciel Martin Tyrel wspomina podopiecznego: „Benedict był najzdolniejszym szkolnym aktorem, z jakim kiedykolwiek pracowałem”. W męskiej placówce Cumberbatch ze swoją delikatną urodą wielokrotnie odgrywał role żeńskie.

Potencjał komediowy ujawnił już w „Sherlocku”. W zeszłym roku oglądaliśmy go w produkcji stricte komediowej – bardzo udanym remake’u „Wojny państwa Rose” (2025) Jaya Roacha. Niemieszcząca się w kanonie uroda Cumberbatcha, olbrzymi zakres mimiki, plastyczność twarzy – jego postać bawi do łez.

W swojej pierwszej głównej roli w kinie, w „Trzeciej gwiazdzie” (2010) wcielił się w umierającego na raka Jamesa. Po 16 latach od premiery film nadal porusza. Główny bohater budzi współczucie tak samo jak odpycha. Cumberbatch zachwyił niezwykłymi umiejętnościami odgrywania bólu i rozpacz. Pokazał je wcielając się w tytułową postać w serialu „Patrick Melrose” (2018), kreując rolę ojca zaginionego chłopca w serialu „Eric” (2024), czy mierząc się z toksyczną męskością w „Psich pazurach” (2021). Ta ostatnia rola zaowocowała drugą nominacją do Oscara.

Ale Cumberbatch sprawdza się też jako postać budząca odrazę i niechęć, np. Khan, czarny charakter z uniwersum „Star Treka”, w którego wcielił się w 2013 roku.

Nagrody i urazy

Wizytówką Benedicta Cumberbatcha jest także głęboki głos. Od początku kariery zasilał obłady słuchowisk radiowych, był lektorem książek, parą się dubbingiem, bywał narratorem. Używał głosu agentowi Utajnionemu w filmie „Pingwiny z Madagaskaru” (2014), a w jednym z dokumentów BBC opowiadał o zachowaniach tych ptaków, nie potrafi jednak poprawnie wymawiać słowa „pingwin”, co stało się przedmiotem wielu żartów.

Dzięki unikatowej barwie głosu, Cumberbatch zagrał Smauga w filmowej adaptacji „Hobbita” (2013) Petera Jacksona. Twórcy wykorzystali technologię motion capture, by stworzyć także poruszał się jak aktor. Benedict



◀ **Pierwszy raz pojawił się w uniwersum Marvela jako Doktor Strange w 2016 r. Jego bohater to arogancki neurochirurg, który zmieniła się w potężnego maga. Aktor jest znany z dystansu do siebie i poczucia humoru. Na zdj. w programie satyrycznym „Jimmy Kimmel Live” zostaje wynajęty jako magik, żeby zabawiać dzieci na przyjęciu urodzinowym**

▶ **Za rolę w „Psich pazurach” Jane Campion, dostał drugą nominację do Oscara. Zagrał Phila Burbanka, okrutnego i skrywającego wiele tajemnic ranczera z Montany, symbol toksycznej męskości.**

▶ **– Benedict był jedyną osobą, którą widzieliśmy w roli Sherlocka. Bardzo trudno znaleźć kogoś lepszego niż on – twierdzą Steven Moffat i Mark Gatiss, twórcy serialu BBC „Sherlock”, który przyniósł aktorowi ogromne uznanie i popularność.**

▼ **Alan Turing w czasie II wojny światowej pracował nad złamaniem szyfrów niemieckiej Enigmy. Jest uznawany za jednego z ojców sztucznej inteligencji, a Cumberbatch wcielił się w tę rolę w „Grze tajemnic” (2014) Dostał za nią pierwszą nominację do Oscara.**

FOT. RANDY HOLMES/DISNEY GENERAL ENTERTAINMENT CONTENT/GETTY IMAGES, EVERETT COLLECTION/EAST NEWS, ALAMY/BEW, WEINSTEIN COMPANY/SPLASH NEWS/EAST NEWS



pokazał wówczas, że potrafi być groźny i złowieszczy. Nic dziwnego, że dostał kiedyś podobno propozycję zagrania kinowego Dracula. Odmówił, bo unika kina grozy.

Ma za to za sobą podwójną rolę Monstrum i Victora Frankensteina. Tyle że w teatrze. W 2011 roku w spektaklu londyńskiego National Theatre w reżyserii Danny’ego Boyle’a zagrał 66 razy. „Frankenstein” był transmitowany w kinach na całym świecie. Retransmisje można oglądać na wielkim ekranie do dziś.

Rola przyniosła Cumberbatchowi listę nagród i... urazów. W rozmowie z „The Big Issue” opowiadał o otartych nadgarstkach, bólu stawów biodrowych, bliznach po sztucznej łysinie, a nawet lekkich wstrząśnieniach mózgu, których doznał na scenie.

By jak najlepiej odzwierciedlić „narodziny” Monstrum, Cumberbatch odwiedzał szpitale. – Obserwowałem osoby po wylewach podczas rehabilitacji i ludzi, którzy doznali urazów na wojnie i w wypadkach samochodowych. Wszyscy próbowali od nowa nauczyć się kontroli nad ciałem – opowiadał.

Tak dokładnie przygotowuje się do każdej roli. Przed „Sherlockiem” uczył się grać na skrzypcach. – Wystarczyłoby, gdyby udawał.

Brzmienie nie musiało być idealne. Ale było, bo to Benedict – opowiadała o pracy z gwiazdorem Eos Chater, skrzypaczka i nauczycielka aktora. Przygotowując się do roli Stephena Hawkina konsultował ruchy z osobami chorymi na stwardnienie zanikowe boczne, a przed wejściem na plan „Hobbita” obserwował warany z Komodo w londyńskim ZOO. – Przychodziłem tam, żeby przyrzeć się różnicom w poruszaniu kośćca i głowy – wyjaśniał.

Marzenia się spełniają

Silnie angażuje się też w sprawy społeczne. Sprzeciwiał się cięciom wydatków na kulturę. – Nie chcę, żeby na moje przedstawienia przychodziły tylko dzieci parlamentarzystów z Partii Konserwatywnej. Interesuje mnie sztuka skierowana do wszystkich ludzi – mówił na początku kariery.

Zbiera fundusze dla chorych na raka, angażuje się w pomoc dla uchodźców z Ukrainy i akcje charytatywne na rzecz Palestyńczyków. W 2015 roku po spektaklu Hamleta, w którym grał tytułową rolę, potępił brytyjski rząd za powolną reakcję na kryzys migracyjny i zaapelował o wpłaty na rzecz Save the Children, organizacji wspierającej syryjskich uchodźców.

Z miłości do Sherlocka...

• ...zwiedzałam Londyn śladami serialu i trafiłam do dwóch wyjątkowych miejsc. W żadnej knajpie w centrum nie czułam się tak, jak w małej śniadaniowni „Sperdy’s” nad którą mieszkał Sherlock. Pracownicy okolicznych biurów jedzą tu lunch, a sąsiadki umawiają się na kawę.

Spacerując Leinster Gardens odkryłam, że „fałszywe domy” z odcinka „Jego ostatnia przysięga”, istnieją naprawdę. Pod numerami 23 i 24 (gdzie Holmes zdemaskował Mary, żonę Watsona) nie ma mieszkań, ale drzwi bez klamek i zamurowane okna, na których szyby i ramy tylko namalowano.

Tak próbowano zastąpić torowisko, którym od 1863 r. jeździła pierwsza na świecie podziemna kolej. Wyburzono dwa domy, a w tym miejscu „odpowietrzano” lokomotywy: bo pierwsze pociągi napędzane parą potrzebowały otwartych odcinków torowisk do rozpraszania nagromadzonej pary. Widok na kolej nie pasował do ekskluzywnej okolicy, więc zbudowano tylko fasadę.

Również wspomniane na początku spotkanie, na którym obserwowałam Cumberbatcha, miało zaangażowany charakter. „Stage, Screen & Social Change” to inicjatywa wspierająca młodych uchodźców poprzez działania artystyczne. Zaproszeni goście – prócz Cumberbatcha byli m.in. Indira Varma i Juliet Stevenson – opowiadali o swojej karierze, społecznej roli teatru i kina oraz odpowiedzialności artystów. Ekranowy Sherlock sprawiał wrażenie serdecznego, choć trochę zakłopotanego. Kiedy brał do ręki mikrofon, rzucał anegdotami i czarował humorem, ale uważny obserwator dostrzegł nieco nerwowe poprawianie spodni, okularów i nadmiernej gestykulacji.

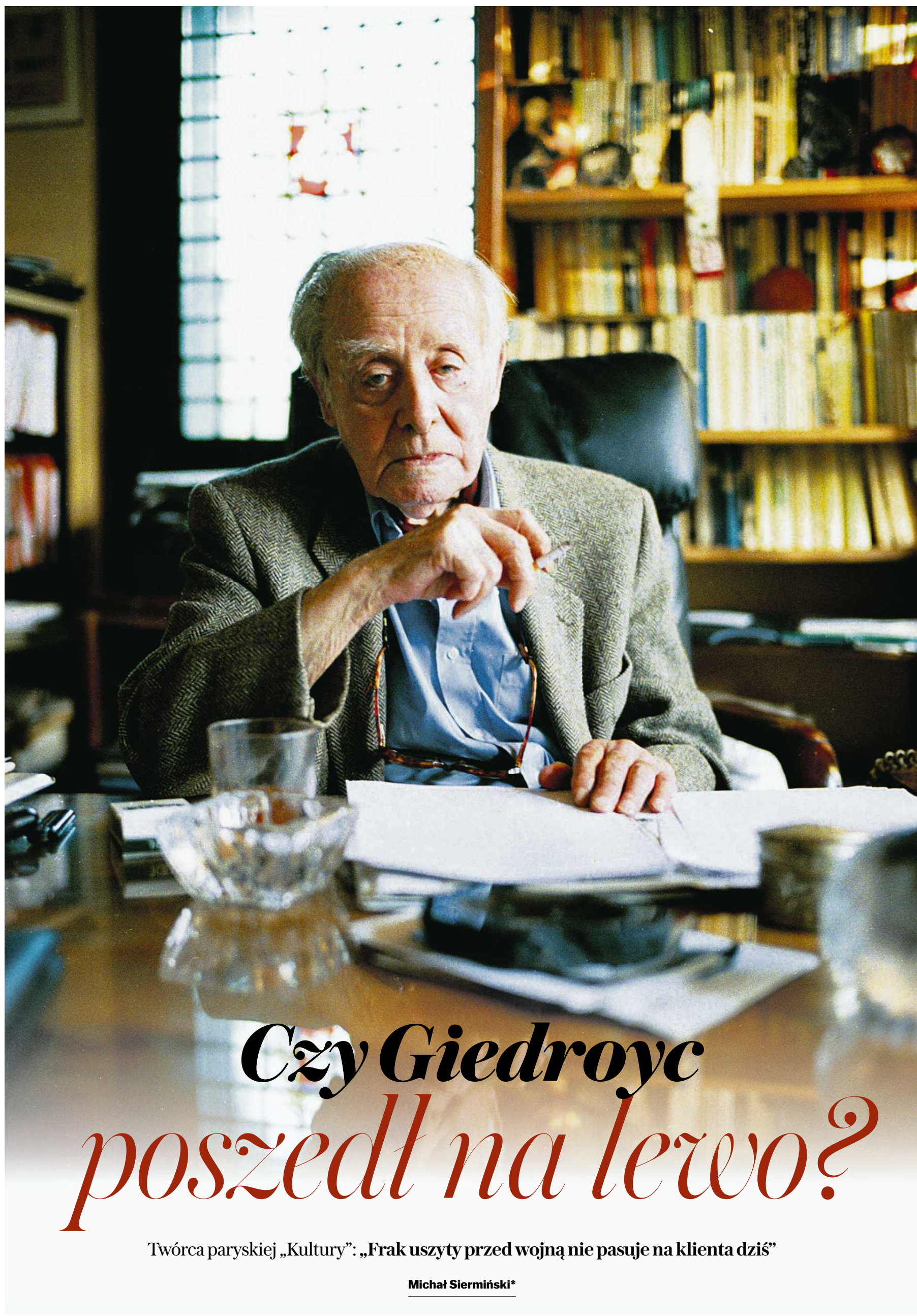
Brytyjski aktor Simon Pegg opowiadał kiedyś, że fani Benedicta nie znają jego prawdziwej wersji. – On jest bardzo niezgrabny, nieskoordynowany ruchowo. Ale kiedy tylko pojawia się kamera, zamienia się w super seksownego, gibkiego, inteligentnego Sherlocka. Robimy cięcie, a on pyta „czy na pewno było dobrze?”.

Podczas spotkania w Barbicanie Benedict Cumberbatch wyznał, że jego wymarzoną rolę pozostaje Król Lear. Zatem z okazji jego wypadających 19 lipca 50. urodzin życzę mu wciele-
nia się w tę właśnie postać. ●

ADAM MICHAŁ POLECA

• Jerzy Giedroyc w redakcji paryskiej „Kultury” w Maisons-Laffitte, 15.10. 1998 r.

FOT. PIOTR WÓJCIK
/ AGENCJA WYBORCZA.PL



Czy Giedroyc poszedł na lewo?

Twórca paryskiej „Kultury”: „Frak uszyty przed wojną nie pasuje na klienta dziś”

Michał Siermiński*

anusz Korek, historyk i literaturoznawca, pisał przed laty o pewnym „zaduchu” w lonie „giedroycologii” – atmosferze sprzyjającej hagiografii, powtarzaniu utartych formuł, omijaniu kwestii niewygodnych i trudnych. Uważam tę diagnozę za wciąż aktualną.

Z tej perspektywy najnowsza książka Rafała Stobieckiego „Jerzego Giedroycia przygoda z rewizjonizmem” była dla mnie jak haust świeżego powietrza. Łódzki historyk odważnie i przekonująco pokazał w niej coś, co wielu kustoszą pamięci o Giedroyciu – jako nieskalanym bojowniku o „wolną Polskę” – wyda się obrazoburcze: w połowie lat 50. XX wieku „Kultura” paryska postawiła na peerelowskich marksistów-rewizjonistów, a co więcej – był to przemyślany wybór polityczny, którego Giedroyc trzymał się konsekwentnie przez długie lata.

Długie pożegnanie

Stobiecki zaczyna od samego pojęcia rewizjonizmu, pokazując, że jest ono wieloznaczne, „wędrujące” między kontekstami – że zmienia sens zależnie od tego, kto się nim posługuje. Dopiero na tym tle rekonstruuje politykę Giedroycia wobec kraju, początki jego „przygody z rewizjonizmem” oraz sposoby rozumienia tego pojęcia w Maisons-Laffitte.

Analizuje w tym celu korespondencję redaktora i jego współpracowników, a także artykuły publikowane na łamach „Kultury”. Omawia również „okolorewizjonistyczne” inicjatywy wydawnicze Instytutu Literackiego: książki, antologie, projekty zrealizowane oraz te, które ostatecznie pozostały w planach.

Sporo miejsca poświęca kontaktom Giedroycia z rewizjonistami w kraju, zwłaszcza z Leszkiem Kołakowskim. Wreszcie pokazuje „długie pożegnanie” redaktora z rewizjonizmem, które rozpoczęło się „w okolicach roku 1968”.

Jak to się stało, że antykomunista Giedroyc dostrzegł w partyjnych intelektualistach rewidujących marksizm partnerów politycznych?

Przylegać do rzeczywistości

Moim zdaniem jest to zrozumiałe tylko w świetle autentycznej ewolucji w kierunku lewicy, którą redaktor – jak wielu innych konserwatystów tego pokolenia – przeszedł po II wojnie światowej.

„Nasze miejsce jako »Kultury« jest w obozie lewicy” – pisał Juliuszowi Mieroszewskiemu, swojemu alter ego, w 1957 r. W podobnym czasie Giedroyc wyjaśniał socjologowi i współpracownikowi „Kultury” Zbigniewowi Jordanowi: „propagowanie [demokratycznego] socjalizmu [na łamach pisma] – które różnych ludzi irtuje czy śmiesz – jest naprawdę z mojej strony jak najbardziej szczere, a nie taktyczne”.

Po spotkaniu z redaktorem w Paryżu w 1958 r. Stanisław Ossowski zanotował w swym dzienniku: „[Giedroyc] mówi o sobie, że przeszedł uczciwą ewolucję, która go zaprowadziła na pozycję lewego skrzydła socjalistów”. Wiele lat później redaktor opowiadał Leopoldowi Tyrmandowi: „krwawym wysiłkiem zrobiłem z »Kultury« pismo lewicowe (...). Byłoby nieścisle stwierdzenie, że zrobiłem to wyłącznie ze względów taktycznych. Moja osobista ewolucja poszła w tym kierunku również”. Co za tą ewolucją stało?

Redaktor konsekwentnie trzymał się zasady „przylegania do rzeczywistości”. Nakazywała ona pilnie przystawiać ucho do ziemi, by harmonizować własne poglądy polityczne z dynamiką otaczającego świata. „Trzeba się umieć przystosować do zmieniającej [się] rzeczywistości, nie tracąc z oczu celu, do którego się dąży” – wyznawał Barbarze Toruńczyk.

Trochę szkoda, że z książki Stobieckiego o tej „zmieniającej się rzeczywistości”, do której Giedroyc starał się jak najciszej „przylegać”, dowiadujemy się bardzo niewiele. Niżej spróbuję spojrzeć na jego polityczną drogę w trzeciej ćwierci XX wieku tak, jak zrobiliby to fascynujący go marksści-rewizjoniści współtworzący tzw. Warszawską Szkołę Histo-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Wisława Szymborska

Pod jedną gwiazdką

*Przepraszam przypadek, że nazywam go koniecznością.
Przepraszam konieczność, jeśli jednak się mylę.
Niech się nie gniewa szczęście, że biorę je jak swoje.
Niech mi zapomną umarli, że ledwie tlą się w pamięci.
Przepraszam czas za mnogość przeoczonego świata na sekundę.
Przepraszam dawną miłość, że nową uważam za pierwszą.
Wybaczcie mi, dalekie wojny, że noszę kwiaty do domu.
Wybaczcie, otwarte rany, że kłują się w palec.
Przepraszam wołających z otchłani za płytę z menuetem.
Przepraszam ludzi na dworcach za sen o piątej rano.
Daruj, szczuta nadziejo, że śmieję się czasem.
Darujcie mi, pustynie, że z łyżką wody nie biegnę.
I ty, jastrzębiu, od lat ten sam, w tej samej klatce,
zapatrzony bez ruchu zawsze w ten sam punkt,
odpuść mi, nawet gdybyś był ptakiem wypchanym.
Przepraszam ścięte drzewo za cztery nogi stołowe.
Przepraszam wielkie pytania za małe odpowiedzi.
Prawdo, nie zwracaj na mnie zbyt bacznej uwagi.
Powago, okaż mi wspaniałomyślność.
Ścierp, tajemnico bytu, że wyskubuję nitki z twego ternu.
Nie oskarżaj mnie, duszo, że rzadko cię miewam.
Przepraszam wszystko, że nie mogę być wszędzie.
Przepraszam wszystkich, że nie umiem być każdym i każdą.
Wiem, że póki żyję, nic mnie nie usprawiedliwia,
ponieważ sama sobie stoję na przeszkodzie.
Nie miej mi za złe, mowo, że pożyczam patetycznych słów,
a potem trudu dokładam, żeby wydały się lekkie.*

Wiersz z tomu Wisławy Szymborskiej „Wszelki wypadek” (1972).
Tutaj za jej zbiorem „»Ta rozhuśtana na grozie wesołość«. Allegro ma non troppo. Wiersze”, Universitas, Kraków 2025.



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

ryków Idei, jak również wszyscy inni porządni materialisci historyczni: wyjdę od konkretnego życia społeczno-politycznego.

ZSRR silny jak nigdy

Koniec wojny to w Europie czas wielkich przemian, zarówno „mentalnych”, jak i społeczno-gospodarczych. Słynny brytyjski historyk Eric Hobsbawm pisał, że przyszłość liberalnej demokracji i kapitalizmu wydawała się wtedy dolece niepewna, w czym znaczną rolę odgrywało wspomnienie wielkiego kryzysu i przeświadczenie, że to właśnie on doprowadził do katastrofy w postaci światowego konfliktu. Kontynent był ruiną zamieszkaną przez obdartych, wygłodniałych i radykalnie nastawionych ludzi. Miasta (i przedmieścia) były proletariackie i czerwone.

Historyk Tadeusz Łepkowski wyjaśniał, że znaczna część mieszkańców krajów, które zostały ujarzmione przez Niemcy, odrzucała restaurację porządków przedwojennych. „Ludy Europy pragnęły głębokiej przebudowy struktur społeczno-gospodarczych i politycznych, w duchu demokratycznym i socjalistycznym, jeśli nie wręcz komunistycznym. Jeśli użyć tradycyjnej, dziewiętnastowiecznej jeszcze formuły, Europa przesunęła się na lewo. Wyzwolenie narodowe uznawano za niepełne bez wyzwolenia społecznego”.

■
*Giedroyc, antykomunista,
dostrzegł po wojnie
w partyjnych intelektualistach
rewidujących marksizm
partnerów politycznych.
Jak to możliwe?*

Rola polityków umiarkowanych słabła, prawiła, w znacznej części skompromitowana współpracą z okupantem, nie odgrywała większej roli. Wydawało się, że o historii tej części świata zadecyduje radykalna lewica, tym bardziej, że międzynarodowy ruch komunistyczny – dzięki militarnym triumfom ZSRR – wyszedł z wojny silny jak nigdy wcześniej.

Ian Kershaw, historyk, podaje, że po ustaniu walk w wielu krajach partie komunistyczne zwiększyły swoje poparcie niemal dwukrotnie w porównaniu z okresem przedwojennym. Zachodnioeuropejska burżuazja robiła się bardzo nerwowa; część pozostawała w ukryciu, bojąc się odpowiedzialności za kolaborację; niektórzy uciekali za Atlantyk, wlokąc za sobą precjoza i kapitały.

Będzie rewolucja?

Od 1944 r. Giedroyc był we Włoszech, a w 1946 r. w Rzymie założył Instytut Literacki. Na własne oczy widział drugi z trzech wielkich wzlotów włoskiej klasy robotniczej, które miały miejsce w XX wieku. Antyfaszystowski opór był tu zasadniczo proletariacki, a komunistyczni garibaldzcy nadawali ton partyzantce.

Po lewej stronie partii komunistycznej wyrastały organizacje jeszcze radykalniejsze, a partyzanci patrzyli na Jugosławię, gdzie wojna z okupantem przerastała właśnie w rewolucję społeczną. W 1945 r. wiele robotniczych oddziałów partyzanckich zakopało w lasach broń, zakładając, że walka jeszcze się nie skończyła, a po Mussolinim trzeba będzie przepędzić kapitalistów.

W wyborach w 1946 r. komuniści i socjaliści zdobyli łącznie około 40 proc. głosów. W kolejnych latach – mimo że Moskwa i Waszyngton robiły wszystko, by powstrzymać rewolucję – Włochami wstrząsały kolejne wielkie kryzysy polityczne. W 1948 r., gdy postrzelono Palmiro Togliattiego [przywódcę włoskich komu-

nistów], wybuchł strajk powszechny, który błyskawicznie przekształcał się w strajk powstańczy: nastąpiły okupacje fabryk, dworców i centrów telefonicznych, walki uliczne, szturm na komisariaty i siedziby partii rządzących. Wielki zryw z trudem wygasili stalinowscy przywódcy komunistów, a w kolejnych latach opór złamał aparat represyjny państwa.

W 1947 r. Instytut Literacki przeniósł się do podparyskiego Maisons-Laffitte. Francja również wychodziła z wojny mocno zdradkalizowana. W całym ruchu oporu prym wiodli komuniści, ale także w innych środowiskach upowszechniały się hasła socjalistyczne. W licznych zakładach pracy rodziły się komitety fabryczne i załazki władzy „oddolnej”.

W sierpniu 1944 r. w „Combat”, czołowym piśmie podziemnym, Albert Camus napisał programowy tekst „Od oporu do rewolucji”. Postulował natychmiastową realizację we Francji „demokracji ludowej i robotniczej”. „Jesteśmy zdania, że każda polityka, która odseparuje się od klasy robotniczej, jest bezcelowa. Francja jutra będzie tym, czym będzie jej klasa robotnicza” – pisał.

W pierwszych powojennych wyborach komuniści zdobyli 26 proc. głosów, socjaliści zaś 24 proc. Pod presją społeczną de Gaulle musiał zaakceptować pakiet radykalnych reform: m.in. rozbudowę świadczeń i szeroką falę nacjonalizacji (w tym energetyki, banków, węgla, lotnictwa), a także gospodarkę planową.

Namiętne dążenie mas

Europa Środkowo-Wschodnia, której Giedroyc przyglądał się baczniej niż jakiegokolwiek innej części świata, także chętnie żegnała się z ancien régime'em. Na Bałkanach czy w Czechosłowacji – pisał Łepkowski – „przesunięcie na lewo” oznaczało „przesunięcie aż do komunizmu”.

Inaczej rzecz przedstawiała się w Polsce. Tu także dał silny wicher radykalizacji, lecz nie wypełniał komunistycznych żagli. Nad Wisłą komunistów kojarzono bowiem z imperiaлизmem rosyjskim.

W maju 1944 r. tak prawicowy wojskowy jak Tadeusz Bór-Komorowski alarmował rząd emigracyjny w Londynie: „Duże przesunięcie się światopoglądów na lewo. Silna radykalizacja (...). Niemal powszechne żądanie kontroli społeczeństwa nad życiem gospodarczym, likwidacji skupienia dóbr w rękach prywatnych ponad określone minimum (...). Władza, która by próbowała zahamować ten proces, naraziłaby Kraj na ciężkie wstrząsy”.

Plk Jan Rzepecki – to na jego ocenach opierał się Bór – twierdził, że jeśli władze „londyńskie” spróbują przeciwstawić się temu „namiętnemu dążeniu mas, którego nic zdusić nie zdoła” i nie wystąpią z programem reform antykapitalistycznych, to czeka je „nienawiść i... latarnia”.

22 lipca 1944 r. – w dniu, w którym ogłoszono manifest PKWN – Bór-Komorowski domagał się od „polskiego Londynu” przejścia przez państwo wielkiej własności ziemskiej bez odszkodowań, uspołecznienia głównych gałęzi przemysłu i ustanowienia rad załogowych. (W manifestie PKWN o żadnym uspołecznieniu czy nacjonalizacji przemysłu nie było mowy – Stalin osobiście wykreślił odpowiedni punkt).

15 sierpnia 1944 r., gdy trwało już powstanie warszawskie, podziemny parlament obozu londyńskiego (Rada Jedności Narodowej), który już wcześniej zapewniał, że gospodarka Polski powojennej będzie planowa, wydał odezwę gwarantującą wszystko to, czego domagał się Bór-Komorowski. Biuro Informacji i Propagandy AK – wiemy to ze źródeł – zdawało sobie sprawę, że postulaty te „posiadają niesłychaną siłę porywania mas”. Przedwojenny porządek społeczno-polityczny ginął w gruzach palonej i bombardowanej Warszawy, zanim jeszcze Armia Czerwona przekroczyła linię Wisły.

Kołuństwo endeckie groźne jak bolszewizm

Po wojnie, gdy niezłomni z Londynu wierzyli, że polskie społeczeństwo wyczekuje gen. An-

dersa na białym koniu, Giedroyc przytomnie oceniał, że Polska sprzed 1939 r. zniknęła raz na zawsze. Zespół „Kultury” w „Zarysie Manifestu Demokratycznego” z 1951 r. literalnie odrzucał kapitalizm jako system „prowadzący do sytuacji moralnie nieznosnych”.

Jak mówił redaktor, „frak uszyty przed wojną nie pasuje na klienta dziś”. W przedmowie do pierwszego numeru pisma z 1952 r. czytamy, że okres kilku ostatnich lat wypełniły przemiany, „których ślady w życiu narodu będą głębokie i nieprzemijające”. W Polsce ludzie nie marzą o oddaniu fabryk i kopalń kapitalistom; nie są wrogami socjalizmu, lecz antydemokratycznego reżimu.

Giedroyc był całkiem wolny od nacjonalizmu (to zasługuje na osobny tekst), nienawidził endeków („kołtuństwo endeckie uważam za nie mniej groźne od bolszewizmu”), a środowiska katolickie („Tygodnik Powszechny”, Znak) oraz Kościół uważał za konformistów.

Z marksistami-rewizjonistami łączyło go rozzczarowanie Władysławem Gomułką, który zdradził Październik, i wiara w możliwość demokracji socjalizmu. Ponadto redaktor był przekonany, że system można zmienić tylko „od wewnątrz”, a nie tworząc integralną opozycję.

Adam Michnik mówił mi, że podczas jego pierwszej wizyty w Maisons-Laffitte w 1964 r. Giedroyc opowiadał mu o swojej przedwojennej działalności: „Ja wierzę w to, że zmiany zawsze wychodzą ze środowisk, które są na obrzeżach reżimu, ja byłem na obrzeżach sanacji”.

Stawiać na robotników

Jeszcze ciekawsza od stawki Giedroycia na rewizjonizm wydaje mi się jego stawka na robotników. Żelazne pytanie, jakie redaktor stawiał w Maisons-Laffitte każdemu przybyszowi z Polski, brzmiało: „Jakie są nastroje wśród robotników?”.

Z klasą tą wiązał wielkie nadzieje. W 1953 r. w liście do Konstantego Jeleńskiego przewidywał, że to „ruchy socjalne” robotników będą miały decydujące znaczenie przy roszadzeniu komunizmu. Stałe naciskał na Mieroszewskiego, by podejmował problematykę robotniczą w „Kulturze”.

W rewolcie poznańskiej z 1956 r., na którą zareagował z ekscytacją, widział Giedroyc „powrót do atmosfery 1905 r.”. Wybuch uważał za przejaw nabierania przez robotników „świadomości klasowej”. Liczył m.in., że proletariackie powstanie otworzy drogę do „odetatyzowania przemysłu na wzór jugosłowiański”. Starał się umiędzynarodowić sprawę protestów czerwcowych, zainteresować nimi lewicę zachodnioeuropejską, próbując stworzyć wokół Poznania „atmosferę wojny domowej hiszpańskiej”.

„A więc wybuchło”

Z jeszcze większą ekscytacją Giedroyc przyjął wieść o rewolcie robotniczej z Grudnia ‘70. Gdy dowiedział się o sytuacji, zaraz napisał do Miłosza: „A więc wybuchło”. Grudniowego piśmienia oświadczenia „Kultury”, w którym mowa była o „sensie wypadków” w Trójmieście, Szczecinie i innych miastach Polski, nie powstydziłby się nawet najbardziej bojowy francuski trockista:

„Tym razem użycie słowa rewolucja nie będzie przesadne. (...) Robotnicy łatwo przypominają sobie klasowe sposoby reagowania przeciwko swoim ciemiężcom i w obrocie własnych oraz narodowych interesów. (...) Iskra wzniecona przez polskich stoczniovców może rozplomienić pożar oczyszczający ludy Wschodniej Europy”.

Redakcja podpowiadała, czego należy domagać się jako „absolutnego i bezzwłocznego MINIMUM” – powołania samorządu robotniczego w fabrykach i rozszerzenia uprawnień związków zawodowych.

Giedroyc przetłumaczył tekst oświadczenia na francuski i angielski, a następnie rozesłał je w świat.

W kwietniu 1971 r., już po strajkach łódzkich, pisał w liście do Leszka Kołakowskiego o „narastającej rewolucji proletariackiej” i niepokoił się biernością polskiej inteligencji. Bezskutecznie namawiał filozofa do podjęcia próby „zorientowania świata intelektualnego i włączenia go do rewolucji robotniczej, która bez udziału inteligencji musi być skazana na klęskę lub orientować się w kierunku machaj-szczyzny”.

Kiedy zapytałem Adama Michnika o stawkę Giedroycia na robotników, usłyszałem: „On wszędzie szukał nadziei. On szukał wszędzie, gdzie była luka w tym murze”.

Otóż to. Redaktor uważał się za pilsudczyka i rzeczywiście wiele go z Pilsudskim łączyło. Tak jak Pilsudski, żywił przekonanie, że jedyną siłą społeczną zdolną urzeczywistnić marzenia o „niepodległości” (Giedroyc uważał PRL za państwo pozbawione niepodległości) jest proletariatus. Był gotowy postawić wszystko na jedną kartę. W 1975 r. mówił:

„Nowy wybuch stanowiłby wielkie zagrożenie dla grupy kierowniczej i dla partii. A jednocześnie stłumienie rozruchów, które, jak przypuszczam, byłoby tym razem trudniejsze i bardziej krwawe – wywołałoby rezonans w bloku wschodnim. W moim przekonaniu niewątpliwie ofiary w tym wypadku się oplacą”.

Zapytany następnie, „od kiedy datuje się jego wiara w robotników”, odpowiedział bez wahania: „To nie jest żadna wiara, to jest znajomość mechanizmu, który działa od dziewiętnastego wieku. Rewolucję robią robotnicy, nikt inny. A rewolucja zwycięża, jeśli popiera ją inteligencja. To jest abecadło”.

Śladami Pilsudskiego

Jeśli coś wygląda jak kaczką i kwacze jak kaczką, to jest kaczką. Skoro Giedroyc odrzucał restauracyjne marzenia prawicy, skoro sam mówił, że ewoluował na lewo, skoro szukał sojuszników wśród marksistów-rewizjonistów, skoro na serio myślał o rewolucji robotniczej i socjalizmie demokratycznym – nie ma powodu, by odmawiać mu miana człowieka lewicy.

Wciąż otwarte pozostaje oczywiście pytanie, co to była za lewicowość. Zdecydowanie nie komunistyczna i nie marksistowska, w ogóle nie doktrynalna, raczej pilsudczykowska czy prometejska, a przede wszystkim podporządkowana jednej sprawie, o której Giedroyc myślał każdego dnia i każdej godziny – „tej, którą w »Lalce« Prusa stary Rzecki w swoim dzienniku oznacza literą P.” (Miłosz).

Wystarczy, by nie pozwoliła bez walki za-właszczyć go prawicy - redaktor na to nie zasłużył. Książka Rafała Stobieckiego na pewno może nam w tym pomóc. ●

Tytuł i śródtytuły - „Wyborcza”



FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Michał Siermiński

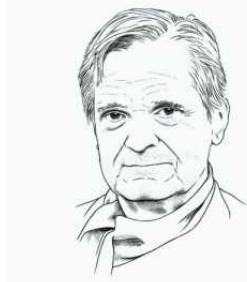
• Ur. w 1989 r., filozof, matematyk, historyk. Pracuje w Instytucie Historii Nauki PAN i w Instytucie Narutowicza. Wydał m.in. (wraz z Przemysławem Witkowskim) książkę „Obywatel Michnik. Myśl polityczna Adama Michnika” (2025).

Rafał Stobiecki,
„Jerzego Giedroycia
przygoda z rewizjonizmem”,
Wydawnictwo Uniwersytetu
Łódzkiego 2025



Księżę Kardynale, który wiesz, że mówię do Ciebie...

**Księża Biskupi zawstydzeni i bezradni
we własnej instytucji, samotni wobec
własnego Boga. Siostry Zakonne, Kapłani
diecezjalni i zakonni, pomóżcie.**



Jarosław Mikołajewski

Felieton z cyklu „Za pięć trzynasta”

List do polskiego Kościoła

Jestem we Włoszech, widzę jak wiele uwagi dziennikarze przywiązują do wizyty Leona XIV na Lampedusie i dobry duch kusi mnie, żeby spytać: hej, czy nie jest to szansa?

Jaka gra rozgrywa się w Polsce?

Po pierwsze pytam kapłanów, w tym biskupów: czy nie jest to szansa nie tylko dla Was, ale i dla naszej społeczności? Przyjrzyjcie się, Bracia w czerni, jaka gra, może wojna, rozgrywa się właśnie w Polsce. Z jednej strony – grupa zdeprawowanych szaleńców, którzy brną w kłamstwa (ach, z jaką czujnością wyłapujecie je w konfesjonach!), posługujących się Jezusem Chrystusem, Jego Matką, Janem Pawłem i Wszystkimi Świętymi do budowania mechanicznych skojarzeń przekładających się na bojaźliwie prostoduszne głosy, odtwarzających dawne, wydawałoby się, że skompromitowane tropy nacjonalizmu i ksenofobii.

Z drugiej – owszem, zbiorowisko ludzi, którzy często nie zgadzają się z Waszym poglądem na rolę religii w Państwie i na model najbliższych relacji międzyludzkich, lecz przecież solidarnych przynajmniej na poziomie hasel. Którzy mówią, że wolność jest rzeczą intymną, często szukają w kościołach słowa, które dają nadzieję, nie potępia, rozjaśnia. I znajdują je u wspaniałych kapłanów (nie wymieniam ich, żeby nie wykluczać pozostałych, którzy będą skłonni posłuchać mojego apelu), również kardynałów, arcybiskupów, biskupów.

Otóż dzisiaj, na rok przed nowymi wyborami, kiedy tak łatwo jest patrzeć z niesmakiem na polską społeczność i utyskiwać, że tych dwóch obozów nie da się pogodzić – na widok papieża z kraju Donalda Trumpa, który w ślad za papieżem z Argentyny poleciał na Lampedusę i postawił na czele kilku dykasterii kobiety, czy nie pomyślicie, że warto?

Facet z gaśnicą

Zacznijcie od kłamstwa. Odczyńcie je. Uderzcie się w piersi, wyznajcie winy i potrzebę służby, powiedzcie „dosyć!” i wycofajcie poparcie dla tych, którzy nienawidzą z imieniem Jezusa na sztandarach. Załączcie od nich naprawy tak, jak pod Agrigento

papież z Polski, z narażeniem życia, zażądał od mafii zejścia z drogi zbrodni.

Zmieńcie język, jakim mówi się w tyłu kościołach. Mówcie jak ludzie. Jak tylko niektórzy z Was. Uważnie, precyzyjnie, czule. Powiedzcie że Waszego poparcia nie dostała żadna partia polityczna i żaden polityk. Bo jeśli w Polsce wynik wyborczy oscyluje wciąż wokół remisu, to tylko przez symboliczne, niepoparte treścią przywiązanie wiernych do imion i znaków. Wiem nie z badań, lecz z tego, że patrzę i myślę, jak wielu wiernych na wszelki wypadek, ze strachu przed wiecznym potępieniem, będzie skłonnych zagłosować na polityka, który bezwstydnie, oszukańczo, cynicznie i wbrew Jego nauce powołuje się na Jezusa. Powtarzam – na wszelki wypadek. W dodatku – z przyzwyczajenia... Czy takich wyborców i wyznawców życzyście swojemu Kościołowi i Ojczyźnie?

Księżę Kardynale, który wiesz, że mówię do Ciebie. I drugi Księżę Kardynale, który wiesz, że mówię do Ciebie. I trzeci Księżę Kardynale, który wiesz, że mówię do Ciebie. Księżę Biskupie Przyjacielu. Księża Biskupi zawstydzeni i bezradni we własnej instytucji, samotni wobec własnego Boga. Siostry Zakonne, Kapłani diecezjalni i zakonni, pomóżcie. Powiedzcie jasno, tak, żebyśmy wiedzieli kogo macie na myśli, że niechęć do przybyszów jest grzechem, a szacunek dla nich i troska zasługą. Wyrażcie się. Ogłoszcie, że jeśli nie grzechem, to błędem jest głosować na tych, którzy głoszą nienawiść pod osłoną Krzyża. I dodajcie jeszcze – kto konkretnie propaguje nienawiść. Choćby facet z gaśnicą skierowaną na zapaloną w polskim Sejmie chanukę.

Pomóżcie Polakom

Nie proszę Was, żebyście wzywali do głosowania na Premiera Tuska czy Marszałka Czarzastego. Proszę, żebyście tym, którzy nienawidzą, powiedzieli jasne i stanowcze „nie”. Weźcie odpowiedzialność za Polskę śladem pięknych kapłanów, którzy – często piętnowani przez braci – upamiętniają zamordowanych Chrześcijan i Żydów (nie mówię „Polaków”, bo polscy Żydzi byli i są Polakami nie mniej od facetów o nazwisku Mikołajewski). Przykładem Sióstr i Kapłanów, które/którzy karmią, bronią, dają schronienie muzułmanom, buddystom, ateistom, po prostu ludziom, z których każdy toczy swój los tak jak umie, często bez żadnego wyboru.

I jeszcze jedna prośba, która płynie z prawdą bliskich kontaktów, jakie miałem i mam z wieloma z Was. Zróbcie sobie kolekcje z zawiści i miłości własnej. Wielu Księży, którzy głoszą Chrystusa miłosiernego, zniechęconych jest przez współbraci tylko dlatego, że to o nich pisze „Gazeta Wyborcza”. Powiedzcie: ich popularność w demokratycznych mediach nie przynosi Wam ujmy. Nie musicie szukać rozmówców tylko w okopanej twierdzy.

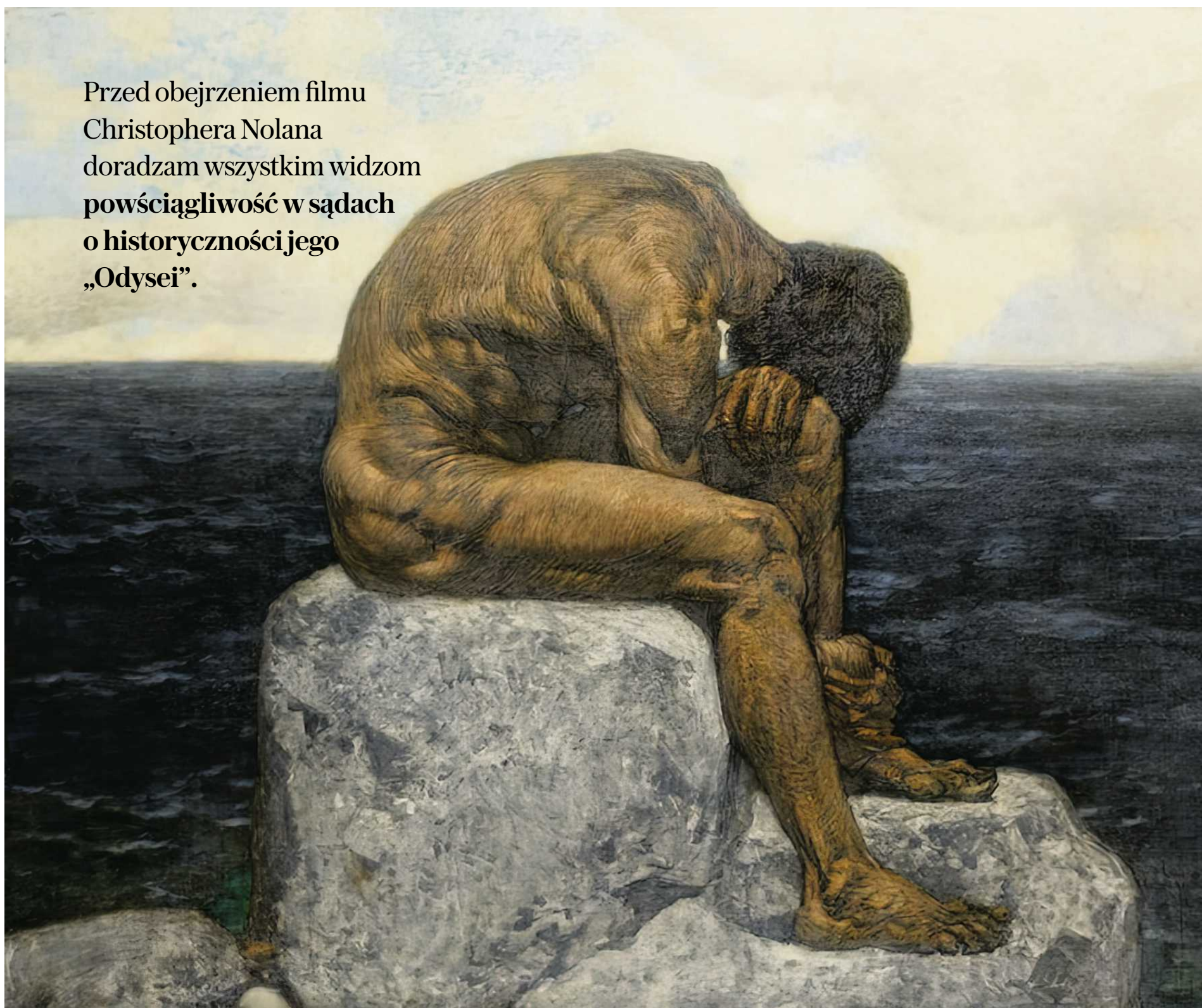
Postawcie na rzetelne rozpoznanie prawdy i tylko ją głoszcie, bez pychy i megalomanii.

Kochani, nieoczywistość globalnego pontyfikatu papieża z Ameryki to taka piękna szansa i dla nas. Pomóżcie Polakom wybrać przez to, że przywróćcie im wolność od ideowych zobowiązań i nacisków. ●

Odysej

HEROS NIEHEROICZNY

Przed obejrzeniem filmu
Christophera Nolana
doradzam wszystkim widzom
powściągliwość w sądach
o historyczności jego
„Odysei”.



Z **TOMASZEM MOJSIKIEM**, filologiem klasycznym,
ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**

KASPER KALINOWSKI: Miliony ludzi czeka-
ją na premierę „Odysei” Christophera Nolana,
a temat podejmowali choćby Dante, James Joyce,
a w naszych czasach Madeline Miller i bracia Coen.
W „Odysei” Homera jest coś niezwykłego, że od
trzech tysięcy lat budzi fascynację?

DR HAB. TOMASZ MOJSIK: Na to wychodzi, niepraw-
daż? Mimo że zajmuję się eposami Homera od lat, to
wciąż mnie fascynuje to, jak szybko, jak bardzo i na
jak długo popularne stały się w naszej kulturze „Iliada”
i „Odyseja”. Oczywiście odpowiada za to wiele czynni-
ków, ale niektóre są mniej oczywiste. To choćby poja-
wienie się prostego zapisu w postaci alfabetu ze zna-
kami dla samogłosek, a potem wyłonienie się bibliotek
i kultury czytelniczej, która trwa niemal nieprzerwanie
do dzisiaj.

W wypadku „Odysei” niewątpliwie kluczowy okazał
się także sam temat eposu, czyli przygody Odysa i jego
nieugięta chęć powrotu do domu, do rodziny i świa-
ta sprzed wojny. Życie jako podróż to nośna metafora.
Gdybym miał wskazać tylko dwie cechy „Iliady” i „Ody-
sei”, które przyczyniły się do niegasnącej fascynacji
tymi utworami, to byłaby inkluzywność „Iliady” – jest
bowiem ewenementem, że Trojanie mówią po grecku
i czczą Atenę czy Zeusa, a zatem nie są obcymi kultu-
rowo „dzikusami”. Do tego Hektor jest bliższy naszemu
sercu niż Achilles. Druga cecha dotyczy bardziej „Ody-
sei” i jest to danie głosu postaciom spoza kręgu pierw-
szoplanowych herosów – niewolnikom, służącym,
towarzyszom Odysa, a nawet zalotnikom. Ta otwartość
i zrozumienie, że los potrafi rzucić człowieka w różne
miejsca drabiny społecznej, to coś niebywałego na tam-
te czasy i nieustannie zaskakującego także współcze-
snego czytelnika.

**Może „Odyseja” była więc pierwszym bestsellerem,
a wokół niej powstała pierwsza wspólnota czyteln-
ików w historii?**

– Jeśli tak, to z pewnością razem z „Iliadą”, która tak-
że w antyku była bardziej popularna od „Odysei”. Czy
słusznie, to inna sprawa. Jednak palmę pierwszeństwa
dzierży w tej kategorii raczej epos o Gilgameszu. Bio-
rąc pod uwagę czas trwania opowieści (niemal dwa
tysiące lat) i jej zasięg (cały Bliski Wschód), to musiał
być pierwszy bestseller. Niemniej eposy Homera biją
wschodnie utwory na głowę sposobem poprowadze-
nia narracji i głębią. Miały też trochę szczęścia, bo cała
kultura grecka jest osnuta wokół wyprawy Odyseusza
i wojny trojańskiej. To, jak szybko Rzymianie zaada-

• „**Odyseusz**
(tęsknota
za domem)”,
obraz austriac-
kiego malarza
Alexandra
Rothauga
z 1924 roku
FOT. GETTY IMAGES

ptowali literaturę i opowieści Greków, jest tego najlep-
szym dowodem.

**W swojej książce „Odyseusz. Biografia nieautory-
zowana” określa pan głównego bohatera „hero-
sem nieheroicznym”. Co go różni od np. Achillesa
czy Heraklesa?**

– Z pewnością Odyseusz nie jest herosem, który wszyst-
ko załatwia siłą. To ona właśnie – siła, przemoc – róż-
ni go od Achillesa, a zwłaszcza Heraklesa, który jednym
palcem może (choćby i niechęć) zadać śmierć. Nie
znaczy to oczywiście, że Odyseusz jest kiepskim wojow-
nikiem czy, broń Zeusie, tchórzem. W mitach znajdzie-
my przykłady jego wyczynów na polu bitwy. Respekt
przed nim wynika raczej z jego rozsądku, sprytu i umie-
jętności przemawiania.

**Deklaruje pan wierność zasadzie Kallimacha: „Opie-
wam tylko to, co jest poświadczone”. To możliwe
w przypadku postaci mitycznych?**

– Oczywiście, i książka ma nas przekonać również
do tego, że można badać nie tylko zdarzenia (militar-
ne, polityczne), ale także świat wyobrażeń, fantazji czy
klamstw. Ludzkie wyobrażenia uznaję bowiem za ślad
pracy intelektualnej i w tej formie traktuję na równi
z relacjami o bitwach czy zmianami na tronie.

Paradoks zresztą polega na tym, że wszystkie nasze
źródła pisane są efektem pracy intelektualnej. Tyl-
ko niektóre dokumentują to, co się zdarzyło, a inne
– co mogło się zdarzyć lub sądzono, że miało miejsce.
Przygody Odysa i greckie mity są dobrym przykładem
myślenia jako aktywności ludzkiej ważnej dla trwa-
nia grupy i poczucia bezpieczeństwa w świecie. Choć
nie wszędzie dają przypisy, aby nie nużyć czytelnika, to
wszystkie te informacje mają swoje źródło w wypowie-
dziach Greków i Rzymian.

**Cofnijmy się do początku. Odyseusz brał udział
w wojnie trojańskiej. Nie był jej entuzjastą. Aby
uniknąć poboru, udawał nawet szaleństwo. Nie dzi-
wi to pana?**

– Oczywiście nie znajdujemy tej informacji o miga-
niu się od wyprawy w samej „Odysei”, ale tradycja
jest wystarczająco wczesna, aby brać ją na poważ-
nie. Odys nie spieszył się na wojnę i ma to sens w kon-
tekście jego przedłużonego powrotu – wojna to ryzy-
ko braku powrotu w ogóle. Zresztą niektóre warianty
tej opowieści mówią o przepowiedni wskazującej, że
jeśli Odys wyruszy pod Troję, to nie wróci wcześniej
niż po 20 latach. Z innej strony – i tę wersję wyjaśnień
preferuję – właśnie urodził mu się syn, ma młodą mał-
żonkę... Po co wyruszać na wojnę? Napotykamy tu być
może wyraz refleksji nad takim etapem życia społecz-
nego, gdy wojaczka nie powinna być w głowie młode-
go człowieka. Taka przestroga była ważna zwłaszcza
w czasach wylaniania się miast greckich i wielkiej kolo-
nizacji. Mężczyźni walczyli, podróżowali i czasem zni-
kali na zawsze. Choć nie wypadało tego przyznać, to
nie wszyscy z pewnością uważali, że te aktywności są
bezpieczne i pożądane. I „Odyseja” mówi to za nas – za
wszystkie matki, żony i synów, którzy zostali w domu.

**Niewielu wie, że tak naprawdę odbyły się dwie inwa-
zje na Troję. Dlaczego?**

– Bo u Homera trudno dostrzec ślad tej tradycji. Raz,
w 24. pieśni „Iliady”, Helenie wymyka się z ust, że sie-
dzi już w Troi 20 lat. Zwróćmy jednak uwagę, że gdyby
przyjąć tę wersję zdarzeń, to Odysa nie byłoby w domu
nie 20, ale 30 lat, co jest już przesadą. Skąd taka trady-
cja? Wedle wersji mitu znanej nam z „Iliady” pierwsza
grecka wyprawa trafiła pierwotnie nie pod Troję, ale
w inne miejsce, a skutkiem było oblężenie miasta Teu-
trania. Dopiero po 8 latach greccy herosi wrócili i rozje-
chali się po domach. Zebranie ich ponownie zajęło tro-
chę czasu i dopiero po dwóch kolejnych latach po raz
drugi wyruszyli na Troję.

**Podczas walk o Troję Odys wyróżniał się
czymś wyjątkowym?**

– Odys nie był najważniejszym bohaterem „Iliady”, nie
był też najważniejszym z „królów” w radzie Agamem-
nona (przywiódł pod Troję jedynie 12 statków). Nie prze-
szkadzało mu to jednak zostać znaczącą postacią. Uczest-
niczył np. w poselstwie do Achillesa, wraz z Diomedesem
wyprawił się nocą na przespiegi, a w końcówce „Iliady”
przekonywał Achillesa, że żołnierze muszą zjeść posiłek
przed bitwą, bo nie są dziećmi bogów jak on.

Gdybym miał wskazać jedną scenę, w której widać
Odysa w pełnej krasie, to wybrałbym 2. pieśń „Iliady”,
gdy Odys ratuje całą wyprawę i Agamemnona przed

kompromitującym powrotem do domu. Król Achajów
zwołuje zgromadzenie i deklaruje, że skoro nie idzie
im oblężenie, to czas wracać do domu. I o dziwo armia
zawraca do namiotów i zaczyna się pakować. Wszy-
scy są w konsternacji i tylko Odys zachowuje przytom-
ność umysłu. Pożyczy Zeusowe berło od Agamemnona
i rusza zawracać ludzi. Na szczęście robi to skutecznie,
bo inaczej nie byłoby pieśni o zburzeniu Ilionu, kultury
greckiej takiej, jaką znamy, ani filmu Nolana

**W tym miejscu wypada wyjaśnić szczegół, który
rozgrzewa internet: Helena jako postać czarnoskó-
ra. To historycznie możliwe czy po prostu popraw-
ność polityczna?**

– To wybór reżysera i niewiele nam do tego, ale rozu-
miałem pytanie. Paradoks polega trochę na tym, że Gre-
cy nie myśleli tak wyraźnie – nie chcą powiedzieć, że
zupełnie, bo byłoby to nieprawdą – w kategoriach raso-
wych i etnicznych jak współcześni.

Wielokrotnie i przewrotnie zwracałem już uwagę na
padające w „Odysei” określenie Odysa jako czarnoskó-
rego (gr. melanchroies), ale tam chodzi raczej o typow-
y dla mężczyzn efekt nieustannego przebywania na
słońcu. Możemy do tego dodać informacje o mieszk-
aniu Itaki o imieniu Aigyptios (tzn. Egipcjanin), a tak-
że o heroldzie Eurybatesie, o którym Homer mówi, że
ma śniadą cerę i welniste włosy. Świat, który pokazu-
je Homer, jest ciekawszy niż proste podziały etniczne,
w których żyjemy dzisiaj i które niektórzy chcą przy-
pisać Grekom i przeszłości w ogóle. Grecy myśleli bar-
dziej genealogiami, a wszyscy ludzie byli dziećmi Zeusa.

**W epoce brązu nie było psychologów, więc nikt nie
stawiał diagnoz, ale większość herosów jest narcy-
styczna. Celem ich życia są oni sami i unieśmiertel-
nienie własnego imienia. Greckie dążenie do sławy,
kleos, jest podobne. Zgodzi się pan?**

– Coś w tym jest, bo w kulturze greckiej, głęboko pesy-
mistycznej, jak twierdził Nietzsche, pogoń za kleos była
substytutem zbliżania się do danej tylko bogom nie-
śmiertelności. To trwanie wynika zaś z tego, że choć
ma nas za chwilę nie być, to inni będą o nas opowia-
dać, a zatem także słać. Zresztą podobnie jak Gre-
cy dostrzegamy w sławie „słowo”, a więc i mówienie
o kimś. Ta potrzeba wykazania się i zaistnienia nie tyl-
ko pcha Greków w przestrzeni ku temu, co za horyzon-
tem, ale także zmusza do eksperymentów społecznych
– wyrasta z tego i demokracja zapewne. Dążenie do sławy
ma też mroczne strony, bo może się przeradzać
w spory i konflikty, które są plagą świata greckiego. Nie-
przypadkowo Hezjod w „Pracach i dniach” stwierdzi,
że są dwa rodzaje sporu (gr. eris) – jeden „wojnę spro-
wadza, nieszczęście przynosi i swary”, a drugi wzbudza
rywalizację i zachęca do pracy.

**Wojna się kończy i bohaterowie wracają do domu.
Nie tylko Odys ma problemy. Dlaczego mamy do
czynienia ze smutnymi powrotami?**

– Najprościej byłoby powiedzieć, że to sami Grecy kaza-
li herosom tak zawile wracać do domu z wojny. Potrze-
bowali tych nieszczęśliwych powrotów, aby uzasad-
nić swą obecność w różnych miejscach wokół Morza
Śródziemnego. Każda opowieść o wędrowce mogła
się bowiem stać wyjaśnieniem, że wcale nie podbija-
my czyichś ziem, my wracamy śladami naszego przod-
ka. Czy Grecy rzeczywiście tak sobie te podróże koloni-
zacyjne tłumaczyli, nie wiemy. Faktem jest, że powroty
spod Troi kończą epokę heroiczną i są jakimś zerwa-
niem i zamknięciem. Zapowiadany zresztą przez
Zeusa, który zaplanował te wojny i smutne powroty,
aby ulżyć Gai. Chyba średnio mu się udało, skoro dziś
Ziemię zamieszkuje 8,3 miliarda ludzi.

**Odyseusz nie spieszył się z powrotem. Rok spędził
w ramionach Kirke, a siedem lat u Kalipso... Greckie
słowo „polytropos”, które często pojawia się przy
jego imieniu, oznacza „wielce obrotny”. To przejaw
tej „obrotności”?**

– Chcielibyśmy wiedzieć, co tyle heros robił na wyspie
Kalipso, prawda? A Homer milczy. I chyba świadom-
ie pozostawia to naszym domysłom. Zresztą czy nam
by się te spokojne lata Odysa u boku bogini podobały?
Nuda. My chcemy Odysa tragicznego. Ciekawsza
może jest za to historia z Kirke, bo tam to towarzysze
muszą mu przypominać, że czas wracać. To coś zna-
czy. Wątpię jednak, czy ówcześni odbiorcy Homera
mogli odczytywać greckie słowo „polytropos”, tłuma-
czone jako „wielce obrotny”, w kontekście powodzenia
u boskich pań. Chodziło raczej o to, że potrafił się
odnaleźć w każdej sytuacji.



➤ Nie streścimy jego podróży, ale w pana ujęciu podróż oznacza powrót od świata magicznego do tego obecnego na mapie i cywilizowanego. Dlaczego?

– Zachęcam do sięgnięcia po książkę ze względu nie na retelling podróży Odysa, ale właśnie na próbę nadania sensu opowieściom o długim powrocie. To ogólny problem opowiadania mitów dzisiaj. Lepiej lub gorzej znamy je wszyscy, ale mało kto zna kontekst kulturowy. Bez tego jednak to są „baśnie”, jak pisze Jan Parandowski. W „Odysei” nasz bohater wpada w pobliżu przylądka Malea w burzę, która 9 dni niesie go przez morze, aż ląduje w kraju Lotofagów. Potem jest już tylko ciekawiej – potwory, boginie, ludojady, giganci itd. Gdy zaś wraca, zasypia i budzi się na Itace. Homer daje zatem wyraźne sygnały, że zdarzyło się tu coś fantastycznego. Aby się dodatkowo zdystansować, wkłada tę historię w usta samego Odysa, który u Feaków chwali się swymi podróżami i opowiada tak cudnie, że ci decydują się go odwiedzić do domu. Ich statki, które same pływają i znajdują drogę, są zaś jedynym sposobem, aby Odys trafił z powrotem do świata realnego. Z tego wynika metafora wypłynięcia poza mapę.

W końcu wraca na Itakę. Pojawiają się lzy. Nie ma pan wrażenia, że bohaterowie Homera często płaczą?

– Tak. Chociaż Grecy to nasi kulturowi praojcowie, wiele nas także różni. Chyba że uznamy, iż zmiany ostatnich lat znów nas do nich zbliżają i mężczyznom wolno – ponownie – wyrażać emocje. Tak, herosi płaczą. Płacze Odyszeusz – u Kalipso, gdy tęskni za żoną i synem, u Feaków, gdy słyszy opowieść o swoich wyczynach, płacze także, gdy widzi Itakę. Płacze również Telemach, a także Menelaos, myśląc o towarzyszach. Okazywanie emocji i mówienie o nich przychodzi im zadziwiająco łatwo i może jest to także lekcja dla współczesnego odbiorcy.

Nie ma historii Odysa bez wiernie czekającej Penelopy, którą pan nazywa „Odysem w spódnicy”. Co o niej wiemy?

– Penelopa trwa w „Odysei” przez 20 lat, wierne czekając na męża. I to nas zaskakuje równie mocno co antywzorce, czyli Helena, która ucieka z kochankiem, i Klitajmestra, która doprowadza do śmierci wracającego małżonka. Ileż tu zresztą możliwości w tej historii powrotu do domu – w końcu Penelopa mogła Odysa nie rozpoznać... Ewentualnie kogoś innego błędnie uznać za wracającego męża. A ona czeka i zwodzi zalotników. „Odyseja” daje nam pewne sugestie, że mogła być jak Helena i Klitajmestra, ale kluczowe jest, że ostatecznie nie jest jak one. Gdyby się okazało, że Penelopa sypia z zalotnikami, jak później opowiadano, to powrót jej męża straciłby sens. Podobnie jak jego lzy na wyspie Kalipso i rezygnacja z nieśmiertelnego życia u boku bogini. Ta Itaka, do której wraca, to zatem także rodzina i zbiór zasad życia społecznego, których zdrada zniszczyłaby opowieść i jej sens.

Trudno nam zrozumieć sytuację, nie znając historii. Jak wyglądały zaloty w świecie starożytnych Greków?

– W większości sytuacji zalotów w ogóle nie ma, bo to rodzina aranżuje małżeństwo. Ewentualnie młody człowiek stara się o rękę dziewczyny, więc... rozmawia o tym z jej ojcem. Trzeba ustalić, czy to wiano, czy posag, a zatem to trochę transakcja ekonomiczna. Wyjątkiem są sytuacje, jak choćby w wypadku Heleny, gdy więcej niż jeden młodzieniec stara się o rękę dziewczyny. W takiej sytuacji ojciec podejmuje decyzję lub odkłada ją w czasie, podejmując wszystkich zalotników, aby sprawdzić ich siłę, umiejętności czy zamożność. Oni zaś składają dary i rywalizują o rękę dziewczyny. Znamy takie historie także z czasów historycznych. W tym wypadku kłopot polega jednak na procedurze – najlepiej, aby matka Telemacha wróciła do ojca, a ten

Wyprawa Odyszeusza

Umnowna trasa nałożona na prawdziwą mapę świata. Na podstawie analizy Petera Strucka z Uniwersytetu Pensylwanii i infografiki Symeona Netczewa



ponownie wydał ją za męża. Zalotnicy korzystają jednak z sytuacji, gdy nie wiadomo jest, czy Odys zginął, a sama Penelopa nie chce wracać do ojca.

Tylko że Odys nie usiedział długo w domu... Co wydarzyło się w momencie, w którym „Odyseja” się kończy?

– Aż chciałoby się powiedzieć, że Odys następnego dnia znów wyruszył w drogę. Jednak wytrzymał przynajmniej rok i dopiero wtedy ruszył dalej. Musiał bowiem uśmierzyć gniew Posejdona, jak nakazywała mu wyrocznia. Stąd opowieści o jego przygodach w Etolii czy Epirze. Odys miał iść z wiosłem na

ramieniu, aż okoliczni mieszkańcy uznają, że niesie mieszkadło do zboża, co miało wskazywać, że nie znajdują się na żegludze. Istniały także opowieści o wyprawie do Italii czy Etrurii.

Homer milczy o śmierci herosa, ale zachowały się kolejne mity. Jak zmarł nasz bohater?

– Przepowiednia Tejrezjasza wskazywała, że nasz bohater umrze w późnej starości w otoczeniu bliskich, śmierć nadejdzie z morza, a jego koniec będzie łagodny. Najbardziej rozpowszechniona historia pochodziła z zaginionego dziś eposu „Telegoneja”, który opisywał losy syna Odysa i Kirke. Gdy młodzieniec dorasta, matka wysłała go na poszukiwania ojca, a ten dociera na Itakę. Nie rozpoznaje jednak wyspy i ojca, a gdy dochodzi między nimi do sporu, młodzieniec uderza starca włócznią zaopatrzoną w grot z kolca płaszczki. W ten sposób wypełnia się część przepowiedni, czyli śmierć z morza (płaszczka). Istniały też inne warianty, w tym z zamianą Odyszeusza w konia.

A może starożytni mieli obsesję na punkcie Odyszeusza? Taka liczba wariantów mitu, antyczna turystyka na Itakę i żywotność opowieści? Które wersje alternatywne są pana ulubionymi? Osobiście byłem zdziwiony wersją, w której Penelopa spała z każdym z zalotników.

– Odys był postacią popularną. Przypomnę, że jeden z doradców króla hellenistycznego Egiptu nazwał swe dzieci imionami postaci z „Odysei”. To nie wyjaśnia jednak istnienia tak wielu wersji mitów i szukania coraz to nowych rozwiązań fabularnych. Nowatorstwo dotyczy zresztą nie tylko Odysa, ale i Penelopy.

Opowieściami o jej niewierności w późniejszych źródłach zaskoczeni są zresztą wszyscy czytelnicy biografii Odyszeusza. Greckie mity są bowiem bardziej skomplikowanym i ciekawszym zjawiskiem, niż nam się współcześnie wydaje. Jasne jest dzisiaj, że nie możemy sobie wybierać jednej wersji mitu i twierdzić, że tak oto opowiadali tę historię Grecy. To nieprawda. Ich obraz jest skomplikowany, niejednorodny, a podręczniki mitów upraszczają zazwyczaj mity do postaci bajek na dobranoc. Wersje alternatywne to niebawale ciekawa grupa opowieści. Niewątpliwie było ich aż tak dużo, bo każde z blisko 1200 miast greckich opowiadało mity inaczej ze względu na swoje potrzeby.

Rozmawiamy przed premierą filmu, ale na pewno pojawią się liczne zarzuty, m.in. o brak wierności historycznej. A może to niesłuszne podejście? Istotą mitów nie jest

odtworzenie – a wcześniej opowiadanie – ich na nowo?

– Mity greckie to obszerna kategoria. Opowieści o bogach nie są historyczne w ten sam sposób co opowieści o herosach. Grecy wierzyli jednak, że część tych opowieści ukazuje zdarzenia z dalekiej przeszłości. Grecy w czasach Homera nie myśleli jednak, że coś jest historyczne, a zatem prawdziwe. Trochę czasu im jeszcze zajmie odkrycie badań nad przeszłością i racjonalnych zasad ich prowadzenia. Stąd doradzam wszystkim widzom powściągliwość w sądach o historyczności tego czy innego aspektu adaptacji „Odysei”. Jednocześnie cieszy mnie niezmiernie to ogromne zainteresowanie światem Homera, bo mam wrażenie, że wiele dobrego z tego wyniknie dla wiedzy o antycznych Grekach, eposach Homera i dyskusji o mitach greckich. I oby film Nolana sprostał naszym oczekiwaniom. A wszystkim widzom polecam nowe tłumaczenie „Odysei” autorstwa Ani Maciejewskiej, które właśnie wydało wydawnictwo Homini. ●



FOT. WYDZIAŁ HISTORII UNIwersYTETU W Białymstoku

Dr hab. Tomasz Mojsik

• Historyk i filolog klasyczny zajmujący się kulturą antyczną, w tym m.in.: intelektualistami, Aleksandrią, Muzami i mitami greckimi. Tłumacz antycznego podręcznika mitologii greckiej, czyli „Biblioteki opowieści mitycznych” Apollodora (Wrocław 2019: zob. www.mitologia.uwb.edu.pl), autor książki „Odyszeusz. Biografia nieautoryzowana” (Homini 2025) i wstępu do najnowszego tłumaczenia „Odysei” Homera (Homini 2026). ●

KSIAŻKA

Tomasz Mojsik



Odyszeusz. Biografia nieautoryzowana

wyd. Homini

Jasne strony dziejów

Gdy Ukraińcy idą na skróty

W Kijowie padają pełne pychy głosy, że Ukraina gra w wyższej lidze niż Polska.
Zgoda. Polska gra w lidze europejskiej, Ukraina w wojennej, tej samej, co Rosja, Iran czy Korea Północna

Brzezicki

**ANDRZEJ
BRZEZIECKI**
– historyk,
dziennikarz,
publicysta



Gdy na Wschodzie robi się gorąco (czytaj: niebezpiecznie) tym bardziej dotkliwy jest brak mądrych ludzi, którzy potrafiliby o naszych relacjach z sąsiadami mówić rzeczowo i spokojnie. W czasie dyskusji o Wołyniu jakże brakowało spokojnego głosu Jolanty Darczewskiej – zmarłej rok temu, dokładnie 11 lipca. Dyrektorka Ośrodka Studiów Wschodnich, choć szczególnie dobrze znała się na Rosji, potrafiła przejrzeć naturę politycznych zjawisk w całym regionie. Jej ostatnią większą publikację – książkę „Zawładnąć umysłami i urządzić świat. Rosyjska strategia dywersji i dezinformacji”, wydaną przez OSW dwa lata temu, polecam każdemu, komu wydaje się, że jest odporny na zabiegi kognitywne.

25 lipca minie z kolei dziesięć lat od śmierci Jerzego Bahra, wybitnego dyplomaty, który pełnił misję m.in. na Litwie, w Rosji, w Turkmenistanie i na Ukrainie. Bahr zjadł zęby na Wschodzie (nie przypadkiem zasiadał także w Radzie OSW). Z dyplomacją związał się jeszcze w PRL, w stanie wojennym rzucił pracę i został bibliotekarzem. Poprosił w 1983 roku o azyl w Austrii, był analitykiem w Szwajcarskim Instytucie Wschodnim. Gdy Polska odzyskała suwerenność, rzucił z kolei dobrą posadę w Berlinie i wrócił nad Wisłę, gdzie warunki życia były znacznie gorsze. Ale Bahr nie poprzestał na tym, lecz ruszył dalej na Wschód. Gdy w 1992 padł pomysł, by otworzyć konsulat w Kaliningradzie, wziął się rażno za jego urządzanie. Opowiadał Jerzemu Sadeckiemu w książce „Ambasador”: „wynajmłem dwa pokoje w hotelu: w jednym mieszkałem, w drugim miałem biuro. Najpierw byłem sam, nie miałem nawet samochodu ani kierowcy, jeździłem autobusem i tramwajem, przy sobie nosiłem kasę konsulatów”. Na tyle stać było państwo, które 30 lat później weszło do gro- na G20 – warto o tym pamiętać, utyskując na naszą rzeczywistość.

Bahr, w rozmowie z Sadeckim, nie szczędził krytyki Wiktorowi Juszczence za jego gesty honorujące Bandere. Nazywał je bachorstwem i dziecinadą. Mówił, że jak się jest odpowiedzialnym za tak duży kraj jak Ukraina, to trzeba się zachowywać rozważnie. „Rodacy gotowi byli wesprzeć swego prezydenta w trudnych reformach, była też świetna atmosfera dla Ukrainy w świecie. Trzeba było tylko wiedzieć, że jest się na bardzo długiej drodze, i spokojnie kontynuować ten marsz. Nie iść na skróty czy na szaleństwo”.

Te słowa są nadal aktualne. W Kijowie padają dziś pełne pychy głosy, że Ukraina jakoby gra w wyższej lidze geopolitycznej niż Polska. Pewnie, że tak jest i bardzo dobrze. Polska gra w lidze europejskiej, Ukraina w lidze wojennej, tej samej, co Rosja, Iran czy Korea Północna. Ukraińcy znów pomylili światną atmosferę w świecie, która skutkowałą wsparciem dla nich, z realną, i niezależną tylko od wojny, pozycją ich państwa – biednego, skorumpowanego, w zapaści demograficznej. Sukcesy na froncie, odnoszone dzięki wsparciu Europy, nie skrócą jednak długiego marszu do UE. I nie jest to wina Polski.

Ukraina miała wiele lat pokoju, których nie wykorzystała.

Dlatego płynące z kolei z Warszawy okrzyki: „z Bandereą do UE nie wejdziecie”, są melodią dla ukraińskich polityków, bo dają im wymówkę. Po co walczyć z korupcją, skoro można wszystko zważyć na opór Polaków?

Jerzy Bahr ponad dekadę temu tłumaczył, że brak empatii ze strony Kijowa wywołuje wrażenie, że przeszłość dzieła nasze narody. Doskonale rozumiał tragedię ofiar zbrodni na Wołyniu. Dawał rodzinom pomordowanych prawo do krzyku, a nawet nienawiści. Mówił: „waszym prawem jest pamiętanie, krzyżowanie o tym tak długo, jak jesteście”. Ale dodawał też, że w wolnej już Polsce i w wolnej Ukrainie ludzie odpowiedzialni za przyszłość nie mogą pozwolić, aby taki rodzaj pamięci, pełnej goryczy i nienawiści, przeszedł na kolejne pokolenia. Bo taka nienawiść wyzwała mechanizmy prowadzące do kolejnych zbrodni.

Myślę, że Ambasador zgodziłby się, iż wycofywanie się teraz ze wsparcia Ukraińców to nienajlepsza forma czczenia ofiar Wołynia. Walka o przeszłość nie może prowadzić do odwrócenia się od ludzi znajdujących się pod rosyjskim ostrzałem. ●

Antypolityka historyczna

Irzykowski i kultura niemiecka

Nie wolno rozszerzać naszego sprzeciwu wobec zbrodniczych państw na całość ich kultur

Janowski

**MACIEJ
JANOWSKI**
– historyk,
zajmuje się
dziejami
Polski i Europy
w XIX w.



Karol Irzykowski zapisał w swoim dzienniku w 1940 roku, w okupowanej przez Niemców Warszawie: „A jednak byłoby mi żal, gdyby Niemcy dostali zbyt mocno w skórę i gdyby się przez to ich kultura skończyła na rzecz francuskiej i angielskiej. [...] Niemcy są w tragicznym położeniu, nie mogąc wobec siły Anglii użyć tego miejsca pod słońcem, jakie im się należy. [...] Ich winą jest, że pozwolili zwymrodzić swojej idei, pozwolili jej przybrać formy ekspansywne, zaborcze, wreszcie wymienili ją na starą ideę bismarckowską i krzyżacką”. Henryk Markiewicz, z którego mądrej książki „Czytanie Irzykowskiego” wziąłem ten cytat, komentuje: „mało kto z polskich intelektualistów napisałby w tych czasach” takie słowa.

Niesłusznie Irzykowski winił Anglię o zablokowanie Niemcom „miejsca pod

słońcem” (jest to zresztą cytat z mowy wygłoszonej w Reichstagu w 1897 roku przez Bernharda von Bülowa, późniejszego kanclerza Rzeszy). Mylił się, uważając hitleryzm za „starą ideę bismarckowską i krzyżacką”, nie dostrzegając w nim czegoś nowego i o wiele bardziej zbrodniczego. W 1940 roku nie wszystko wiedział o zbrodniach hitleryzmu, i nie jest jasne czy w 1944 roku, zanim sam zginął jako jedna z dziesiątków tysięcy cywilnych ofiar Powstania Warszawskiego, byłby powtórzył te swoje słowa. Jednak istotne jest coś innego.

Tego nie pisze polski prawicowy radykał, antysemita czy faszysta. To pisze jeden z czołowych polskich liberałów, wróg autorytaryzmu i totalitaryzmu, człowiek uważany za wcielenie ideału klerka – intelektualisty, dla którego uczciwość myślenia jest wartością najwyższą. I zarazem pisze to człowiek przez całe życie oczarowany kulturą niemiecką. Sławny był atak Irzykowskiego na Boya-Żeleńskiego, dla wielu zdumiewający, bo liberał Irzykowski zaatakował ikonę liberalnej inteligencji polskiej. Było w tym ataku wiele demagogii i osobistej zawiści, ale było też coś więcej: konflikt między frankofilem Boyem, wielbicielem lekkości, dowcipu i wdzięku, a ciężko i niezgrabnie piszącym Irzykow-

skim, który sądził, że myśl francuska jest powierzchowna, że Boy, prowadząc swe skądinąd słuszną kampanie obyczajowe nie zauważa tragizmu egzystencji. Myśl niemiecka, nudna i pedantyczna, była dla Irzykowskiego uczciwsza, bo zmierzała się z tymi głębokimi i tragicznymi problemami, których myśl francuska starała się nie dostrzegać. To jest intelektualny kontekst zapiski z 1940 roku.

W tej zapisce – naiwnej, trochę irytującej przez swój elitaryzm – jest coś niezwykle imponującego. Szlachetność jakby z poprzedniej epoki, kiedy wojna – choćby na śmierć i życie z najbardziej wrogim – nie unieważniała dokonań tego wroga w sferze, która jest wyższa i ostatecznie ważniejsza niż wszelkie ludzkie konflikty.

Tak często wzywa się dziś do bojkotu kultury rosyjskiej czy izraelskiej, czy każdej tworzonej w państwie, rządzonej przez zbrodniarzy. Wiem, jak ryzykowne moralnie jest wyrażanie tu wątpliwości. Całym sercem stoję dziś po stronie ukraińskiej. I z powodów patriotycznych (bo niepodległa Ukraina jest warunkiem naszej niepodległości), i moralnych (bo Ukraina jest dziś w stanie usprawiedliwionej obrony koniecznej) i wreszcie z powodów historycznych – bo każdy sukces Ukrainy jest załamaniem kilku-

setletniej ekspansji Rosji na Zachód, a więc w jakimś sensie tryumfem idei dawnej Rzeczypospolitej. A mimo to – nie wolno rozszerzać naszego sprzeciwu wobec zbrodniczych państw na całość ich kultur narodowych. Zubożymy ostatecznie w ten sposób samych siebie; a co gorsza, przejmujemy nacjonalistyczny obraz świata, w którym narody skazane są na role takie same od stuleci: Rosjanie są urodzonymi niewolnikami, Ukraińcy są okrutni, Niemcy już nie wiem jacy, a wszyscy – antypolscy. To jest nieprawda. Wielkie twory kultury przypominają o czymś, co nacjonalistyczni wszystkich narodów chcieliby nam wymazać z pamięci – że wszyscy uczestniczymy w tym samym świecie idei, marzeń, uczuć, rozpoznajemy sami siebie w wybitnych dziełach Rosjan, Ukraińców, Niemców... Więcej nas łączy, niż dzieli. Żaden Putin nie pozbawi mnie Okudźawy, Wysokiego, Bułhakowa, Strugackich, Turgieniewa, czy paru genialnych rosyjskich filmów.

Nie stoimy – na razie – w sytuacji tak tragicznej jak Irzykowski w 1940 roku. Nie wiem, czy gdyby rosyjskie dro-ny bombardowały Warszawę, miałbym odwagę i siłę charakteru, aby napisać ten felieton. Więc na wszelki wypadek piszę go już teraz. ●

UPADEK ZBRODNIARZA ARTHURA NEBEGO

Szef Gestapo nie wierzył, że tak ideowy narodowy socjalista, człowiek bezgranicznie oddany sprawie, mógł zdradzić Führera.

Bartosz T. Wieliński

Gdzie jest Arthur Nebe? – zastanawiał się Heinrich Müller, szef Gestapo, owianej złą sławą policji politycznej III Rzeszy. Nebe stał na czele Reichskriminalpolizei, czyli policji kryminalnej, zwanej w skrócie Kripo. Podlegało mu 35 tys. funkcjonariuszy rozsianych po całej okupowanej Europie, których zadaniem było ściganie wszelkich wrogów III Rzeszy. Nebe, gorliwy nazista, był – obok Müllera – jednym z najważniejszych trybów w maszynie terroru. Znajdował się też na szczycie hierarchii SS, kierowanego przez Heinricha Himmlera nazistowskiego zakonu, który w III Rzeszy praktycznie stworzył własne państwo. Nosił stopień gruppenführera, odpowiednika generała porucznika w armii, który w SS osiągnęło tylko 95 osób.

Teraz Nebe zapadł się pod ziemię. Od kilku dni nie było go w biurze ani w domu, nie znaleziono go u kochanek, nie przysłał zwolnienia. Nie pojawił się nawet u szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) Ernsta Kaltenbrunnera na cotygodniowym obiedzie, który jednocześnie był odprawą z kluczowymi współpracownikami. Bezradni współpracownicy Nebego zwrócili się o pomoc do Gestapo.

Był 28 lipca 1944 r., Müller miał pełne ręce roboty. Pod kwaterę główną Gestapo przy Prinzregentenstraße 9 w śródmieściu Berlina regularnie podjeżdżały czarne Ople i Citroeny. Skutych ludzi prowadzono z samochodów do cel w piwnicach gmachu. Przeglądano ich z zastosowaniem „zaostrzonych metod”, bijąc, pozbawiając snu i jedzenia. Ofiarami byli nazistowscy promienicy: oficerowie, dyplomaci, wysocy rangą urzędnicy państwowi, członkowie arystokratycznych rodzin. Ich dotychczasowe zasługi czy społeczny status w podziemiach gmachu przy Prinzregentenstraße przestawał mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Trwało największe w jedenastoletniej historii Gestapo śledztwo. Licząca ponad 400 funkcjonariuszy Specjalna Grupa Śledcza „20 lipca” przeczesywała Berlin i całą Rzeszę w poszukiwaniu uczestników spisku na życie Adolfa Hitlera.

OPERACJA „WALKIRIA”

Główni sprawcy byli od kilku dni martwi. Pułkownik Claus von Stauffenberg, który 20 lipca 1944 podłożył bombę w Wilczym Szańcu, kwaterze Hitlera pod Kętrzyńnem w Prusach Wschodnich, został rozstrzelany jeszcze tego samego dnia.

Bomba ukryta w niesionej przez Stauffenberga teczce o godz. 12.42 eksplodowała w baraku, w którym Hitler w otoczeniu współpracowników omawiał sytuację na froncie wschodnim. Stauffenberg użył ważkiej niespełna kilogram kostki brytyjskiego plastiku przechwyconego przez Abwehrę ze zrzutów dla ruchu oporu w okupowanej Europie. Teczkę z bombą niepostrzeżenie umieścił pod wielkim dębowym stołem, na którym rozłożono sztabowe mapy. Gdyby zgodnie z planem włożył dwie kostki materiału wybuchowego albo gdyby tuż przed wybuchem jeden z generałów nie przesunął teczeki dalej od miejsca, które zajmował Hitler, dyktator by zginął. Nie przeżyłby też, gdyby narada odbywała się – jak zwykle – w żelbetowym bunkrze. Lato było jednak niezwykle upalne, Hitler wraz ze sztabem przenieśli się do baru, a podczas narady otwarto w nim okna, przez które rozeszła się energia eksplozji. Gros siły wybuchu wziął na siebie masywny stół konferencyjny.

Hitler z zamachu wyszedł z lekkimi poparzeniami, poranionymi nogami i pękniętymi bębenkami w uszach. Uważał ocalenie za znak Opatrzności.

Stauffenberg kilka minut przed eksplozją wyszedł z baru pod pretekstem odebrania pilnego telefonu. Z Wilczego Szańca pojechał na pobliskie lotnisko, skąd ruszył w drogę do Berlina. W stolicy Rzeszy spiskowcy rozpoczęli realizację operacji „Walkiria” przewidzianej na wypadek buntu robotników przymusowych. Plan zakładał bezlitosną pacyfikację rebelii przy użyciu oddziałów błyskawicznie sformowanych ze zmobilizowanych rezerwistów i rekrutów przechodzących szkolenie. I co ważniejsze, armia, realizując „Walkirię”, miała przejąć władzę nad krajem z rąk gauleiterów NSDAP. 20 lipca, po zabiciu Hitlera, dowódcy SS, których zamierzono obarczyć winą za śmierć Führera, oraz nazistowscy bonzowie mieli zostać aresztowani. Spiskowcy po przejęciu władzy zamierzali rozpocząć negocjacje z Wielką Brytanią i USA o przerwaniu walki na froncie zachodnim.

ODJECHAŁ W NIEZNANYM KIERUNKU

Plan się zawalił, gdy okazało się, że Hitler przeżył. W nocy z 20 na 21 lipca bunt został stłumiony przez wierne mu oddziały Wehrmachtu i SS. Stauffenberg i kilku innych wojskowych zostało rozstrzelanych. Radio nadało sześciominutowe orędzie Hitlera, w którym odpowiedzialność za zamach zrzucił na „małą grupę ambitnych, pozbawionych skrupułów, a jednocześnie nierozsądnych i kryminalnie głupich oficerów”. Ale było jasne, że nocna egzekucja nie zamyka sprawy. Müller dostał polecenie wykrycia wszystkich uczestników spisku.

Początkowo nie łączył Nebego z zamachem. – Dobrze go znam, jest bezgranicznie oddany Führerowi – zbywał nasuwające się podejrzenia. Przypuszczał, że szef Kripo z powodu najpoważniejszego kryzysu, z jakim musiała się uporać III Rzesza, doznał załamania nerwowego. A może nawet targnął się na życie. Nebe uskarżał się na problemy zdrowotne, jego psychika była rozchwiana, mówił o samobójstwie. Pojawiły się jednak niepokojące zbiegi okoliczności.

Dwa dni po zamachu Nebe zażądał podstawienia służbowego Mercedesa, którym odjechał w nieznanym kierunku. A w jego mieszkaniu znaleziono w szafie mundury lekarza Wehrmachtu. Czyżby zamierzał się ukrywać? Niepokoje Müllera wzrosły, gdy nadeszła informacja, że nad jednym z jezior 70 km na północ od Berlina odnaleziono służbowy samochód Nebego. Na fotelu leżały płaszczyk i czapka SS, służbowy Walther PPK i walizka wypełniona deficytową kawą i czekoladą. Wszystko wskazywało na to, że szef Kripo faktycznie postanowił się zabić. Tyle że Gestapo znalazło świadków, którzy widzieli, jak po cywilnemu idzie w stronę pobliskiego dworca kolejowego.

Niewinny człowiek nie pozorowałby samobójstwa, związek Nebego z zamachem na Hitlera stał się oczywisty. Himmler kazał dopaść szefa policji kryminalnej żywego lub martwego. Rozpoczęło się wielkie polowanie

30 ODCINKÓW O „PATRIOCIE”

Pod koniec września 1949 r. w tygodniku „Der Spiegel” ukazała się pierwsza część biograficznego cyklu pt. „Arthur Nebe – gra skończona. Blaski i cienie niemieckiej policji kryminalnej”. Autor Bernhard Wehner, dawny sturmbahnführer SS i kluczowa postać w Kripo, z rozmachem opisywał koleje życia swego przełożonego. Wehner na zlecenie Nebego prowadził najważniejsze śledztwa. We wrześniu 1939 r. zajmował się sprawą rzekomych



mordów na Niemcach w Bydgoszczy, które stały się pretekstem do krwawych represji na Polakach. Prowadził śledztwa przeciwko greckim partyzantom na Krecie i w sprawie śmierci Reinharda Heydricha, szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy i zastępcy protektora Czech i Moraw. Heydrich zmarł w czerwcu 1942 r. w wyniku ran odniesionych w zamachu przeprowadzonym przez zrzucanych z Wielkiej Brytanii czechosłowackich komandosów.

Wehner był też wśród śledczych, którzy rekonstruowali wydarzenia w Wilczym Szańcu, a potem wokół Berlina szukał Nebego. Po wojnie zetknął się z naczelnym „Der Spiegla” Rudolfem Augsteinem i zaczął dla niego pracować. Cykl o Nebem ukazywał się przez 30 tygodni, do dziś, jeśli chodzi o publikacje w odcinakach, jest to w niemieckich mediach niepobity rekord.

Szef Kripo został w nim przedstawiony jako genialny śledczy, który przez polityczne okoliczności został zmuszony do wstąpienia do SS. Był patriotą, który w głębi duszy nienawidził Hitlera i Himmlera, a w końcu stał się ofiarą, wręcz męczennikiem. W odcinku poświęconym zamachowi czytamy, że Nebe zamierzał wesprzeć spiskowców oddziałem Kripo, który wraz z wojskiem miał wkroczyć do najważniejszych urzędów w Berlinie i aresztować ministrów. Himmlera zamierzał osobiście aresztować i następnie zabić.

„SPIEGEL” ROZGRZESZA NIEMCÓW

W dopiero co utworzonej Republice Federalnej zamachowców z 20 lipca nie otaczano czcią. Wręcz przeciwnie, Stauffenberga i jego współpracowników uważano za zdrajców,



a tych, którzy tłumili bunt, za wiernych wojskowej przysiędze bohaterów. Mimo upadku III Rzeszy nazistowska propaganda wciąż oddziaływała na ludzi. Hitler pozostawał najbardziej popularnym politykiem, a narodowy socjalizm dobrym systemem politycznym, który jednak źle wprowadzano w życie.

Augstein, publikując serial o Nebem, nie zamierzał zaczynać debaty o bohaterach ruchu oporu, chciał raczej rozgrzeszyć samych Niemców. Postawa Nebego miała być typowa dla setek tysięcy obywateli: oddany krajowi fachowiec, który nie miał wyjścia. Musiał służyć zbrodniarzom i poniósł tego konsekwencje. Najprawdopodobniej opowieść o losach szefa Kripo wyszła spod pióra samego Augsteina. Naczelny „Spiegla” w jednym ze wstępniaków do cyklu wzywał, by władze RFN nie rezygnowały z dobrych urzędników i funkcjonariuszy tylko dlatego, że doświadczenie zdobywali w III Rzeszy. W redakcji tygodnika pracowało wówczas zresztą kilkunastu funkcjonariuszy SS. Jeden z nich był ważnym komentatorem politycznym. Nikogo to nie bulwersowało, skoro Hans Globcke, urzędnik nazistowskiego MSW, współautor komentarza do wykluczających Żydów z życia publicznego ustaw norymberskich, był prawą ręką powojennego kanclerza Konrada Adenauera.

ZAPUNKTOWAĆ U FÜHRERA

Arthur Nebe Hitlera znał osobiście. 14 listopada 1939 r. oprowadzał go po zdemolowanym wnętrzu piwiarni Bürgerbraukeller w Monachium. Dla Hitlera to święte miejsce. W nocy z 8 na 9 listopada 1923 r. rozpoczął tam monachijski pucz, desperacką i zakończoną tragicznie próbę obalenia Republiki Weimar-

skiej. Hitler poszedł na rok do więzienia, jego 16 zwolenników zginęło od kul policjantów, którzy stanęli im na drodze.

Po przejęciu przez NSDAP władzy rocznicę tego wydarzenia obchodzono jak państwowe święto, którego ukoronowaniem było przemówienie Hitlera do zgromadzonej w piwiarni partyjnej elity. 8 listopada 1939 r. dyktator śpieszył się do Berlina i wystąpienie musiał skrócić. To uratowało mu życie. O godz. 21.20, równo 13 minut po odejście Hitlera na dworzec, w znajdującym się za mównicą filarze eksplodowała bomba. Wybuch zabił osiem osób, 60 zostało rannych.

Na szefa specjalnej grupy śledczej powołano nie szefa Gestapo Müllera, tylko Nebego. Himmler i Heydrich uznali, że kulisy zamachu, o który organizację dwa miesiące po wybuchu wojny podejrzewano Brytyjczyków, wyjaśni tylko doświadczony śledczy. Müller i Nebe przed przejęciem władzy przez NSDAP służyli w policji. Müller zajmował się komunistami, rozpracowywał ich nielegalne struktury i kanały komunikacji. Mieli szukać elementów, odtworzyć mechanizm i go zidentyfikować. Po zaledwie dobie Nebe nie tylko znalazł już nazwę zegarka, ale też wiedział, jak i z czego skonstruowano bombę oraz gdzie ją umieszczono. W końcu stanął przed człowie-

Jego pracownicy znali się na robocie. Gdy, przesiewając gruz na miejscu wybuchu, natrafili na resztki mechanizmów zegarka, który był częścią detonatora, do piwiarni ściągnięto kilkudziesięciu czeladników zegarmistrzowskich. Mieli szukać elementów, odtworzyć mechanizm i go zidentyfikować. Po zaledwie dobie Nebe nie tylko znalazł już nazwę zegarka, ale też wiedział, jak i z czego skonstruowano bombę oraz gdzie ją umieszczono. W końcu stanął przed człowie-

• **Gruppenführer SS Arthur Nebe (1894-1945) w swoim gabinecie. Był szefem policji kryminalnej III Rzeszy, zwanej Kripo, gorliwym nazistą i zbrodniarzem wojennym**

FOT. ULLSTEIN BILD VIA GETTY IMAGES

kiem, którego w dniu zamachu zatrzymano podczas próby nielegalnego przekroczenia granicy niemiecko-szwajcarskiej. Miał przy sobie pocztówkę z Bürgerbraukeller oraz zdjęcia tego samego typu zegarka, jaki zastosowano w bombie. Gdy Nebe kazał mu podnieść nogawki, zobaczył spuchnięte kolana. Wszystko stało się jasne. By umieścić bombę w filarze, trzeba było wykuć w nim odpowiednio dużą dziurę, co wymagało długotrwałej pracy na kolanach. Aresztowany po konfrontacji z Nebem przyznał się do podłożenia bomby. Nazywał się Georg Elser, był cieślą, nienawidził Hitlera, zamach przygotowywał ponad dwa miesiące.

Dalsze śledztwo przejął Gestapo, a Nebe w nagrodę zreferował ustalenia samemu Hitlerowi. Dyktator chciał znać najdrobniejsze szczegóły, szef policji kryminalnej, stojąc na drabinie, wskazywał zniszczone wybuchem elementy konstrukcji, objaśniając, w jaki sposób Elser chciał go zgładzić. – Gdyby wszyscy byli tak rzeczowi jak Führer, to by nam wszystkim było lepiej – notował później Nebe, nie kryjąc satysfakcji.

ODDANY FUNKCJONARIUSZ

Nebe do NSDAP wstąpił w 1931 r. Był wyróżniającym się komisarzem berlińskiej policji, autorem cenionych publikacji w czasopiśmie kryminalistycznych. Zajmował się m.in. przyczynami uzależnień, kilka lat kie-

rował też wydziałem ds. narkotyków. Politycznie wcześniej się nie angażował, choć weimarskim porządkiem gardził, a po wojnie, z której wrócił jako porucznik z Krzyżem Żelaznym pierwszej klasy, walczył w szeregach Freikorpsu z Polakami na Górnym Śląsku. Hitler go uwiódł tak jak i setki tysięcy innych weteranów, którzy po wojnie, choć byli bohaterami, nie mogli znaleźć sobie w Niemczech miejsca. Obiecywał stabilność, dobrobyt i rozprawę z komunistami. W przypadku Nebego fascynacją była tak silna, że jeszcze przed przejściem przez Hitlera władzy potajemnie przekazywał funkcjonariuszom NSDAP tajemnice ze śledztw. Nowy reżim takie oddanie nagradzał.

Nebe jak i wielu jego kolegów liczył, że dojsie Hitlera do władzy i zerwanie z humanitarną polityką kryminalną da im więcej narzędzi do walki z przestępczością, zwłaszcza zorganizowaną. Koniec państwa prawa w Niemczech oznaczał, że funkcjonariusze policji mogli w śledztwie katować zatrzymanych, mogli przewencyjnie aresztować ludzi bez uzasadnienia. A mimo to przestępczości w Niemczech do końca wojny nie wyrugowano. Tym bardziej że policja kryminalna dostała nowe zadania, które Nebe skrupulatnie realizował. Na cel wzięła homoseksualistów, gdy obowiązujące w Republice Weimarskiej przepisy zabraniające pod karą więzienia seksu między mężczyznami dodatkowo zaostrzono. Kilkanaście tysięcy osób zesłano do obozów koncentracyjnych. Dodatkowo śledczym polecono zwalczać bumelantów i tzw. element aspołeczny. Tylko podczas akcji aresztowań ludzi z marginesu w czerwcu 1938 r. wysłano do obozów koncentracyjnych ok. 10 tys. osób.

Funkcjonariusze Kripo brali też udział w prześladowaniach Żydów i akcji wypalowania żyjących w Niemczech Romów i Sinti, których również zsyłano do obozów. Rozgrywający się w KL Auschwitz-Birkenau równolegle z Holocaustem Porajmos – zagłada Romów i Sinti – pochłonął nawet pół miliona ludzi. Po wybuchu wojny Kripo w okupowanej Europie polowała na członków ruchu oporu, a w Niemczech na pracowników przymusowych, którzy próbowali uciekać.

INNOWATOR MORDOWANIA

Nebe w historii ludobójstwa III Rzeszy zapisał własny rozdział. To na jego zlecenie główny chemik Kripo Albert Widmann badał, w jaki sposób szybko i bez ceregieli uśmiercać pacjentów szpitali psychiatrycznych uznanych za „niewartych życia”. Lekarze proponowali zastrzyki z trucizną. Widmann przekonywał, że najskuteczniej zabija tlenek węgla. Dowiódł tego zimą 1940 w nieczynnym więzieniu w Brandenburgu podczas morderczej prezentacji: zamknięte w komorze gazowej ofiary po prostu zasypiały. W sumie zamordowano 70 tys. pacjentów szpitali psychiatrycznych.

Półtora roku później Nebe i Widmann przeprowadzili kolejną serię makabrycznych eksperymentów. W bunkrach pod zajęętym przez Wehrmacht Mińskiem szukali sposobu uśmiercania dużych grup ludzi. Zadanie zlecił im sam Himmler, który był świadkiem egzekucji cywilów w Mińsku, podczas której trzeba było dobijać kobiety. Wstrząśnięty domagał się opracowania lepszej metody zabijania niż rozstrzelanie. Ofiarami próby Nebego i Widmanna znowu padli chorzy pozostawieni przez wycofujących się Sowietów w szpitalach psychiatrycznych. Gdy okazało się, że detonowanie w żelbetowych bunkrach materiałów wybuchowych jest nieefektywne, Widmann zaproponował, by ludzi uśmiercić w komorze gazowej spalinią z ciężarówkami. Gdy podczas koszarnej próby okazało się, że silnik jednego samochodu produkuje zbyt mało gazów, Nebe osobiście podłączył do komory gazowej wąż przyczepiony do rury wydechowej innej maszyny.



☞ Niemcy w ten sposób zabijali w obozach zagłady, zanim wprowadzono do użycia cyklon B.

NADGORLIWY ZBRODNIARZ

– Kto z was jest gotowy objąć dowodzenie?
– zapytał szef RSHA Heydrich na odprawie z szefami podległych mu służb.

– Herr Gruppenführer, może pan na mnie liczyć – odpowiedział Nebe. Wstał jako jedyny. Koledzy z RSHA jego gorliwość tłumaczyli tym, że weteran I wojny światowej stęsknił się za frontowym życiem.

Była wiosna 1941 r., III Rzesza szykowała się do ataku na ZSRR, aparat bezpieczeństwa miał zabezpieczać tyły. Licząc 2 tys. km linię przyszłego frontu, rozciągającą się od Bałtyku po Morze Czarne, Niemcy podzielili na cztery odcinki. Na każdy przydzielono jedną Einsatzgruppe, czyli grupę operacyjną. Pod tą niewiele mówiącą nazwą krył się oddział, w skład którego wchodził funkcjonariusze Gestapo, Kripo, SD czy żołnierze Waffen SS. Mieli – podobnie jak podczas napaści na Polskę – mordować na miejscu członków lokalnych elit, terroryzować cywili, tłumić wszelkie próby tworzenia partyzantki. Einsatzgruppen miały też zabijać Żydów bez względu na płeć i wiek.

Nebe – tak twierdzą jego powojenni apologety – ruszył na front wschodni, ponieważ prosili go o to wojskowi tworzący rdzeń antyhitlerowskiej opozycji. Liczyli na współpracę. Nebe wybrał Einsatzgruppe B, która miała operować na południowej Litwie, Białorusi i w zachodniej Rosji. W jej składzie działało Vorkommando Moskau, oddział esesmanów, który miał wkroczyć do stolicy ZSRR razem z pierwszymi oddziałami Wehrmachtu i aresztować, a następnie zgładzić komunistyczną elitę.

W Moskwie Nebe miał być panem życia i śmierci. Jego sztab latem 1941 r. podążał za frontem: z Wilna przeniósł się do Mińska, a później do Smoleńska. W przesyłanych do Berlina raportach widać ogrom jego zbrodniczej działalności, w ciągu pierwszych pięciu miesięcy wojny z ZSRR Einsatzgruppen B zamordowała 45 tys. ludzi. Z powojennych zeznań dowódców Einsatzgruppen wynika jednak, że w raportach Nebe wpisywał dane z sufitu. Z kolei współpracujący z nim wojskowi twierdzili, że ograniczał represję na cywilach do minimum i wręcz sabotował zbrodnicze polecenia Berlina. Nie dotyczyło to jednak Żydów, których kazał dowódcom zabijać od razu. – Gdzie jest Żyd, tam jest partyzant, gdzie jest partyzant, tam jest Żyd – tłumaczył. 21 lipca 1941 r. meldował, że w Mińsku „żydowska inteligencja” została wymordowana.

GDY UPADEK BLISKI

W Smoleńsku swoją kwaterę miało dowództwo Grupy Armii Środek, na której czele stał wówczas feldmarszałek Fedor von Bock. Sam, choć jako pruski arystokrata gardził Hitlerem, nie chciał słyszeć o udziale w spisku przeciwko Führerowi. Ale oficerowie z jego otoczenia konspirowali coraz odważniej. Wśród nich generał Henning von Trescow służący w sztabie grupy armii, który z racji stanowiska utrzymywał z Nebem bliskie relacje. Na jesieni 1941 r. Nebe wrócił do Berlina wtajemniczony w działania opozycji w Wehrmachcie. Himmler i Heydrich w podziękowaniu za służbę awansowali go do stopnia gruppenführera, przyznali medale, dopuścili do kręgu najbardziej zaufanych. O spiskowcach, z którymi dalej utrzymywał kontakty, Nebe milczał.

Jednocześnie potwornie się bał. Przed konspiracyjnymi spotkaniami przez kwadrans obserwował okolicę, samochód parkował kilka przecznic dalej. Z Carlem Friedrichem Goerdelerem, jedną z kluczowych postaci



• Reichsführer SS Heinrich Himmler (w środku) podczas odprawy z najbliższymi współpracownikami. Na lewo od niego szef Kripo Arthur Nebe i wysoki funkcjonariusz Gestapo Franz Josef Huber, na prawo, Reinhard Heydrich, szef służby bezpieczeństwa oraz Heinrich Müller, szef Gestapo

FOT. ULLSTEIN BILD VIA GETTY IMAGES

*W powodzenie „Walkirii”
Nebe nie wierzył od początku.
Uważał, że plan przejęcia
władzy jest dyletancki.
Wątpił też, że podłożona
przez Stauffenberga bomba
zabije Hitlera*

w antyhitlerowskim spisku, nigdy nie zgodził się zetknąć. Gdy Goerdeler niespodziewanie zjawił się w mieszkaniu jednego ze spiskowców, Nebe uciekł przez okno. Od powrotu z frontu wschodniego jego psychika była w złym stanie. Brutalna codzienność wojny, niekończące się egzekucje cywilów odbiły na niej swoje piętno.

Nebe miał też świadomość, że sytuacja III Rzeszy dramatycznie się pogarsza. Jego następcą na czele Einsatzgruppen B nie wkroczył do Moskwy. W grudniu 1941 r. Wehrmacht wycofał się spod sowieckiej stolicy, w lutym 1943 resztki 6. Armii poddały się pod Stalingradem, kilka miesięcy później alianci rozbili Afrika Korps i wyładowali we Włoszech.

Nebe raczej nie przeszedł nawrócenia i nie uznał narodowego socjalizmu za zło, lecz widział, co się dzieje, i kalkulował. Skoro Hitler szedł na dno, należało go porzucić.

SPISKOWCY W POTRZASKU

W powodzenie „Walkirii” Nebe nie wierzył od początku. Uważał, że plan przejęcia władzy jest dyletancki. Wątpił też, że podłożona przez Stauffenberga bomba zabije Hitlera. Z jego

frontowych doświadczeń wynikało, że można przetrwać wybuch nawet sporego ładunku. Ostatecznie kazał postawić grupę doświadczonych funkcjonariuszy w stan gotowości. Mieli czekać na przesłane przez Nebego hasło „Preßburg” i wyruszyć wraz z wojskowymi, by aresztować ministrów i dowódców SS.

Po południu 20 lipca Nebe siedział w swoim biurze. Hasła „Preßburg” nie wydał, być może dlatego, że zdał sobie sprawę, że Hitler przeżył zamach. Polecono mu w trybie pilnym wysłać śledczych do Wilczego Szanca. Gdyby Hitler zginął, jego kwatera w Prusach Wschodnich byłaby odcięta od świata, poza tym nie byłoby komu wydawać rozkazów. Nebe zachowywał się jakby nigdy nic. Został w centrali policji kryminalnej, brał udział w naradach z Müllerem, mając świadomość, że prędzej czy później Gestapo wpadnie na jego trop. Po kilku dniach wraz z trojgiem uczestników spisku wsiadł do służbowego Mercedesa. Nie był jednak w stanie prowadzić auta. Ucieczka do neutralnej Szwajcarii nie wchodziła w grę. Nebe nie miał podrobionych dokumentów, nie zadbał też o potrzebną na tak daleką podróż mundur. Nie miał nawet cywilnego ubrania, mundur lekarza wojskowego zostawił w domu. Uciekinierzy kręcili się w okolicach Berlina. Nebe wykorzystywał całą policyjną wiedzę, by zmylić Gestapo.

Müller rzucił do poszukiwania wielkie siły. Lasy wokół jeziora, gdzie znaleziono samochód Nebego, przeszukiwało ponad tysiąc uczniów szkoły policyjnej i 50 psów tropiących SS. Bezskutecznie. Nebe bez podania stopnia i stanowiska został wpisany na listę ściganych. W prasie opublikowano informację o zaginionym urzędniku ministerialnym, dyrektorze Nebe, który mógł paść ofiarą przestępstwa. Za pomoc wyznaczono 50 tys. reichsmarek nagrody. Na opublikowanej fotografii Nebe ma na sobie cywilne ubranie, a nie mundur SS. Eksperci Gestapo, chcąc ukryć jego prawdziwą funkcję, użyli fotomontażu.

NA STRUNIE OD FORTEPIANU

W sierpniu jeden z bliskich współpracowników Nebego w policji dostał od niego list pożegnalny, w którym sugerował, że wskoczy do jeziora Wannsee i zdetonuje granat. Kilku set policjantów przeczesало akwen, ale ciała Nebego, martwych ryb czy śladu podwodnej eksplozji nie znaleziono.

Nebe wpadł dopiero 19 stycznia 1945 r., gdy funkcjonariusze wpadli do mieszkania, w którym się ukrywał. Nie próbował sięgać po broń, od razu oddał też ampulkę z cyjankiem. W śledztwie prosił Himmlera, by skierował go na front. Składał szczegółowe zeznania. Łaski ze strony przywódcy SS się nie doczekał.

3 marca 1945 r. wprowadzono go do baru na dziedzińcu więzienia Plötzensee, w którym u sufitu zamontowano stalową belkę. To miejsce straceń spiskowców skazywanych na śmierć przez przewodniczącego Trybunału Ludowego Rolanda Freislera. Katowscy pomocnicy zerwali z Nebego koszulę, a następnie unieśli go w powietrze, tak by stojący na drabinie kat mógł zaciążyć mu na szyję przywiązany do belki cienutki stryczek wykonany ze struny od fortepianu. Ta metoda egzekucji oznaczała powolne duszenie się skazańca. Gdy Nebe konał, zerwano mu spodnie. Hitler rozkazał bowiem, by spiskowcy wisieli jak bydło w rzeźni.

Nebe był jednym z 5 tys. ofiar represji po zamachu z 20 lipca. Mimo starań Augsteina jego nazwisko nie przebiło się wśród Niemców. Gdy w drugiej połowie lat 50. rozpoczęła się rehabilitacja Stauffenberga i innych członków antyhitlerowskiej opozycji, którzy ostatecznie stali się niejako męczennikami demokratycznych Niemiec, Nebego pominięto. Żaden z wojskowych zaangażowanych w zamach nie był kryształową postacią, Nebe nosił zaś mundur SS i dopuścił się wyjątkowo potwornych zbrodni. ●

ZAPRASZAMY NA OLIMP



W sprzedaży

116
stron

KUP TERAZ



Do kupienia w punktach sprzedaży prasy oraz na sklep.polityka.pl,
gdzie dostępne jest także **wydanie audio**.

Podkast POLITYKA o historii – polityka.pl/podkasty
Newsletter historyczny – polityka.pl/newslettery

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

weekendówka

ODROBINA
LUKSUSU

Marian, tu jest jakby luksusowo – rzuca Barbara Wolańska (Ewa Kaspzyk) do małżonka, docenta Wolańskiego (wspaniały Zdzisław Wardejn), kiedy przyjeżdżają do domu Kasi i Pawła Zawadów (Grażyna Błęcka-Kolska i Dariusz Siatkowski) w filmie „Galimatias, czyli kogel-mogel II”. Małżeństwo chce namówić Kasię, by podczas ich nieobecności – wyjeżdżają na miesiąc za granicę – zaopiekowała się ich synem Piotrusiem. Barbara konstatuje jednak, że wobec wystawnego domostwa ich dawnej gospośi plan może spalić na panewce.

Ostatecznie się jednak jakoś uda, piekielny Piotruś wraz z babcią przybędą na wieś, choć ostatecznie wyładują w Grabowie, u rodziców Kasi.

Ale my nie o tym. Idzie o to, że dziś, 18 lipca, przypada Światowy Dzień Kawioru – czyli solonej ikry ryb jesiotrowatych, dlatego zapraszamy na „Weekendówkę” luksusową. Bo kawior od lat uchodzi za symbol luksusu właśnie. Ten najdroższy, Almas Caviar, zwany diamentowym (almas to po persku diament), ceni się szczególnie: kilogram takiego produktu może kosztować nawet 30 tysięcy euro. Dlaczego aż tyle? Otóż produkuje się go w niewielkich ilościach, pochodzi z niezwykle rzadkiego jesiotra białego no i ma niesamowity kolor.

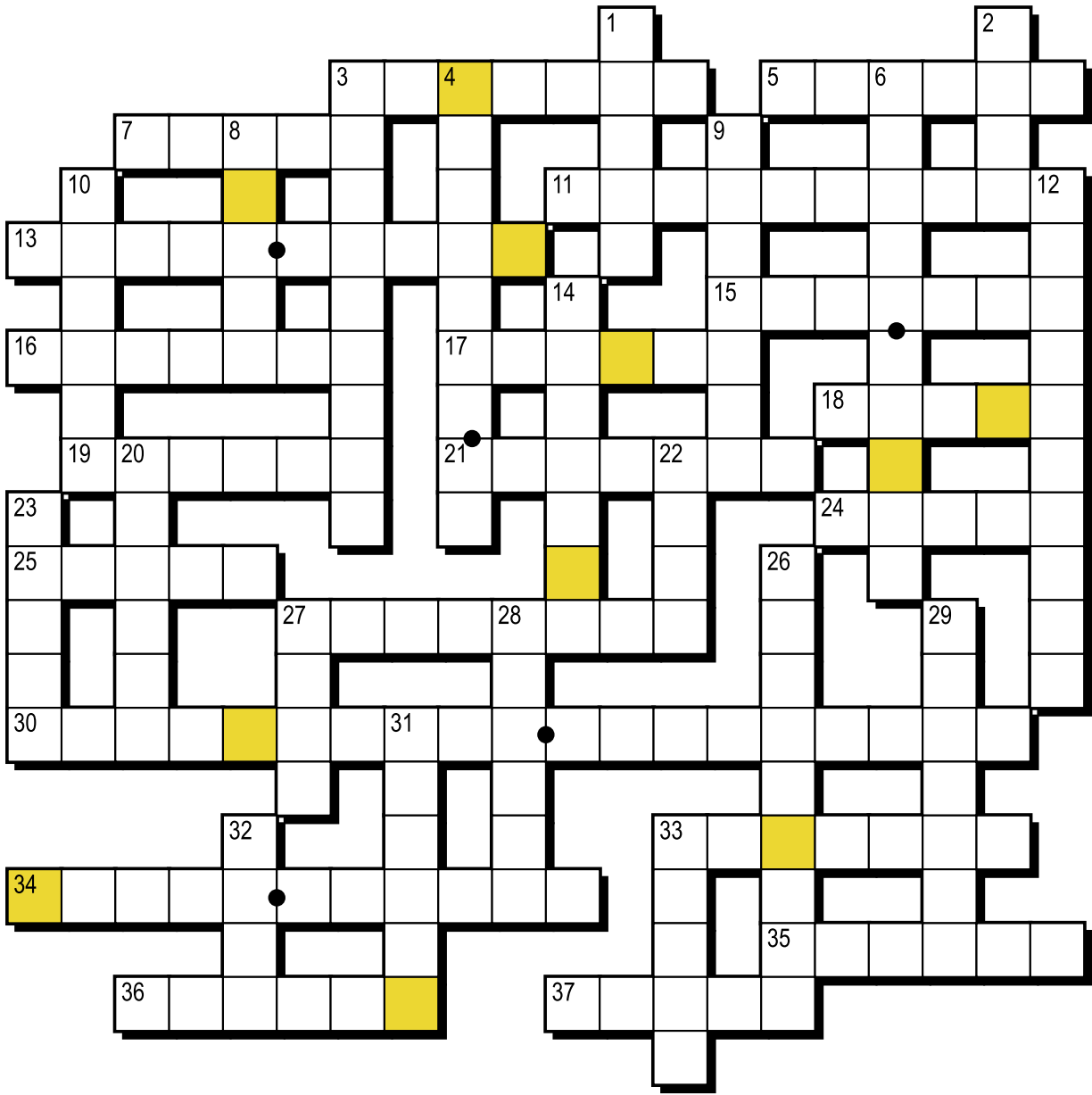
Zasadniczo wyróżnia się kawior czarny, czyli ten z jesiotrów (jego superluksusową odmianą jest ten wspomniany, złoty) oraz czerwony – pochodzący z lososi i pstrągów, ale tak naprawdę kawior to tylko ikra jesiotra. Ta pochodząca od lososi dopiero później, ze względu na marketingowych głównie, została też nazwana kawiosem.

Zresztą ten oryginalny, czarny, długo uchodził za zwykły, wcale nie luksusowy jedzenie. Dopiero, kiedy populacja jesiotrów, odławianych na potęgę, znacznie się skurczyła, stał się rarytatem.

Kawior zwykle serwuje się na tostach lub blinach, ale prawdziwi ortodoksi degustują go nakładając na... dłoń, w zagłębienie między kciukiem a palcem wskazującym. Nie powinno się też nakładać go metalową łyżeczką - koneserzy uważają, że może to wpłynąć na subtelny smak produktu.

W 1992 roku Paulina Fedak wymyśliła hasło „Podaruj sobie odrobinę luksusu”, które zostało użyte w reklamie mydła Fa. Tym tekstem zasunął też Cichy do Prymusa w „Młodych wilkach”, w kultowej scenie w skradzionym samochodzie pędzącym niemiecką autostradą, do czego i Państwa zachęcamy rzecz jasna. A czy nadarzy się lepsza okazja, niż dziś-siejsze święto? ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



LUKSUSOWA
Litery w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 3)** prywatny ..., środek podróży do dyspozycji milionera
5) przebój Republiki („Ta piosenka jest nagrana dla pieniędzy!”)
7) pokaz mody
11) okazała, reprezentacyjna budowla (np. Biały Dom)
13) komedia filmowa, w której padają słowa: „
15) z logo Louis Vuitton, w ekskluzywnym sklepie z galanterią
16) niemiecka marka luksusowych aut
17) ... z jesiotra, luksusowa przekąska podawana z szampanem, wódką

- 18)** jubilerska jednostka masy
19) w czasach PRL-u kojarzył się z dobrobytem, bogatszym życiem
21) kraj nazywany światową stolicą mody
24) „Lukus” zespołu Szwańgierkolaska, nagrany w 1995 r.
25) włoski dom mody założony we Florencji
27) auto, którym gwiazda zajędzie na bankiet, rozdanie nagród
30) z cennego kruszcu, na szyi eleganki
33) niemiecka marka sportowych i luksusowych aut
34) nieco żartobliwie o oznace luksusu w posiadłości (skojarz: Au, drzwi)
35) „Giełdziarze” Juliana Tuwima („Wczoraj kupiłem za milion, dzisiaj za dwa sprzedam”)

- 36)** luksusowe ... (pływają po wodach)
37) „Diabeł ubiera się u ...” (w mianowniku)

Pionowo:

- 1)** szwajcarska marka ekskluzywnych zegarków
2) zespół śpiewający: „Bo tak smakuje życie, na chwilę być na szczycie...”
3) Lexusy, Bentleye, Bugatti...
4) produkt, który reklamowano sloganem „Podaruj sobie odrobinę luksusu”
6) część Monako z Avenue Princess Grace – jedną z najdroższych ulic na świecie
8) dom niczym pałac
9) bogaty ... wewnątrz, np. w 8 pionowo
10) z milionami na koncie
12) prezydencki lub dla nowożeńców, do wynajęcia

- w ekskluzywnym hotelu
14) wzięci aktorzy, najlepsi sportowcy, uwielbiani celebryci...
20) potocznie nazywana podatkiem od dóbr luksusowych
22) ... nie gra roli (kto bogatemu zabroni)
23) w stylu angielskim, na terenie luksusowej posiadłości
26) najdroższa ... świata – to szafran
27) potocznie: efektowne zaprezentowanie siebie, szpanowanie np. bogactwem
28) komfortowe warunki życia
29) pozorna świetność czegoś
31) uznanych artystów – mogą zdobić ściany 11 poziomo
32) potocznie o niemieckim aucie z logo przypominającym kierownicę
33) Buckingham w Londynie lub Wiatrów w indyjskim Jaipurze

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 213 z 11.07:

Poziomo: 2) zarządca 6) autostrada 10) męka 12) tor 13) nieznane 14) jezdnia 15) prąd 16) Zakopane 17) wylotówka 19) zatoczka 21) piaskarka 22) asfaltówka 24) inżynier 26) estakada 28) tiry 29) manowce 33) pocisk 34) Olga 35) drogowcy 36) żuźłówka 37) Gitary 38) limuzyna
Pionowo: 1) poszkodowany 2) zajazdy 3) remontowanie 4) arteria 5) strada 7) ulica 8) Trasa W-Z 9) Aleje 11) krajówka 18) karetka 19) znaki 20) zabudowania 21) pasy ruchu 23) wertepy 25) numer 27) stok góry 30) nogi 31) wywozy 32) rozkład 35) drogi 36) żwir

Hasło: ZAKORKOWANE RONDO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34426992



CODZIENNIE w Wyborczej

Krzyżówka
Sudoku
Zakreślanka
Skojarzenia



Rusz głową!
Nie nudź się w domu!



wysokieobcasy

wyborcza

KATARZYNA
BARCZYK-MATKOWSKA

Robię siwy dym

– rozmowa Aleksandry Lubańskiej-Czubak

Okradzione dzieci

ALEKSANDRA
LUBAŃSKA-CZUBAK



Jeden któregoś dnia wyszedł po papierosy i zniknął (jakbym nie знаła tej historii z pierwszej ręki, nie uwierzyłabym, bo brzmi jak ponury żart albo czarna komedia). Potem okazało się, że wrócił... ale do bylej żony. Kolejny się rozplakał, ale wcale nie ze szczęścia, a potem przepadł na 10 lat. To reakcje partnerów moich koleżanek na wieść o tym, że one są w ciąży. Oba związki trwały przez dłuższy czas. Pierwszy ojciec nigdy nie chciał zobaczyć swojego dziecka i nigdy nie zapłacił ani złotówki na nie. Dług rośnie. Drugi po latach batalii sądowej z matką dziecka płaci zasądzone alimenty, choć wszyscy wiedzą, że stać go na dużo większe. Potrzeby dziecka dotyczące zdrowej żywności uważa za fanaberie.

Alimenciarze (w polskich realiach w 96 proc. przypadków dłużnikami alimentacyjnymi są mężczyźni), mimo że uchylają się od płacenia alimentów, żyją sobie w naszym kraju całkiem dobrze i mogą chodzić z podniesioną głową. Komornik Robert Damski w rozmowie z Dominiką Wantuch w „WO” zauważa, że przez lata szerzyło się przekonanie, że matki są wyludzaczkami. „Do tego stopnia to się zakorzeniło, że często bardziej współczujemy alimenciarzowi niż dziecku, które nie dostaje alimentów” – mówi.

W Polsce bardzo łatwo usprawiedliwia się niepłacenie alimentów, a żeby to zrobić, po prostu podważa się wiarygodność matki na różne sposoby. Perspektywa dziecka nie jest w ogóle brana pod uwagę, choć są to pieniądze na jego utrzymanie. Bywa, że ktoś mówi: „Ja tego dziecka w ogóle nie chciałem”. Taką sceną jest w nowym serialu „Proud” (HBO Max), kiedy po

śmierci matki dziecko zostaje bez opieki. Ojciec po prostu mówi, że dziecka nie chciał, i kończy temat. – Tylko że to nie działa w ten sposób – wyjaśnia komornik. Nie można powiedzieć: „Nie planowałem ojcostwa, więc proszę anulować alimenty”. Rodzicielstwo wiąże się z odpowiedzialnością, a obowiązek alimentacyjny, wbrew powszechnej opinii, nie pojawia się po rozstaniu z partnerką, tylko w momencie pojawienia się dziecka – dodaje.

Przyzwolenie społeczne na niepłacenie na utrzymanie własnych dzieci jest powszechne do tego stopnia, że dziś nikt nie boi się płacić. Nawet sławni i zamożni.

W rozmowie w „WO” Robert Damski pyta: „Słyszała pani, żeby kiedyś np. prezes firmy nie został zaproszony na konferencję, bo nie płaci alimentów? Albo żeby jakiś aktor został wyoutowany ze środowiska, bo zaniedbuje swoje dzieci?”. On sam nie zna takiego przypadku. Pyta więc dalej: „Jak zwykły Kowalski ma czuć wstyd, że nie płaci, jak widzi znane osoby, które nie płacą alimentów i one ponoszą za to żadnych konsekwencji wizerunkowych?”.

Nasz rozmówca ma 20-letnie doświadczenie, w ściganiu długów alimentacyjnych jest rekordzistą. Ojców, którzy ukrywają dochody, nazywa „złodziejami”. Imponuje mi odwagą, nie boi się mówić wprost i nazywać rzeczy po imieniu.

Według komornika największym problemem jest to, że na alimenty patrzymy oczami dorosłych. A to od początku do końca sprawa dziecka i historia o dziecku. To one zostają na lodzie, okradzione z czasu, godności, pewności siebie i poczucia bezpieczeństwa. ▲

Aleksandra Lubańska-Czubak – redaktorka „Wysokich Obcasów”



JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA”

- **NA OKŁADCE:** Kate Moss wciąż prowokuje • Mery Spolsky zdejmując maskę
- **TEMAT NUMERU:** Presja wyglądu • Jacob Elordi: trochę mroku, sporo uroku
- Pary z ADHD: jak ze sobą wytrzymują? • Co AI robi nam z głową? • Annette Bening: coraz ciekawsza • Na górskich ścieżkach w Kirgistanie • Jak latem zadbać o włosy

www.wysokieobcasy.pl



wysokieobcasy



wysokieobcasy.pl



listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA
PROWADZĄCA NUMER:
Aleksandra Lubańska-Czubak

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzuszczkowska,
Agata Luszczyk, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylvia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloń
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ
SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEFOWA PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CIA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stozek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szalański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa,
tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów
niezamówionych oraz zastrzega
sobie prawo do ich redagowania
i skracania.
Na stronie 28 zamieszczony jest
materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy” nr 29 (1400)
NA OKŁADCE:
KATARZYNA
BARCZYK-MATKOWSKA
FOT. MATEUSZ SKWARCZEK/
AGENCJA WYBORCZA.PL



Pod pozorem troski

Ingrid przeprowadza aborcje i sterylizacje romskich pacjentek, wierząc, że działa w ich najlepszym interesie

TEKST JUSTYNA GROCHAL

W latach 70. ubiegłego wieku komunistyczny rząd Czechosłowacji wprowadził oficjalną politykę reprodukcyjną, której celem było zmniejszenie populacji Romów. Specjalna ustawa umożliwiła lokalnym władzom i szpitalom sterylizację kobiet romskich, a wiele wskazuje na to, że zabieg ten zaczęto przeprowadzać nielegalnie jeszcze w poprzedniej dekadzie.

Europejskie Centrum Praw Romów wykazało, że formularze zgody wręczano kobietom romskim często podczas cesarskiego cięcia lub innych operacji, a wiele z nich podpisywało je nieświadomie. W innych przypadkach mówiono im, że jeśli nie zgodzą się na zabieg, zostaną im odebrane dzieci, albo że procedura jest odwracalna. Wprowadzono też finansowe „zachęty” dla Romek, które zdecydują się na sterylizację.

Dopiero w 2009 r. państwo czeskie oficjalnie przeprosiło za kampanię przymusowej sterylizacji. Problem jednak wciąż nie został rozwiązany. W 2021 r. w przełomowym głosowaniu czeski senat zatwierdził ustawę, która potencjalnie umożliwia wypłacenie rekompensat tysiącom Romek bezprawnie wysterylizowanych przez państwo w latach 1966–2012. Kobiety te zyskały prawo do odszkodowania, choć wiele z nich napotyka biurokratyczne przeszkody.

Iwan Ostrochowski, słowacki reżyser i scenarzysta, któremu uznanie krytyków przyniósł film „Śludzy” o seminarium duchownym w Czechosłowacji w latach 80., w najnowszym dramacie „Źródło życia” wraca do tamtego okresu i podejmuje temat trudnego rozdziału w historii. Mamy końcówkę lat 80. w Czechosłowacji. Główna bohaterka, ginekolożka Ingrid (Aňa Geislerová), pracuje w szpitalu rejonowym. Odbiera porody, przeprowadza aborcje i sterylizacje romskich pacjentek, wierząc, że działa w ich najlepszym interesie. Jest częścią systemu i wykonuje powierzone jej



zadania. Nawet podpowiada zniecierpliwionym oficjelom, że aby zwiększyć liczbę zabiegów, warto oferować Romkom większe pieniądze.

Ingrid to melancholijna, elegancka i ambitna kobieta po pięćdziesiątce. Wiedzie ustabilizowane życie, choć sprawia wrażenie, jakby ugrzęzła w martwym punkcie. Niby jest szczęśliwa z mężem, ale w ich codzienność wkradają się monotonia i chłód. Niby spełnia się w pracy i wierzy w misyjność swojego zawodu, ale w lekarskim świecie, zdominowanym przez mężczyzn i nepotyzm, nie ma szans na przebicie się przez szklany sufit, a co za tym idzie – na własny rozwój.

Z życiowego stuporu wytrąca ją relacja, którą nieoczekiwanie nawiązuje z młodą sanitariuszką Agatą. Gdy dzięki niej zaczyna zauważać ludzkie konsekwencje polityki sprowadzającej mniejszość etniczną do rangi problemu demograficznego, wieża z jej przekonań, karmionych stereotypami i systemową narracją, powoli kruszeje. To więc historia nie tylko o niesprawiedliwości społecznej, ale także o rozpoznawaniu własnych błędów i próbie ich naprawienia oraz o tym, co się dzieje, gdy przestajemy dostrzegać jednostkę na rzecz abstrakcyjnych systemowych idei. Ostrochowski odsłania codzienny wymiar dyskryminacji, obecny w języku i niewinnych gestach. „Nie rozmawiaj z nimi, nawet nie patrz im w oczy” – instruuje Agatę jedna z pielęgniarek. To właśnie w takich pozor-

nie zwyczajnych słowach ujawnia się skala systemowej przemocy.

Jednocześnie „Źródło życia” zaskakuje formą. To film niezwykle elegancki wizualnie, pełen jasnych, miękko oświetlonych kadrów i subtelnej, momentami wręcz baśniowej poetyckości. Reżyser często kadruje bohaterów przez szyby, okna i inne przezroczyste powierzchnie, jakby podkreślał dystans dzielący ich od siebie nawzajem i od prawdy, której długo nie chcą dostrzec. Ten estetyczny spokój wyraźnie kontrastuje z brutalnością opowiadanej historii, przez co jeszcze mocniej uwypukla jej moralny ciężar.

Choć sam fakt powstania filmu o przymusowych sterylizacjach romskich kobiet ma ogromne znaczenie, trudno nie zauważyć, że Ostrochowski opowiada tę historię przede wszystkim z perspektywy uprzywilejowanej białej bohaterki. To Ingrid przechodzi przemianę, ona staje się emocjonalnym centrum opowieści, podczas gdy romskie bohaterki pozostają katalizatorami jej wewnętrznego przebudzenia. Reżyser wybiera dość optymistyczne domknięcie tej historii, które jednak trudno pogodzić ze skalą doznanej przez romskie kobiety krzywdy i jej długofalowych konsekwencji. ▲

Film „ŹRÓDŁO ŻYCIA” w reż. Iwana Ostrochowskiego będzie można obejrzeć podczas Festiwalu Tauron Nowe Horyzonty we Wrocławiu (23 lipca – 2 sierpnia 2026).

FOT. NOWE HORYZONTY



A portrait of a woman with short, wavy grey hair, resting her chin on her hand. She is wearing a white tank top, a ring on her finger, and blue earrings. The background is a plain, light grey.

KATARZYNA
BARCZYK-MATKOWSKA

Drugie wejście do gry

Ile byśmy nie zrobiły, żeby ukryć upływ czasu, ulegając presji innych, to ścigamy się z czymś, z czym nie można wygrać. Trzeba próbować to akceptować. Pomyśleć o starzeniu się z czułością

Z KATARZYNĄ BARCZYK-MATKOWSKĄ,
AUTORKĄ KSIĄŻKI „SREBRNA FALA”,
ROZMAWIA ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK
ZDJĘCIA MATEUSZ SKWARCZEK/
AGENCJA WYBORCZA.PL

S

Siwe włosy wszyscy wyrrywają, a ty piszesz, że się nie powinno.

– Pytałam o to ekspertkę i okazuje się, że w miejscu wyrwania włosa może powstać blizna i włos już nie odrósł.

Ale siwych nikt nie chce.

– Może nie chce, ale to jest raczej nieuniknione, że będziemy je mieć. A chyba lepiej mieć siwe włosy niż nie mieć wcale. Poza tym siwe mogą być piękne.

Zgadzam się. Świetnie wyglądają w nich m.in. Andie MacDowell, Bogna Sworowska, Lidia Popiel, Jamie Lee Curtis, Jodie Foster, Anda Rottenberg i wiele innych kobiet. Ty też.

– Ja pierwsze siwe włosy miałam już w liceum. I właściwie za-farbowalam je tylko raz – na trzydziestkę. Postanowiłam, że zobaczę, jak to jest mieć farbowane włosy, i zrobiłam wtedy drastyczną zmianę, zostałam jasną blondynką, a naturalnie mam bardzo ciemne włosy. Ale po jakichś trzech latach mi się znudziło, blond przestał mi się podobać, poza tym miałam wziąć ślub i chciałam mieć swoje naturalne włosy, a do tego byłam w ciąży. Od tego czasu mam siwe.

Wiele osób uważa, że siwe dodają lat. Nie odczułaś tego?

– Raz pediatra, do którego trafiłam z dzieckiem, zapytał mnie, czy jestem matką, czy babcią mojego syna... Bardzo się zdzi-wiłam. Przez lata dużo było wokół mnie takich reakcji, że ktoś mówił: „Boże, nie farbujesz się, dlaczego?” albo ktoś twier-dził, że się postarzam. Natomiast sporo osób mówiło też, że świetnie wyglądam. Dla mnie samej to nie był ważny temat, posiadanie siwych było od zawsze czymś normalnym i natu-ralnym. Byłam z tym oswojona i nie czułam, że to może do-dawać mi lat, bo przecież pierwsze siwe włosy miałam, bę-dąc bardzo młodą dziewczyną. Ale gdy zobaczyłam, ile mo-je włosy wzbudzają emocje i potrzeby komentowania, to za-częłam się nad tym głębiej zastanawiać.

Dlatego postanowiłaś napisać o tym książkę.

– Pomyślałam, że to jest ciekawe, że ten temat tak ludzi po-laryzuje i skąd tak skrajne opinie – albo zachwyt, albo sprze-ciw. Chociaż tej krytyki jest znacznie więcej. Fryzjerka bar-dzo chciała mnie ufarbować na mój ślub, nie mogła zroz-u-mieć, dlaczego ja nie chcę. Zainteresowało mnie, dlaczego ludzi to tak aktywuje, są poruszeni, a nawet oburzeni tym, że ktoś relatywnie młody ma siwe włosy, nic z tym nie robi, co więcej – jest z tym pogodzony.

Twoja akceptacja siwych włosów irytowała innych, bo większość kobiet ich nie lubi i nie akceptuje.

– Zaczęłam się zastanawiać, skąd silne pragnienie, żeby zmie-niać kolor włosów. A że mam mocno feministyczne zacięcie, to zaczęłam zgłębiać temat i pojawiło się mnóstwo innych zagadnień wokół. Wiele osób miało coś na ten temat do po-wiedzenia. Dlatego w książce rozmawiam m.in. z fryzjerem, ale też socjolożką, psycholożką i seksuolożką, bo to książka przede wszystkim o starzeniu się.

To skąd pragnienie, żeby włosy farbować?

– Od małego jako dziewczynki obserwujemy, że farbują się na-sze babki, mamy, i jak dorastamy, to już się nie zastanawiamy, czy to robić czy nie. Jak mam siwe, to farbuję i wpadam w pę-tlę odrostów. Od najwcześniejszych lat jesteśmy socjalizowa-ne, żeby maskować nasze „niedoskonałości”. Mnie to ominęło.

A co na to twoi partnerzy? Nie uzależniałaś od tego swojej atrakcyjności? Siwienie to jednak oznaka starzenia się.

– Nigdy tak tego nie traktowałam. Dla mnie to było nawet w pewnym sensie fajne, charakterystyczne i takie moje, da-wało mi to też pewną rozpoznawalność. Mój chłopak, a po-tem mąż, też nie miał z tym żadnego problemu. Wszyscy bli-scy wiedzieli, że się nie farbuję i już.

Cofnijmy się na chwilę w czasie. Chcę cię zapytać o two-je wcielenie jako Lady Pasztet. Prowadziłaś przez 10 lat popularnego bloga i przez trzy lata podcast. Dlaczego przestałaś?

Lady Pasztet to była moja misyjna działalność w Internecie, bar-dzo się starałam tłumaczyć feminizm z takiego abstrakcyjnego ujęcia na bardziej życiowe. Dużo było tam wpisów, które poka-zywały, że feminizm to nie jest nie wiadomo jaka wydumana idea, ale jakiś zbiór wartości, zachowań, poglądów, które nam towarzyszą też w codziennym życiu. I myślę, że popularność tego bloga brała się stąd, że dla wielu kobiet było to odkrycie – myślały: „Ojej, ja przecież tak właśnie mam”. Albo: „Nie jestem feministką, ale właściwie dlaczego muszę robić trzy razy wię-cej niż mój partner, który w tym czasie np. gra na PlayStation?”.

Przestałam pisać bloga, bo chciałam robić też inne pro-jekty, np. napisać książkę. Poza tym nie czułam, żeby mo-ja licealna ksywka, której użyłam jako nazwę bloga, jeszcze do mnie pasowała. Do podcastu bardzo chciałabym wrócić.

Piszesz, że przez lata swojej blogowej działalności prze-konałaś kilka obserwatorek do tego, żeby polubiły swoje siwe włosy. Zależało ci na tym, żeby namówić inne dzie-wczyny, żeby się nie farbowały?

– Była we mnie chęć podzielenia się pewnego rodzaju inspi-racją – że można się nie farbować, że można dobrze wyglą-dać, jak się nie farbuję włosów. Z dużą radością przyjmowa-łam wiadomości od kobiet, które pisały, że je zainspirowa-łam do tego, żeby przestały farbować siwe. W Polsce kobiety wcześniej zaczynają eksperymentować z farbą i długo to ro-bią. Na Zachodzie jest więcej kobiet, które się nie farbują i są z tym OK. Fajnie było budować taką przestrzeń w Interne-cie, która daje możliwość zadawania pytań, podawania rze-czy wątpliwości i zastanawiania się nad tym, czy to jest ko-nieczne, czy są może jakieś alternatywy.

Jak myślisz, dlaczego w zachodniej Europie jest większe społeczne przyzwolenie na siwe włosy?

– Jest większa wolność kreowania swojego wizerunku na różne sposoby, ludzie są swobodniejsi w wyrażaniu siebie. Mieszkalam przez jakiś czas w Hiszpanii i wiem, że kobiety 60, 70, 80 plus chodzą tam w modnych sportowych butach, ubierają się kolorowo i odważnie, noszą dobrze obcięte siwe włosy i oryginalne oprawki okularów. Grają kontrastami, mieszają style, ubierają się jak im się podoba, a nie jak wypada. Tymczasem u nas siwa kobieta to albo staruszka w koczku, albo dziwadło. Jak młoda kobieta nosi siwe, to od razu pojawia się pytanie: dlaczego ona to sobie robi?!

„Co mają ze sobą wspólnego siwizna, feminizm i bycie mamą” – to tytuł wpisu z 2021 roku na twoim ówczesnym blogu. Co się zmieniło od tego czasu?

Niewiele. Nadal jestem jedyną siwą mamą w przedszkolu swoich dzieci. Feminizm nadal jest silną częścią mnie i mojej tożsamości. Może nie jest już tak radykalny, jak kiedyś i może mniej go manifestuję, a bardziej objawia się w tym, że dostrzegam wspólne sprawy z wieloma różnymi kobietami. Nawet tymi o innych poglądach. Wiele tych wspólnych spraw dotyczy zresztą bycia mamą, co otwiera zupełnie nowe drogi w naszym życiu. Macierzyństwo to spora rewolucja. Szczególnie jeśli było się przyzwyczajonym do swojego aktywnego, niezależnego życia. Mnie na początku niełatwo było zaakceptować, że zamiast „ja”, są przede wszystkim „one”, czyli dzieci.

Janie starości i o to, jak my, kobiety, jesteśmy postrzegane na poszczególnych etapach życia. Mnie zależy na tym, żeby kobiety się zastanowiły, co im to ukrywanie wieku, maskowanie siwych włosów daje. Dlaczego to robią? Kto tego od nich wymaga? Ile temu poświęcają czasu i pieniędzy, czy warto i czy na pewno tego chcą dla siebie.

W 2016 roku napisałam tekst w „WO” pt. „Siwy to nowy blond” o tym, że coraz więcej kobiet pokazuje siwe włosy, nie wstydzi się ich. Mówiło się wtedy o rewolucji. Ale dziś większość kobiet nadal się farbuje, a świadoma decyzja „wybieram siwe” to nisza, która dotyczy niewielkiej grupy niezależnych kobiet w dużych miastach. To społeczna bańka.

Uważam, że przez te 10 lat i tak się wiele zmieniło i jest większa przestrzeń do rozmowy o tym. Na okładkach magazynów i wybiegach oglądaliśmy siwe modelki. Nie ludźmy się, że ta zmiana przyjdzie szybko i będzie od razu widoczna masowo. Siwe włosy kobiety ukrywały przez tysiąclecia. Już w starożytności Egipcjanki przykrywały białe włosy henną, w średniowieczu utrwalili się wizerunek siwej staruchy czy wiedźmy. Przeskakując do XX wieku, który jest nam bliższy, przyglądałam się reklamom, bo są kopalnią wiedzy o tym, jak zmieniał się świat i w USA w latach 20. i 30. istniało silne lobby przeciwko siwiznie. Powstawały reklamy kosmetyczne, które głosiły, że siwy włos wywołuje przerażenie, że jak nie ufarbujesz włosów to nigdy nikt cię nie poprosi do tańca, umrzesz w sa-

Skupmy się na tym, co nam daje druga połowa życia, *a nie co nam zabiera*

W 2017 roku byłaś na okładce „WO”. Wzięłaś udział w naszej akcji o ciele „Gotowe na plażę”. Zrobiłyśmy w redakcji zdjęcia w kostiumach kąpielowych i opublikowałyśmy je bez retuszu, a ty byłaś jedną z pięciu dziewczyn-czytelniczek, które zostały wybrane na okładkę i też miały taką sesję. Jak to wspominasz?

Jako ciekawą przygodę. Poznałam wtedy świetne dziewczyny, z którymi czasem mam kontakt do dzisiaj. Kibicujemy sobie, jak na siebie trafiamy np. w serwisach społecznościowych. Tamten tekst i sesja zdjęciowa wywołały wtedy poruszenie. Uważam, że dzięki tej akcji udało się trochę poluznić „kanon” i sztywne ramy. Dziś nikogo już by nie zszokowały zdjęcia fałdek na brzuchu czy ud z cellulitem. Takich sesji było od tamtego czasu sporo. Przejmowanie się takimi rzeczami jak cellulit zniknęło też z mojego życia. Te akcenty są dziś inaczej porządkowane.

Wtedy cellulit, a teraz siwe włosy są pretekstem do dyskusji na tematy dotyczące akceptacji siebie, wyglądu kobiet, presji społecznej, tego, czego się od nas wymaga.

Tak. Choć są to różne tematy, to pokazują wciąż aktualny aspekt tego braku akceptacji siebie przez kobiety. Bo przecież tak naprawdę nie chodzi tylko o siwe włosy, ale o to, co tam siedzi głębiej: czyli o starzenie się, o przemijanie, o oswa-

motności, twoje życie skazane będzie na porażkę. Pojawia się wtedy absolutny kult młodości. Społecznie wymagano od kobiet, żeby udawały, że czas stoi w miejscu, żebyśmy zajmowały się wyglądem, były szczupłe, miały lśniące włosy. To były zadania dla nas. W tym samym czasie mężczyźni nie musieli nic, nie mieli w ogóle takich obowiązków. Nie zajmowali się tym. Dlatego wiem, że tak mocno przez wieki utrwalone zasady nie zmieniają się z dnia na dzień. To proces. Ale już samo to, że o tym teraz rozmawiamy jest sygnałem, że to jest ważny temat, że podważamy jakiś zastany porządek. A to już coś.

Siwe włosy u mężczyzn oznaczają mądrość i doświadczenie, a siwa kobieta stereotypowo jest po prostu stara albo wiedźmowata.

Niestety tak. Mam nieodparte wrażenie, że nadal mało jest w naszym społeczeństwie i w przestrzeni publicznej silnych, starszych kobiet na eksponowanych stanowiskach, autorytetek, które możemy obserwować i naśladować. Takich, które mówią o swojej drugiej połowie życia pozytywnie – na przykład, że to im więcej dało, niż zabrało. Tych, które się nie boją robić i mówić, co chcą, kiedy chcą, które rozwijają się, zajmują wysokie stanowiska. Nie mamy takich „role models”, kobiecych wzorców. Dlatego jest w nas wciąż wielka chęć, że-



KATARZYNA BARCZYK-MATKOWSKA

– feministka, podcasterka, autorka książki „Srebrna fala. Dlaczego przestałam się farbować i zaczęłam zadawać pytania”, wyd. Relacja, przez ponad 10 lat prowadziła bloga, na którym dzieliła się przemyśleniami na temat równości kobiet i mężczyzn oraz wyzwań związanych z byciem kobietą, a po urodzeniu dziecka również kwestii i problemów matek w dzisiejszym świecie.

by ukrywać wiek, udawać młodszą. To jest ciągła walka o zachowanie statusu quo: nadal jestem młoda, atrakcyjna, mam coś do powiedzenia i moje zdanie się liczy. Bo starszych kobiet nikt nie słucha.

Siwy mężczyzna jako CEO w korporacji wzbudza szacunek. Kobiety się nie słucha, ale bardzo intensywnie ocenia się ich wygląd i zachowanie.

Czytałam artykuł w „Forbes Women” o kobietach w biznesie, z którego wynika, że tylko ufarbowana kobieta jest zadbana i profesjonalna. Tak się uważa. Tylko takie kobiety ktoś będzie traktował serio. Tak mówią o sobie same kobiety pracujące w korporacjach. Uważają, że nikt by ich nie trakto-

wał poważnie, gdyby były siwe i np. nie nosiły wysokich obcasów, nie miały pomalowanych paznokci. Co to o nas mówi?! Jak widać, bardzo potrzebujemy feminizmu.

Siwe odrosty to zhora wielu moich koleżanek. Pójście na farbę, szczególnie na rozjaśnianie, zabiera dużo czasu i kosztuje sporo pieniędzy, jeśli robimy to w salonie fryzjerskim.

Jednym z powodów, dla których ja przestałam się farbować, jest to, że mi się po prostu nie chce poświęcać na to czasu i wydawać na to swoich pieniędzy. I to w ogóle nie znaczy, że jestem zaniedbana. Chodzę do fryzjera, strzygę się, pielęgnuję włosy. To jest mój wybór, że zamiast na farbę idę na przykład na siłownię, kurs rysunku, studia podyplomowe, inaczej wydaję swoje pieniądze.

I też nie chcę się z tego tłumaczyć. Nie chcę, żeby moje siwe włosy były postrzegane jako odwaga, a bardzo często słyszę, że jestem odważna i śmiała, bo mam siwe włosy. A do tego mieszkam w małej miejscowości i jak ja się mogę tym nie przejmować. Kobięcie ciało i wygląd od zawsze były lustrowane i oceniane. Tymczasem mężczyźni mogą być siwi, mogą mieć nadwagę i nikt im tego nie wytyka, to nie jest przeszkoda, żeby dostali dobrą pracę i dobrą pensję.

Co takiego kultura, przemysł, mass media nam robią, że jak przytyjemy, to czujemy

się z tym źle, jak mamy cellulit, to uważamy się za nieatrakcyjne, a jak jesteśmy siwe, to jesteśmy odbierane jako zaniedbane?

Trudno uciec przy okazji twojej książki od tematu przemijania. Lęk przed siwymi włosami jest też lękiem przed starością.

Kiedy dobiegałam czterdziestki, pomyślałam, że to jest środek życia, jak by na to nie patrzeć. I można mieć kryzys i się tym dołować, a można poszukać plusów, pomyśleć, że to jest wspaniały okres i jeszcze dużo przede mną. Jestem doświadczona, mądrzejsza, wiele rzeczy mam w małym palcu, jestem bardziej pewna siebie. Nie uciekam od tego, czerpię z tego, co już przeżyłam.

W redakcji „WO” dużo o tym rozmawiamy. Niedawno dziennikarka Natalia Mazur napisała felieton o tym, że gdy inni pielęgnują wewnętrzne dziecko (na co jest teraz moda w poppsychologii), ona cieszy się z bycia starą babą. To był wstępniak do numeru „WO” odnośnie do dwóch tekstów: rozmowy z Anną Seniuk, aktorką, która cały czas pracuje, nie zwalnia, dostaje role, albo sama je sobie organizuje, jest osobą cenioną i dojrzałą, którą ludzie chcą oglądać; i drugiego wywiadu – z Karoliną Lewestam, która napisała książkę o kobietach w średnim wieku, które stają się nagle niewidzialne, ale dzięki nim świat w ogóle funkcjonuje i trzyma się kupy, bo to one opiekują się i dziećmi, i rodzicami, i wykonują wszelką niewidzialną i opiekuńczą pracę. Fajnie o tym powiedziała kiedyś Gosia Halber „make stara baba great again”. Jest taki wiek, że jeszcze opiekujesz się swoimi dziećmi, już opiekujesz się swoimi rodzicami plus jesteś w najwyższej formie zawodowej oraz zajmujesz się domem, praniem, zakupami, gotowaniem. Świat stoi na twoich barkach. Dam taki przykład, niedługo moje dziecko pójdzie do pierwszej klasy, lekcje się kończą o 14 i ktoś to będzie je odbierał w środku dnia ze szkoły? W małej wsi na Dolnym Śląsku nie wszyscy ludzie pracują zdalnie, żeby wyjść z pracy w środku dnia. W domyśle wiadomo, że robi to mama albo babcia. Tylko że to oznacza, że matka musi często zrezygnować z pracy i nie dość, że nie będzie miała swoich pieniędzy, to jeszcze nic nie odłoży i nie będzie miała emerytury. A babcia, która przecież też może jeszcze pracować, bo ciężko wyżyć z ZUS-owskiej emerytury, mogłaby w końcu na emeryturze odpocząć od opieki, bo całe życie się kimś opiekowała. A wymaga się, żeby opiekowała się wnukami. Zobaczcie, jak bardzo społeczeństwo nie docenia starych kobiet.

Może trzeba odmówić. Powiedzieć: „Ja wysiadam. Teraz wreszcie zajmuję się przede wszystkim sobą”.

Jak kobiety zaczną się bardziej cenić i odmówią niektórych usług społecznych, to co się stanie ze starzejącym się społeczeństwem? Kto zajmie się wnukami? Kto się zajmie seniorami? Kto będzie robił zakupy, czuwał nad domem? Ale może właśnie wtedy ktoś zauważy tę pracę i społeczny problem? Chciałabym, żeby kobiety w każdym wieku częściej odmawiały.

Można też powiedzieć: „Przestaję się farbować. Nie potrzebuję tego do szczęścia”. Tak jak ty.

Tak, dużo zależy od nas samych, co my same zrobimy i co same o sobie myślimy. To jest ta praca, której nikt za nas nie zrobi. Nikt nie przyjdzie i nie powie: „Słuchajcie, ale może przestańcie farbować włosy, no bo w sumie z siwymi też wam dobrze i nadal możecie robić wszystko to, co robiłyście do tej pory”. To dla niektórych wymaga sporo siły i odwagi, żeby przeciwstawić się takim trwającym od pokoleń nawykom.

Ja zdejmuję z siebie tę presję. Bo tych zajęć i obciążeń, jakie mam, jest już i tak bardzo dużo, więc decyduję się na jedno mniej. Ale mam jeszcze jeden powód, dla którego się nie farbuję: chcę być przykładem dla moich synów, którzy jeszcze tego nie rozumieją, ale już rysują mamę z siwymi włosami. Dla nich to normalne. I myślę, że to jest super, że oni mnie bezwarunkowo akceptują, uważają, że mama ma takie, tata ma takie włosy, świat jest różnorodny. Uważam też, że nie maskując się, niejako przygotowuję się na starość, bo

ona do mnie przyjdzie, jak do każdego. Chcę być starą babą, która jest „great”.

Twoi synowie, jak będą dorośli, prawdopodobnie nie będą wymagać od swoich partnerek, żeby się ufarbowały, tak jak partner mojej koleżanki, który poprosił ją, czy mogłaby zafarbować siwe, bo wygląda na zaniedbaną.

Myślę, że jakby mój mąż coś takiego powiedział, to bym się ogromnie zdziwiła i stwierdziła, że może coś mu dolega. To jest dla mnie niewyobrażalne. To jest tak, jakbym mu kazała zapuścić brodę i wąsy, nie licząc się z tym, jak on się z tym czuje. Albo gdybym wysłała go na przeszczep włosów, bo łysieje. To pokazuje, jak wielkiej presji są poddawane kobiety, bo nawet gdyby one chciały inaczej, to ich partner żyje w tym kulcie młodości i w głowie mu się to nie mieści, że można inaczej. Takie postawienie sprawy dużo mówi o niektórych mężczyznach, że oni bardzo chcą, żeby ich partnerka była coraz młodsza. My ulegamy, bo nasi partnerzy są zazwyczaj dla nas bardzo ważni, czasem najważniejsi. Chcemy w ich oczach być atrakcyjne.

Przygotowujesz się na nadchodzącą starość?

Tak, na przykład ćwicząc na siłowni. Siłownia jest też moją kopalnią inspiracji i wiedzy o społeczeństwie. Koleżanka z siłowni mówi, że jej się nie podobają zmarszczki, nie podobają się jej siwe włosy, w ogóle wszystko to, co związane ze starzeniem się jej nie podoba i ona nie będzie udawać. Ja to rozumieję, nie każę jej udawać. Natomiast proces jest nieodwracalny, idzie w jedną stronę. Ile byśmy nie zrobiły zabiegów medycyny estetycznej, to ścigamy się z czymś, z czym nie można wygrać. Dlatego wydaje mi się, że trzeba próbować to akceptować. Pomyśleć o starzeniu się z czułością. To zmaganie się z własną śmiertelnością przychodzi właśnie po czterdziestce. Boimy się śmierci, naszej, naszych bliskich i dlatego uciekamy w takie ruchy pozorowane.

Twoja koleżanka z siłowni jest ewidentnie w zaprzeczeniu albo gniewie, czyli którejś z pięciu faz żałoby, pożegnania z młodością, o której czytałam w twojej książce. Mówi o tym Matylda Kozakiewicz, psychołożka, psycho-traumatolożka, w rozdziale „Jak oswoić starość”. Dobra wiadomość jest taka, że po dwóch kolejnych fazach przychodzi akceptacja.

Żalobę po młodości trzeba po prostu przeżyć, przejść te fazy i niczego sobie nie wyrzucać. I trzeba to przejść samodzielnie.

Może pomóc zauważenie pozytywnych stron starości. Współczesna kultura, gloryfikująca młodość, nam nie pomaga, ale warto sięgać do innych wzorców. Np. do tego, jak kiedyś w społeczeństwach pierwotnych traktowano starszych. Mieli ważne funkcje, byli istotni dla społeczności, byli źródłem mądrości, mieli zgromadzony majątek, mogli cieszyć się władzą i szacunkiem.

W mojej książce ciekawie o tym mówi socjolożka Karolina Wigura – że druga połowa życia to jest moment, kiedy powinniśmy drugi raz wchodzić do gry i brać to, co chcemy. Zwłaszcza jeśli nie mamy zobowiązań, mamy odchowane dzieci. Nie powinniśmy bać się czerpać z tego zasobu, jakim jest kobieca mądrość, dojrzałość i życiowe doświadczenie. ▲



Twarze *alimenciarza*

Z punktu widzenia dziecka nie ma znaczenia, czy pieniędzy nie płaci bezrobotny, biznesmen czy gwiazda telewizji. Dla dziecka efekt jest taki sam

Z ROBERTEM DAMSKIM,
KOMORNIKIEM SĄDOWYM,
ROZMAWIA DOMINIKA WANTUCH
RYSUNEK MACIEJ SIĘCZYK

Na początek uporządkujmy pojęcia. Kim właściwie jest alimentciarz?

Nie ma jednej twarzy. Przez lata utarł się stereotyp, że to człowiek z marginesu społecznego, bez pracy, często uzależniony od alkoholu. Rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej.

Alimentciarz to potoczne, pejoratywne określenia dłużnika alimentacyjnego, czyli osoby, która nie wywiązuje się z obowiązku alimentacyjnego. Najczęściej chodzi o alimenty na dzieci, choć prawo przewiduje też w niektórych sytuacjach obowiązek alimentacyjny wobec dorosłych. W praktyce jednak zdecydowanie większość spraw o alimenty dotyczy dzieci, a w polskich realiach w 96 proc. przypadków dłużnikami alimentacyjnymi są mężczyźni.

A ktoś, kto celowo zaniża albo ukrywa dochody, twierdzi, że nie może znaleźć pracy, wnosi nieustannie o obniżenie alimentów albo manipuluje nastoletnimi dziećmi, żeby przekonać je, by zrezygnowały z zasądzonych na nie alimentów?

To jest złodziej. I to złodziej gorszego sortu, bo okrada własne dziecko.

Nie owija pan w bawełnę.

W dyskusji o alimentach bardzo często znika nam z pola widzenia ten, kto jest tu najważniejszy, czyli dziecko. Słyszę od ojców: „Nie będę płacił na byłą. Sama tego chcia-

morników wynosi ok. 20 proc. To oznacza, że spośród dziesięciorga dzieci tylko dwójce otrzyma alimenty w pełnej wysokości.

Przerażająco mało. Dlaczego?

Bo w Polsce bardzo łatwo usprawiedliwia się niepłacenie alimentów. Ja zawsze mówię o dwóch literach: R jak relatywizm i D jak deprecjonowanie.

Co się za nimi kryje?

Relatywizm pojawia się właściwie zawsze, gdy zaczynamy rozmawiać o alimentach. Jeśli zapytamy ludzi, czy alimenty należy płacić, niemal wszyscy zgodnym chórem wykrzykną: „oczywiście”. Ale wystarczy wejść w szczegóły i natychmiast pojawia się „ale”. Owszem, alimenty trzeba płacić, „ale” to ona chciała się rozstać, „ale” ma już nowego partnera, więc może on powinien utrzymywać dziecko, „ale” utrudnia kontakty z dzieckiem, „ale” ja założyłam nową rodzinę i mnie nie stać, „ale” sędzia był stronniczy i zasądził za wysokie alimenty... Tych „ale” jest nieskończenie wiele.

Jak mawiał klasyk, „bo to zła kobieta była”?

Tu przechodzimy do „D” jak deprecjonowanie. Żeby usprawiedliwić niepłacenie alimentów, bardzo często najpierw podważa się wiarygodność matki dziecka. Słyszymy: „że oskubała męża”, „że wydaje na paznokcie i fryzjera, a nie na dziecko”, „że narobiła dzieci, żeby żyć z alimentów”, „skrzywdziła męża”, „mści się na nim”. To nie są argumenty, które mają pomóc dziecku. One mają sprawić, że łatwiej zaakceptujemy fakt, iż ktoś nie wywiązuje się z obowiązku wobec własnego dziecka.

nie osoby z marginesu społecznego. Tymczasem alimentów nie płacą też celebryci. Nie płaci ich przysłowiowa warszawka. Z pierwszych stron gazet dowiadujemy się, że dłużnikami alimentacyjnymi są również znani aktorzy czy ludzie biznesu. Nie płacą piosenkarze, artyści, ludzie, którzy uchodzą za autorytety, którzy goszczą w mediach, zamożni prawnicy, lekarze, biznesmeni. I wtedy znów słyszymy to „ale”. Zamiast powiedzieć „nie płaci na własne dziecko”, szukamy usprawiedliwień. Może alimenty są za wysokie, może sąd był niesprawiedliwy, może była żona utrudnia kontakty z dzieckiem. Wobec osób znanych i zamożnych jesteśmy wyjątkowo pobłażliwi i skłonni szukać okoliczności łagodzących. Tyle że z punktu widzenia dziecka nie ma znaczenia, czy pieniędzy nie płaci bezrobotny, biznesmen czy gwiazda telewizji. Dla dziecka efekt jest dokładnie taki sam.

Natomiast taki przekaz ma określone skutki społeczne. Bo jak zwykły Kowalski ma czuć wstyd, że nie płaci, jak widzi znane osoby, które nie płacą alimentów i nie ponoszą za to żadnych konsekwencji wizerunkowych. Słyszała pani, żeby kiedyś np. prezes firmy nie został zaproszony na konferencję, bo nie płaci alimentów? Albo żeby jakiś aktor został wyoutowany ze środowiska, bo zaniedbuje swoje dzieci?

Nie słyszałam.

Ja przez ponad 20 lat swojej pracy też nie.

Polak nie lubi wchodzić z buciorami w życie drugiego?

A gdzie tam. Uwielbiamy komentować życie innych. Ale nie mamy odwagi protestować, gdy ktoś łamie prawo. Zwłaszcza gdy

Dług alimentacyjny przekroczył już 17 mld zł. *Milion dzieci nie dostaje alimentów*

ła, niech sobie radzi”. Tylko że alimenty nie są dla byłej partnerki. Są dla dziecka.

Bywa też, że ktoś mówi: „Ja tego dziecka w ogóle nie chciałem”. A to nie działa w ten sposób. Nie można po latach powiedzieć: „Nie planowałem ojcostwa, więc proszę anulować alimenty”. Rodzicielstwo wiąże się z odpowiedzialnością, a obowiązek alimentacyjny, wbrew powszechnej opinii, nie pojawia się po rozstaniu z partnerką, tylko wraz z rodzicielstwem, w momencie pojawienia się dziecka. Wielu ludzi tego nie rozumie, a skala problemu jest dziś ogromna. Skuteczność egzekucji alimentów w sprawach prowadzonych przez ko-

Mam wrażenie, że w Polsce nie rozmawiamy o tym, czy alimenty trzeba płacić. Tylko dyskutujemy o tym, dlaczego akurat w tym jednym przypadku można ich nie płacić.

Często odnoszę podobne wrażenie. W Polsce jak zaraza przez lata szerzyło się przekonanie, że matki są wyludzczkami alimentów. Do tego stopnia to się zakorzeniło, że często bardziej współczujemy alimentciarzowi niż dziecku, które nie dostaje alimentów.

I co ciekawe, ten mechanizm działa niezależnie od statusu społecznego. Kiedyś wydawało się, że alimentów nie płacą głów-

ma określoną pozycję i jest w jakimś stopniu uprzywilejowany.

Nie płacą biedni i bogaci, znani i nieznani. BIG InfoMonitor podaje też, że statystycznie alimentciarz to mężczyzna w średnim wieku, ale nie płacą coraz młodsi. Że 52 proc. alimentarzy ma również inne zaległe zobowiązania, a w każdym województwie są osoby, które zalegają ponad 50 tys. zł. A pan definiuje jakieś określone typy alimentarzy?

Każda historia jest inna, ale rzeczywiście przez lata pracy zacząłem dostrzegać pewne schematy. Nadałem im nawet imiona,

dzięki czemu łatwiej zrozumieć, że za słowem „alimentarz” kryją się bardzo różni ludzie.

Jacy?

Np. Piotruś Pan. To chyba najbardziej charakterystyczny typ. Ma ok. 40-50 lat, ale emocjonalnie wciąż jest chłopcem, który nie dorósł do odpowiedzialności. Często wszedł dość późno w relację czy małżeństwo, ale w nim nie wytrzymał, bo nadal funkcjonuje pod parasolem swojej mamy. Zresztą matki Piotrusiów często synom relacje niszczą. Potem przed komornikiem tłumaczą jego zachowania, odbierają pisma od komornika, pomagają ukrywać majątek, przekonują, że to „przecież taki dobry chłopak”. Kiedy rozmawiam z matkami takich mężczyzn, bardzo często słyszę: „Panie komorniku, ona go tak skrzywdziła”. Albo: „A skąd on ma mieć pewność, że to jego dziecko?”.

Ma pan na Piotrusiów sposób?

Są dwie pewne rzeczy w życiu Polaków. Jedna to wiara, że na pewno będzie ich stać na spłatę kredytu, a druga to miłość matki do syna. Ta druga ma swoją granicę, gdy pojawia się pozew o alimenty do niej. Kiedy mamie Piotrusia Pana komornik wchodzi na emeryturę, pojawia się wstyd, złość i wtedy matka często mówi: „Oj, Piotruś, teraz przesadziłeś. Teraz to musisz iść do pracy”. Tylko wie pani, jaki jest problem z tą metodą?

Że ona nie będzie zastosowana, bo kobiety nie chcą pozywać matek byłych mężów?

Bingo. Takie sprawy można wyliczyć na palcach jednej ręki. Do mojej kancelarii czasami przychodzą kobiety, które ledwo wiążą koniec z końcem, mają troje dzieci na wychowaniu i utrzymaniu, były męż Piotruś Pan nie płaci, bo chroni go mamusia, a ta kobieta mi mówi, że to niehonorowo pozywać jego matkę, że ona zawsze była dobra kobiecina. Błędne koło.

Kolejny typ?

Smerf Ciamajda. Człowiek, który bardzo kocha dzieci, ciągle to powtarza, ale któremu nic się w życiu nie udaje. Zawsze ma jakieś usprawiedliwienie. Nie utrzymał pracy, bo szef był zły. Nie zapłacił alimentów, bo akurat zachorował. Nie znalazł nowego zajęcia, bo rynek trudny, przystanek daleko, a autobus jeździ rzadko. To człowiek, który odpowiedzialność za swoje niepowodzenia przerzuca na innych. Ni-



ROBERT DAMSKI

– komornik sądowy z Lipna, rekordzista w ściąganiu długów alimentacyjnych, od lat zaangażowany w działalność na rzecz poprawy jakości egzekucji sądowej, szczególnie w zakresie egzekucji alimentów.

gdy nie powie: „to moja wina”. Zawsze winny jest system, była partnerka, sąd, pracodawca. Na niego trudno znaleźć sposób, bo on nawet jak przyjdzie i obieca, że pójdzie do pracy, spłaci dług, to za chwilę tę pracę traci i znów jest w kropce.

Trzeci typ?

Lisek Chytrusek. Człowiek świetnie zorganizowany, nierzadko zamożny, na wysokim stanowisku. Często mieszkawiec większego miasta. Trudno go złapać, bo albo jest przed, albo w trakcie, albo właśnie wrócił z zagranicznego wyjazdu. Doskonale zna przepisy, albo ma wokół siebie ludzi, którzy je znają. Oficjalnie nie ma majątku, formalnie zarabia niewiele, ale zawsze pojawia się w idealnie skrojonym garniturze, pod kancelarię podjeżdża nowym samochodem, mieszka w przestronnym apartamencie. Jak? Firmę ma zapisaną na kogoś z rodziny, dom należy do nowej partnerki, pieniądze wpływają innymi kanałami. To człowiek, który z premedytacją organizuje swoje życie tak, aby uniknąć odpowiedzialności wobec własnych dzieci.

Który z tych typów spotyka pan najczęściej?

Chciałbym powiedzieć, że Piotrusia Pana albo Smerfa Ciamajdę, bo wtedy moglibyśmy mówić głównie o problemach życiowych czy uzależnieniach. Ale coraz częściej spotykam Lisków Chytrusków. Ludzi, którzy mogliby płacić alimenty, ale nie chcą. To jest najtrudniejszy typ, jakiego spotykam. Bo nie walczę wtedy z biedą czy z chorobą. Walczę z czyjąś świadomą decyzją.

Jak daleko potrafią posunąć się ojcowie, żeby nie płacić alimentów?

Czasami bardzo daleko. Potrafią zniknąć. Rozpłynąć się. Pamiętam ojca, który uznał, że najlepszym prezentem na osiemnaste urodziny będzie poinformowanie dziecka, że od następnego dnia nie zapłaci już ani złotych alimentów. Był przekonany, że wraz z osiągnięciem pełnoletności obowiązek alimentacyjny wygasa.

Tymczasem prawo mówi coś zupełnie innego. Jeśli dziecko nadal się uczy, obowiązek alimentacyjny istnieje.

Mnie najbardziej poruszyło, że dla tego ojca osiemnaste urodziny dziecka nie były momentem wejścia w dorosłość, tylko próbą uwolnienia się od własnego obowiązku.

Coraz częściej spotykam się z próbami przekonywania nastoletnich dzieci, żeby same zrezygnowały z alimentów. Ojciec mówi: „Jesteś już dorosły, poradziś sobie” albo wzbudza litość: „Ja jestem schorowany, nie daję już rady, a ty jesteś młody i silny”. Albo czasami obiecują samochody, nowy telefon, wakacje. Przekonują, że alimenty nie są potrzebne; kłamią, że będą kupować dziecku różne rzeczy, byle „matka na głupoty nie wydawała”. To jest bardzo trudna sytuacja, bo młody człowiek zostaje postawiony przed wyborem między lojalnością wobec ojca a własnym bezpieczeństwem finansowym.

Wspomniał pan o matce wydającej na głupoty. Często alimenty są narzędziem walki z byłą partnerką?

Niestety tak. Rodzice bardzo często budują między sobą mur pretensji, oskarżeń i chęci odwetu. I z czasem ten mur tak rośnie, że rodzice przestają widzieć zza niego dziecko. Mężczyzna idzie do sądu, ma zasądzone wyższe alimenty, niż by chciał, albo nie uzyskuje tego, co by chciał; czuje się ograny, więc w irracjonalny sposób próbuje ratować resztki swojej godności i choć ma pieniądze, specjalnie przelewa je po terminie. Albo wpłaca tylko część. Czasami słyszę, jak facet mówi: „Niech sobie poczeka”, bo wie, że np. mija właśnie termin wpłaty za obóz albo dziecko czeka wizyta u ortodonta. Czasami ojciec wpisuje w tytule przelewu coś obraźliwego, albo: „na paznokcie”, „na fryzjera”. To ma być sygnał dla byłej partnerki: „Wciąż mam władzę, mogę ci uprzykrzyć życie, decyduję”.

Przypomina mi się taki mem krążący po sieci z hasłem w stylu: „Brawa dla wszystkich matek, które za tysiąc złotych alimentów są w stanie utrzymać

siebie, dom, dzieci i jeszcze im starcza na ciuchy, kosmetyczkę i fryzjera”. Jakie są średnie zasądzone alimenty w Polsce?

Średnio 1619 zł na dziecko. Ale niedawno miałem też sprawy, w których ojcowie mieli płacić po 500 zł. A i tak nie płacili.

A dług alimentacyjny rośnie.

Przekroczył już 17 mld zł. Milion dzieci nie dostaje alimentów. To jest zjawisko społeczne, któremu od lat biernie się przyglądamy. Są dłużnicy, którzy zalegają swoim dzieciom po 60 tys. zł i więcej. To są pieniądze, których te dzieci nigdy nie odzyskają. Dlatego nie waham się mówić, że alimentciarz to złodziej.

Ale on okrada dziecko nie tylko z pieniędzy.

Okrada je z czasu i z godności. To jest największa kradzież. Jeśli matka musi pracować po godzinach, żeby utrzymać dziecko, to nie ma jej przy odrabianiu lekcji, nie ma na treningu, nie ma na kolacji. Nie ma jej, kiedy dziecko jej potrzebuje. Tego dziecka natomiast nie ma często tam, gdzie być powinno. Nie pojedzie na wycieczkę szkolną, nie pójdzie do kina z kolegami, bo matki nie stać. Potem nie zostanie zaproszone na urodziny, na imprezę. Przemoc ekonomiczna, a taką jest niepłacenie alimentów, rodzi wykluczenie społeczne tych dzieci. Zaburza poczucie bezpieczeństwa, godności, pewność siebie.

Dlaczego na to pozwalamy?

Bo nie odrobiliśmy zadania domowego jako społeczeństwo. Nie uregulowaliśmy alimentów, zostawiliśmy wolność sądom. Na ich wyrokach można budować dowolną narrację. W Polsce ta narracja oparata jest nie na trosce o dzieci, ale na współczuciu do dłużników oraz na poczuciu bezkarności. Przez 20 lat w nią wierzyliśmy, więc teraz trudno tak po prostu pstryknąć palcem, żeby coś zmienić.

Próbę podjęła wiceminister Zuzanna Rudzińska-Bluszcz, publikując tabele alimentacyjne, których jestem wielkim zwolennikiem, ale o ile ich zamysł był dobry, o tyle kwoty były źle wyliczone i skonstruowane. I pomyśl upadł.

I znów znaleźliśmy się w punkcie wyjścia.

Tak jest często z pomysłami zmiany prawa w kwestii alimentów, dzieci, ro-

dzin. Pamiętam zmianę przepisów dotyczących odpowiedzialności karnej za niepłacenie alimentów. Gdy zaczęto o niej głośno mówić, do kancelarii nagle zaczęli zgłaszać się dłużnicy, których nie widzieliśmy od lat. Przestraszyli się konsekwencji. Ale gdy okazało się, że w praktyce niewiele się zmieniło, że odpowiedzialność istnieje tylko na papierze, część z nich znowu przestała płacić.

Teraz minister Waldemar Żurek pracuje znowu nad zmianami w prawie. Chce m.in. natychmiastowych alimentów, powiązania alimentów z płacą minimalną, opieki współdzielonej. Jej zwolennicy przekonują, że może ograniczyć konflikty wokół alimentów. Pan też tak uważa?

Sama idea nie jest zła. Jestem zwolennikiem każdego rozwiązania, które służy dziecku. Ale mam wrażenie, że za dużo o tej pieczy rozmawiamy nie z perspektywy dziecka, tylko alimentów. A to nie to samo. Jeśli dwoje odpowiedzialnych rodziców potrafi ze sobą współpracować, szanuje się nawzajem i rzeczywiście wspólnie wychowuje dziecko, taka opieka może świetnie funkcjonować.

Ale wiem z doświadczenia, że o opiekę naprzemienną często stara się Piotr Pan, licząc, że ograniczy alimenty. Dlatego sama piecza współdzielona niczego nie rozwiąże. Bo nie zawsze da się podzielić odpowiedzialność po połowie. Nie da się podzielić po równo chorób dziecka, stresu, nocnych wyjazdów na izbę przyjęć czy troski. Dziecko to nie jest wzór matematyczny.

Wyobraźmy sobie dwójkę rodziców, którzy opiekują się dzieckiem po równo. Jedno umawia wszystkie wizyty lekarskie, pamięta o badaniach, kupuje książki, organizuje korepetycje. Drugi mówi: „przecież mamy opiekę współdzieloną”. Czy rzeczywiście?

Mam wrażenie, że przez całą naszą rozmowę wracamy do jednej myśli. Że w sporach o alimenty najłatwiej zgubić dziecko.

Bo tak jest. Największym problemem systemu alimentacyjnego nie jest brak przepisów, tylko to, że na alimenty patrzymy oczami dorosłych. A alimenty to jest od początku do końca sprawa dziecka i historia o dziecku. ▲



Mecenas Festiwalu



19.

LETNI FESTIWAL
MUZYCZNY

WAWEL O ZMIERZCHU

19th Summer Music Festival
Wawel Royal Castle at Dusk

30.07-9.08.2026

Zamek Królewski
na Wawelu

Zeskanuj kod QR
i sprawdź program
- Kup bilet -



Scan the QR code to
view the programme
- Buy ticket -

Organizatorzy Festiwalu

Honorowy patronat



Minister Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Mecenas Festiwalu

Sponsorzy Festiwalu



Patroni medialni Festiwalu



Bystra oszustka

Anya Taylor-Joy: Byłam sfrustrowana tym, że widziałam na ekranie wielu moralnie niejednoznacznych mężczyzn, ale nie tak wiele moralnie niejednoznacznych kobiet

TEKST JOANNA WRÓŻYŃSKA

Freud zapewne miałby wiele do powiedzenia o relacji tej dwójki – mówiła Anya Taylor-Joy dziennikarzom o związku Lucky i Cary'ego, bohaterów nowego, siedmioodcinkowego miniserialu „Lucky”. – Oboje wiążą się z kimś, kto jest w jakimś sensie wersją ich rodziców, a jednocześnie rozpaczliwie próbują się od tego uwolnić i nie powielać tych samych wzorców.

Fabula oparta jest na bestsellerowej powieści Marissy Stapley, wydanej w Polsce przez Świat Książki, ale nie jest to dokładna adaptacja. – Jako producenci zakochaliśmy się w tej książce i pokochaliśmy jej bohaterów. Jonathan Tropper, nasz showrunner [twórca serialu], stwierdził: „Uwielbiam te postacie, postawmy na ich drodze jak najwięcej kłopotów. Co możemy zrobić, żeby podnieść stawkę i stworzyć z tego naprawdę porywający, pełen napięcia serial?” – opowiadała Anya Taylor-Joy, która jest także producentką „Lucky”. – To był pierwszy sygnał, że odejdziemy nieco od książkowego pierwowzoru. Na szczęście Marissie Stapley spodobał się ten pomysł i nas wspierała.

– Dla aktora możliwość pracy na materiale źródłowym to ogromny prezent. Jakby ktoś już na samym początku dał ci coś, na czym możesz budować postać – dodał Drew Starkey, który wcielił się we wspomnianego Cary'ego. – Pamiętam jednak rozmowę z Jonathanem, który zaoferował mi przede wszystkim ogromne poczucie swobody. Często pracuje się w ramach postaci, która ma już swoich odbiorców i określone oczekiwania z nią związane, i tak z pewnością było w tym przypadku. Ale Jonathan dał nam praktycznie pełną wolność twórczą. Dzięki temu mogliśmy naprawdę eksperymentować z tą postacią i bawić się jej interpretacją, co było wspólnym doświadczeniem.

WYŚCIG Z CZASEM

Luciana, nazywana przez wszystkich Lucky, to zadziorna, bystra i przenikliwa oszustka, którą w przestępczy świat wprowadził ojciec John (Timothy Olyphant). W notatkach produkcyjnych możemy przeczytać, że „nauczył ją wszystkiego, co sam umiał, z wyjątkiem tego, jak wyjść z opresji bez szwanku”. Cóż, tę wiedzę Lucky musi zdobyć sama i wiele wskazuje na to, że zamierza próbować do skutku. – Uwielbiam filmy o oszustach. Zwykle są bardzo stylowi, pełni seksapilu, przystojni w stylu George'a Clooney'a. Jednak tym, co wydało mi się naprawdę interesujące w „Lucky”, jest to, że serial pokazuje zupełnie inne oblicze osoby, która nie potrafi usiedzieć w miejscu, musi nieustannie być w ruchu, żeby przetrwać, a jednocześnie naturalnie żyje kosztem innych. Tego aspektu świata oszustów wcześniej nie widziałam – wyjaśniała Taylor-Joy. – Moja wewnętrzna feministka była trochę sfrustrowana tym, że widziałam wielu moralnie niejednoznacznych mężczyzn, ale nie tak wiele moralnie niejednoznacznych kobiet. Chciałabym, żeby ludzie byli traktowani po prostu jak ludzie, i Lucky w tym kontekście wydała mi się bardzo interesującą postacią. Zakochałam się w niej już podczas lektury książki, ale im bardziej rozwijaliśmy świat, w którym miała funkcjonować, tym bardziej fascynowała mnie jej tajemniczość. To właśnie za nią postanowiłam podążać, budując tę postać.

W zbrodni i w życiu partneruje jej Cary, który wywija jej pewnego dnia brzydki numer i znika z torbą pieniędzy. Dziewczyna rozpoczyna wyścig z czasem, FBI i Priscilla – matką swojego męża, która niefortunnie dla Lucky jest też ważną personą w mafijnych strukturach. – Biorąc pod uwagę wszystko, przez co przeszła, wyrządzone jej szkody oraz sposób, w jaki decyduje się sobie z tym radzić, Priscilla ociera się o bycie socjopatką – tłumaczy grająca ją Annette Bening. – Jeśli natomiast chodzi o jej syna i więź z nim, to ma poczucie winy zwią-

zane z tym, co wydarzyło się, gdy był dzieckiem, i z tym, przez co przeszedł. Jest taki moment, kiedy naprawdę to do niej dociera i chce się poświęcić, ale też taki, w którym zastanawia się, czy byłaby w stanie go pograżyć. Czy to zmniejsza jej żal wobec niego? Nie sądzę. Właśnie to podobало mi się w scenariuszu. Czy jest gotowa wykorzystywać swojego syna? Tak, myślę, że jest. Czy jest zdruzgotana, kiedy coś mu się dzieje? Też. Obie te rzeczy są prawdziwe jednocześnie.

Także Cary nie jest postacią jednoznaczną. – To, czego zawsze szukam w postaci, to różnorodność i odmiennosc. Anya wciągnęła mnie do tego świata i bardzo skutecznie mi go sprzedawała – mówił Starkey, a Anya Taylor-Joy dodała, że od razu wiedziała, że będzie świetnym Carym: – Wnosi do roli zdolność do bycia jednocześnie bardzo wrażliwym i emanowania siłą. Ta postać musiała być kimś, za kim widzowie będą tęsknić, a jednocześnie kimś, kogo będą chcieli wysłuchać, nawet po tym, jak zrobi coś, co jest niewybaczalne. Drew to ma. Pamiętam, że mieliśmy scenę walki, którą kręciliśmy przez kilka dni, i były momenty, w których myślałam: „Dlaczego ja ci teraz w ogóle współczuję, przecież zrobiłeś coś złego!”. Dokładnie tego potrzebowaliśmy od Cary'ego. A przy okazji zyskałam przyjaciela.

DYSFUNKCYJNE RODZINY

– W powietrzu wisi pytanie o przeznaczenie i los. Wydaje mi się, że wszyscy zostaliśmy w pewnym sensie wychowani w przekonaniu, że jesteśmy stworzeni do tego, by podążać jedną, określoną drogą. Tymczasem te dwie postacie, a zwłaszcza Cary, ciągle się zmieniają i konfrontują z własną przyszłością, i nie chcą iść ścieżką, która została im wytyczona. Myślę, że Cary spotkał po prostu kogoś, kto ma podobne doświadczenia, choć pochodzi z zupełnie innego świata. Do pewnego stopnia oboje są w stanie kształtować swój los i w tym jest właśnie nadzieja – przekonywał Starkey.



„LUCKY”, wyst.: Anya Taylor-Joy, Annette Bening, Drew Strkey, Timothy Olyphant, Aunjanue Ellis-Taylor. Premiera w Apple TV 15 lipca, kolejne odcinki co tydzień

Zapytana o to, co przesądza o uniwersalności serialu, Anette Bening nie miała wątpliwości: – Dysfunkcyjne rodziny! To coś, co łączy ludzi na całym świecie, prawda? To historia o ludziach, którzy wkroczyli w świat zbrodni, są moralnie skompromitowani i zajmują się przekrętami podatkowymi, żeby wyludzić pieniądze od rządu. Mam nadzieję, że to po prostu rozrywka, którą ludzie mogą się cieszyć po ciężkim dniu pracy.

Anya Taylor-Joy: – Nie ma wątpliwości, że rodziny nas kształtują, ale ja jednak wierzę w jednostkę. Myślę, że możesz wybrać, kim chcesz być, i możesz podejmować decyzje – zarówno te dobre, jak i złe – które nie mają nic wspólnego z tym, skąd pochodzisz. Ostatecznie wierzę w wolność wyboru.

CENA WOLNOŚCI

Silą napędową Lucky jest walka o przetrwanie w świecie, w którym zaufanie jest luksusem, a zdrada codziennością. To, co dla wszystkich zaczyna się jako próba odzyskania ukradzionych pieniędzy, przeradza się w rozliczanie z traumą i w pytanie o cenę

wolności. Na pierwszy plan wysuwają się też ciekawie napisane, niejednoznaczne postacie kobiece. Agentka FBI Billie Rand (Aunjanue Ellis-Taylor) to godna oponentka dla Lucky i Priscilli, które są ulepione z podobnej gliny. – Choć są zupełnie innymi typami ludzi, obie wiele przeszły. Priscilla podziwia Lucky właśnie z tego powodu. Wie też, że ma naprzeciw siebie naprawdę groźną przeciwniczkę. W ich relacji wiele sprowadza się do pytania: Jak daleko jesteś w stanie się posunąć, żeby zdobyć to, czego chcesz? – opowiadała Annette Bening. – W dobrze napisanych historiach ma się do czynienia z postaciami, które mają głębię, przeszłość i powody, dla których znalazły się w miejscu, w którym są. W przypadku Priscilli prawdziwe są obie te rzeczy. Jest dla mnie osobą, która oczywiście chce odzyskać pieniądze. Kieruje nią chciwość, ale jednocześnie przekonanie, że te pieniądze jej się należą. Bardzo mocno widać to w relacji z jej szefem, który był również jej kochankiem, pod którego wpływem pozostaje, i który trzyma ją twardą ręką. W pewnym sensie sama zgodziła się na taki układ,

ale jednocześnie bardzo go za to nienawidziła. Dlatego podejrzewam, że u podstaw jej zachowania leży trauma. Przypuszczam, że niemal każdy poważny przestępca mógłby wskazać jakiś element traumy ze swojego życia, który doprowadził go do miejsca, w którym się znalazł. Z pewnością dotyczy to także Priscilli.

Zapytana o to, co jej zdaniem bardziej zaskoczy widzów: niebezpieczeństwo, z którym musi się zmierzyć Lucky, czy decyzje, jakie jest gotowa podjąć, żeby przetrwać, Anya Taylor-Joy odpowiedziała: – Myślę, że ani jedno, ani drugie. Raczej to, że każda z tych postaci ma w pewnym sensie rację. Zamiast dzielić bohaterów na dobrych i złych oraz z góry podpowiadać, co widz powinien o kimś myśleć i jak się wobec niego czuć, udało nam się stworzyć wystarczająco dużo moralnej niejednoznaczności i dać każdej postaci na tyle przekonujące motywacje, żeby widz nie był stuprocentowo pewien, po której stronie stanąć. I jeśli właśnie taki efekt uda nam się osiągnąć, to znaczy, że dobrze wykonaliśmy swoją pracę. ▲



Pierwsza szefowa w *kosmosie*

Eileen Collins dowodziła misją kosmiczną jako pierwsza kobieta w historii.
„Aby być równe z mężczyznami, zawsze musiałyśmy być lepsze”



Astronautka Eileen M. Collins, dowódczyni misji, unosi się w stanie nieważkości na pokładzie promu Columbia. Spędziła z załogą na orbicie okołoziemskiej niemal pięć dni w ramach misji STS-93. Astronauci wypuścili w przestrzeń najpotężniejszy na świecie teleskop rentgenowski i przystąpili do serii eksperymentów prowadzonych wewnątrz kabiny.

**Z EILEEN COLLINS,
OFICERKĄ SIŁ POWIETRZNYCH
USA I ASTRONAUTKĄ NASA,
ROZMAWIA EWELINA
ZAMBRZYCKA-KOŚCIELNICKA**

Eileen, gdy patrzy się na to z boku, trudno nie pomyśleć, że przebiłaś się przez szklany sufit prosto do gwiazd. Jesteś pierwszą kobietą, która pilotowała wahadłowiec i pierwszą, która dowodziła misją kosmiczną. Zaczęłaś w wieku 20 lat (1976 r.) od specjalistycznych szkoleń pilotażowych, także dla pilotów wojskowych. Początki były trudne?

– Podczas szkoleń byłyśmy obserwowane i porównywane z mężczyznami, żeby sprawdzić, czy potrafimy latać tak samo jak oni.

Udało się, ogłoszono sukces.

– Tak, okazało się, że kobiety potrafią latać przynajmniej równie dobrze, co mężczyźni. Choć, prawdę powiedziawszy, to

Collins: Najbardziej
pomaga jedno: bycie
naprawdę dobrą w tym,
co się robi,
bycie najlepszą

aby być równe, zawsze musiałyśmy być lepsze. Ukończyłam szkolenie w 1979 r. i wówczas dostałam swoje pierwsze „skrzydelka” (ang. *wings*). To specjalna odznaka pilota wojskowego, która przypinana jest do munduru po ukończeniu szkolenia lotniczego. W armii amerykańskiej zdobycie skrzydełek oznacza uzyskanie oficjalnych uprawnień wojskowego pilota – to jeden z najbardziej prestiżowych symboli w lotnictwie wojskowym.

Wejście do tego męskiego środowiska musiało być niemalym wyzwaniem. Co było najtrudniejsze?

– Latanie. Najtrudniejsze było samo latanie. To nie znaczy, że nie czułam takiej ogólnej presji. Nauczyłam się wówczas, że kobiecie, która jako jedyna znajdzie się w jakimś środowisku – czy to w klasie, czy w zespole, czy ubiegając się o awans – naj-

bardziej pomaga jedno: bycie naprawdę dobrą w tym, co się robi, bycie najlepszą. Ja całkowicie skupiałam się na zadaniu. Czułam, że jedynym wyjściem jest zostać nie najlepszą pilotką, jaką mogłam być.

Kiedy padały złośliwe komentarze, kiedy ktoś nie pozwalał mi czegoś zrobić albo odwrotnie – traktował mnie z przesadną pobłażliwością właśnie dlatego, że jestem kobietą – starałam się to ignorować i nie pozwolić, żeby mnie to rozbilo. – Pytałam siebie: jak wykonać najlepsze lądowanie? Jak zrobić najlepszy manewr akrobatyczny? Co muszę przestudiować, żeby zdać egzaminy? Zauważyłam też, że niektórzy z kolegów mają kłopoty ze szkoleniem. Zaczęłam im pomagać. Pytałam, jak poszedł lot, i razem analizowaliśmy, co można poprawić. Nie byłam instruktorką, byłam jeszcze kursantką – ale sądzę, że chłopcy zrozumieli, że nie przyszedłam tu konkurować z nimi, lecz grać do jednej bramki. To bardzo pomogło. Koledzy z mojego rocznika byli wspaniali. Tak naprawdę problemy stwarzała część kadry średniego szczebla. Piloci, którzy sami walczyli o awans i własne miejsca w kokpitach. Z perspektywy czasu widzę, że po prostu się bali. Patrzyli, jak do ich dotychczas wyłącznie męskiej domeny wchodziły kobiety kilka lat od nich młodsze, i różnymi sposobami próbowali je zniechęcić. Ale nawet oni stanowili wyraźną mniejszość. Seniorzy i dowódcy byli bardzo otwarci na kobiety, podobnie jak nasi rówieśnicy.

A później trafiłaś do elitarnego grona pilotów testowych. Bardzo trudny, szalenie wymagający zawód, do którego trafiają tylko najlepsi.

– Rok przede mną szkołę pilotów testowych ukończyła jedna kobieta. Ja byłam druga. Dodam istotny kontekst: kiedy przechodziłam szkolenie lotnicze i szkołę pilotów testowych, kobietom wolno było latać jedynie na maszynach niewalczących – szkolnych, transportowych, tankujących. Zakaz latania na samolotach bojowych obowiązywał aż do 1993 r., kiedy prawo zostało zmienione. Lubię mówić, że żadna kobieta nie zgłasza się ochotniczo na pilota wojskowego, jeśli nie ma do tego pasji, chęci i umiejętności, żeby sprostać temu wyjątkowo wymagającemu zajęciu. Kobiety, które decydują się latać w wojsku, są z natury twardymi zawodniczkami. Nie obawiają się przeciwstawiać i potrafią rywalizować z każdym.



Eileen M. Collins podczas procedury próbnego uruchomienia silników („hot-firing”) promu Discovery 3 lutego 1995 r. - pierwszego dnia misji STS-63

Powiedziałas właśnie coś bardzo ważnego – że kobiety muszą umieć rywalizować. Nie wiem, jak było w twoim przypadku, ale mnie i moje koleżanki raczej zniechęcano do rywalizacji w życiu.

– Myślę, że w moich czasach było nawet gorzej. Weźmy najbardziej kojarzący się z rywalizacją temat, czyli sport. Gdy byłam mała, niewiele dziewcząt uprawiało sport. Oczekiwano od nas raczej kibicowania niż włączania się w rywalizację. Zresz-

W moim pokoleniu kobiety konkurowały głównie o chłopaka albo o to, kto ma ładniejsze ubrania – to nie był zdrowy rodzaj rywalizacji. Dziś jest inaczej. Można rywalizować i pozostać siostrami.

Siostrzeństwo daje siłę. Gdy o nim myślę, zawsze przychodzi mi na myśl Mercury 13 – trzynaście kobiet, które mogły zostać astronautkami, jednak nie zostały potraktowane poważnie. Miałas okazję z nimi porozmawiać?

Collins: Lubię presję. Lepiej działałam pod presją – mobilizuje mnie i uświadamia, jak ważne jest to, co robię

tą próbowałam swoich sił w cheerleadingu. Zgłosiłam się na eliminacje do grupy, ale nie przeszłam selekcji. Na szczęście to podejście do sportu i samej rywalizacji się zmienia. Uważam, że sport daje odporność fizyczną, psychiczną i emocjonalną. Uczy pracy zespołowej i zdrowej rywalizacji. Mam córkę i od małego zapisywałam ją na różne dyscypliny. Mam wrażenie, że co roku trenowała coś innego. I to jej naprawdę bardzo pomogło.

Myślę, że kobiety, które wchodziły dziś na rynek pracy, a mają za sobą doświadczenia sportowe albo np. szkolne debaty, są w lepszej pozycji, bo potrafią rywalizować i jednocześnie zachować przyjaźnię.

– W 1994 r. spotkałam się z dziewięcioma lub dziesięcioma z nich. To były cudowne, wyjątkowe kobiety: doświadczone i bardzo inteligentne pilotki. I wiesz, faktycznie poczułam z nimi więź – taką głęboko siostrzaną więź. Dziś żyje już tylko jedna z nich – Wally Funk**. Jest mi smutno, że odeszły, nie zaznawszy lotu w kosmos. Wierzyły, że tę szansę otrzymają. Że wraz z astronautami pionierskiego programu Mercury będą mogły trenować, polecieć w kosmos i zostawić po sobie ślad. Jednak program został anulowany. Tak po prostu. Musiało minąć kilkadziesiąt lat, by pierwsza kobieta zasiadła w fotelu pilota promu kosmicznego. Tą kobietą byłam właśnie ja.

Chciałabym dobitnie podkreślić, że do programu Mercury 13 wybrano naprawdę najlepsze z najlepszych. Te kobiety przeszły rygorystyczne testy fizyczne i psychologiczne, w wielu kategoriach przewyższając mężczyzn. Nie mam wątpliwości, że wszystkie one mogły latać w kosmos.

Serial „For All Mankind” oddał im hołd. W filmie otrzymały swoją szansę i okazały się niezastąpione.

– Niestety w realnym życiu musiałyśmy dłużej czekać na swoją szansę.

Szanse, której ty jesteś spełnieniem. Jesteś jedną z nielicznych kobiet, które pilotowały prom kosmiczny, i pierwszą dowódczynią wahadłowca. Jak radziłaś sobie z presją bycia pionierką?

– Jestem pierwszą i jedną z raptem trzech kobiet, które pilotowały promy kosmiczne. A odnośnie do presji – wiele zależy od podejścia do niej. Ja lubię presję. Myślę, że lepiej działać pod presją – mobilizuje mnie i uświadamia, jak ważne jest to, co robię. Kiedy byłam pilotką, a potem dowódczynią, presja pozwalała mi uczyć się i robić więcej

niż zwykle, bo nie chciałam popełniać błędów. Wiedziałam, że wszyscy patrzyli. I bardzo nie chciałam, żeby ktokolwiek powiedział: „O, proszę, kobieta popełniła błąd”.

Mam czasami wrażenie, że społeczeństwo funkcjonuje według pewnego nefajnego schematu. Mówi on, że gdy mężczyzna się myli, jest to błąd tego jednego człowieka. Jednak gdy myli się kobieta, automatycznie wszystkie kobiety popełniają błąd.

– Właśnie tak o tym myślałam! Zdawałam sobie sprawę, że daję przykład kobietom na całym świecie. Oraz że jeśli popełnię błąd, będzie to rzutowało nie tylko na postrzeganie mnie, ale wszystkich kobiet astronautek, pilotek i innych, które chcą po prostu spełniać swoje marzenia. Trzymałam się myśli, że jeśli po prostu dobrze wykonam misję i nie popełnię poważnego błędu, zostanie to uznane za sukces. I tak się stało. Oczywiście drobne potknięcia zdarzają się każdemu – ale wszyscy wróciliśmy cali, nie wbiłam się w stację kosmiczną podczas manewru ręcznego dokowania, nic złego się nie wydarzyło.

Myślę, że kobiety astronautki nadal odczuwają trochę tej presji. Pewnie minie jeszcze kilka pokoleń, zanim w pełni wyróżnimy z tego przestarzałego przekonania, że kobiety muszą być lepsze od mężczyzn, a jeśli nie są – to może nie powinny tu być.

W NASA widzę to coraz rzadziej. Ludzie pytają: czy potrafisz wykonać tę misję? Czy poradzisz sobie z awarią? Czy masz pomysły, jak robić rzeczy lepiej? Na tym się skupiamy. Nie na płci, nie na kolorze skóry, nie na narodowości.

Dowodziłaś misją kosmiczną nazwaną „Return to Flight” („Powrót do lotów”). Był to pierwszy lot promu kosmicznego po katastrofie Columbii, w której zginęło siedmioro astronautów. Jak zachowywać spokój i skupienie w tak trudnych sytuacjach?

– To wymaga dwóch rzeczy. Pierwszą jest wiedza zdobyta przez lata nauki, setki godzin treningów na symulatorach. Niezbędna jest też doskonała znajomość systemów promu. Jeśli coś się psuje, wiem, jaką procedurę uruchomić i jak przywrócić system do pełnej sprawności.

OGŁOSZENIE

14-15-16.08

Olsztyn green festival

NA WARMII I MAZURACH




VITO BAMBINO

KACPERCZYK

KAYAH

PEZET

ARTUR ROJEK

SISTARS

SOKÓŁ

GRZEGORZ TURNAU

ZALEWSKI

BASS ASTRAL

HUBERT.

IGO

RALPH KAMINSKI

KASIA LINS

JOHN PORTER

KASIA SIENKIEWICZ

MERY SPOLSKY

VOO VOO

MISIA FURTAK · HELA · BARTEK KRÓLIK · OFELIA · PRZEBIŚNIEGI · RUNFORREST

SONBIRD · THE CASSINO · ZABŁOCKI/MOZIL · PIOTR ZIOŁA

3 SCENY, 30 KONCERTÓW, TEATRY I STAND-UPY

NAD JEZIOREM UKIEL

A → Z

POCZUJ LATO! ☺

ORGANIZATOR: wyborcza.pl

WSPÓŁORGANIZATOR: Olsztyn

PARTNER GŁÓWNY: #gen Warmii i Mazur

PARTNER STRATEGICZNY: LOTTO

SPONSORZY STRATEGICZNI: ING, Energa GRUPA ORLEN, Kinder bueno, Casablanca, LECH

PARTNER TECHNOLOGICZNY: NASK

PARTNER EXO: dobra energia by wrocław

PARTNERZY EDUKACYJNI: KORTO SFERA, Centrum Innowacji i Transferu Technologii

PARTNER TERENU: OSIR

PARTNERZY MEDIALNI: ZET, chili, BAZETA.PL, ams, HELIOS media

SPONSORZY: Cocolino, essence, instax, Jordan*, Alcon, MICHELIN, SERWIS NOSOWICZ, MPEC, zook, GALERIA WARMIEŃSKA, AURA, K, COBET, REKOPOL, REMONDIS

WSPÓŁORGANIZATOR: HELIOS media

eprasa.pl c336d14da0

Druga kwestia to mądrość i coś, co nazywałabym intuicją opartą na doświadczeniu – rozumienie, jak działa mój zespół, jak komunikujemy się między sobą i z centrum kontroli lotów. Mogę podać przykład. Podczas tej misji centrum kontroli zapytało, czy moja załoga jest w stanie wykonać czwarty spacer kosmiczny – chociaż zaplanowaliśmy i trenowaliśmy tylko trzy. Żaden podręcznik nie dał mi odpowiedzi na to pytanie. Obserwowałam ludzi: jak się czują po trzech spacerach? Pytałam ich wprost. Pytałam też tych członków załogi, którzy sami nie wychodzili na zewnątrz, ponieważ ich zadaniem jest zapewnienie wsparcia.

To była decyzja oparta na ocenie sytuacji. Do tego pierwszego rodzaju decyzji – obiektywnych – przygotowuje szkolenie. Do drugiego – subiektywnych – potrzeba lat doświadczenia i lat popełniania błędów, bo błędy to najlepsi nauczyciele. Opracowałam nawet czterostopniowy proces radzenia sobie z pomyłkami. Krok pierwszy: przyznaj się do błędu. Krok drugi: napraw błąd. Krok trzeci: zrób coś, żeby ten błąd się nie powtórzył. Krok czwarty: idź dalej i psychicznie zamknij temat. Nie rozpamiętuję, bo skupienie na poprzednim błędzie sprzyja kolejnemu. Tego uczyłam też swoje dzieci i tego używaliśmy podczas odpraw po lotach.

Chciałam zapytać jeszcze o coś osobiste. W wywiadzie dla „People” wspominałaś o ojcu, który miał problem z alkoholem. Jak poradziłaś sobie z dorastaniem przy jego boku? Jak to możliwe, że jego alkoholizm cię nie złamał? – Mój ojciec, mimo swojej choroby, był bardzo mądrym człowiekiem. Od 19. roku życia pracował za barem rodzinnego pubu. Przez lata słuchał ludzi, nasłuchiwał się naprawdę wielu historii osób, które straciły wszystko. Rozumiał ich. Jako barman uczysz się czytać ludzi. Zawsze mnie to fascynowało; chciałam mieć tę samą umiejętność.

Jego uzależnienie od alkoholu wywoływało brak poczucia bezpieczeństwa. Nigdy nie wiedziałam, czy do domu wróci wspaniały tata czy rozgniewany, kłócący się z mamą obcy człowiek. To nieprzewidywalne środowisko było bardzo trudne dla mnie jako dziecka.

Na szczęście mama wyjaśniała nam, mi i mojemu rodzeństwu, że alkoholizm to choroba – tak jak każda inna. Dowiedziałam się o Anonimowych Alkoholikach



Na Festiwalu Fantastyki
Pyrkon 2026

EILEEN MARIE COLLINS

ur. 19 listopada 1956 r. w Elmira w stanie Nowy Jork. Amerykańska astronautka, pilotka wojskowa i emerytowana oficerka Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych w stopniu pułkownika. Ukończyła matematykę i ekonomię na Syracuse University, posiada także tytuły magisterskie ze studiów operacyjnych oraz nauk o kosmosie. W 1990 r. została wybrana do korpusu astronautów NASA. W 1999 r. jako pierwsza kobieta została dowódczynią promu kosmicznego. Jest mężatką, ma dwoje dzieci.

kach i ich dwunastostopniowym programie. Nauczyłam się też modlitwy o pogodę ducha, która mówi o tym, co możemy kontrolować, a czego nie. Zrozumiałam, że nie warto tracić energii na rzeczy, na które nie mamy wpływu. Żyć dniem dzisiejszym – choć z natury lubię planować, w chwilach, gdy życie przytłacza, trzeba brać je dzień po dniu. Jedną z najważniejszych lekcji, jaką dał mi ojciec: zawsze stawiaj się na miejscu drugiego człowieka. To powtarzał mi wielokrotnie. I to właśnie pomogło mi być lepszą liderką – gdy musiałam prowadzić trudne rozmowy, pamiętałam, żeby widzieć sytuację oczami drugiej osoby.

Niezależnie od tego, ile się nauczyłam, ile doświadczyłam i ile rozumiem, wciąż popełniam błędy. Ale staram się. Powtarzam sobie, że błędów nie popełnia tylko ten, kto nic nie robi.

Teraz mamy kobiety pilotki, kobiety astronautki, kobiety kierujące największymi

szymi laboratoriami badawczymi świata. Masz takie poczucie, że w pewnym sensie otworzyłaś im wszystkim drogę?

– Przypisywane Newtonowi powiedzenie brzmi: „Mogę patrzeć dalej, ponieważ stoję na ramionach gigantów”. Kiedy patrzę wstecz – na Mercury 13 i na pilotki, które latały przede mną, jak Amelia Earhart w latach dwudziestych i trzydziestych – widzę, że one uutorowały nam drogę. My z kolei ułatwiłyśmy ją młodszemu.

Gdy zaczynałam, kobietom nie wolno było latać samolotami bojowymi. Ta zasada zmieniła się w 1993 r. – i jestem przekonana, że stało się tak dlatego, że kobiety latały naprawdę bardzo dobrze. Dzięki nim pytanie o powód, dla którego należy trzymać kobiety z dala od wysoko wydajnych maszyn, przestało być zasadne. Prawo zmieniono. Myślę, że moje pokolenie miało w tym swój udział. Pamiętam też, że kiedy ja przyszedłam do programu kosmicznego, poprzedził mnie już pokoleniowy sukces kobiet specjalistek misji: Sally Ride i pierwszych sześciu kobiet w załogach promów. Kathy Sullivan jako pierwsza kobieta wyszła w przestrzeń kosmiczną podczas lotu promu. Ich doskonała robota ułatwiła moją ścieżkę. Na koniec opowiem ci pewną anegdotę. Przez lata machałam ręką na te wszystkie pytania o bycie pierwszą kobietą pilotem czy kobietą dowódcą. Powtarzałam, że to kompletnie nieistotne, że po prostu wykonuję pewną robotę. Aż pewnego dnia, wkrótce po tym, jak zostałam dowódczynią, rozmawiałam z grupą kobiet w Kennedy Space Center – pracowały w zakładzie produkującym okładziny termiczne. Jedna z nich powiedziała mi: „Dziękuję za to, co pani robi. Dzięki pani mężczyźni bardziej nas szanują”. To zdanie uderzyło mnie jak piorun. Nigdy nie pomyślałam o tym z ich perspektywy: że brak kobiety na stanowisku dowódcy mógł podważać pozycję kobiet pracujących na każdym szczeblu. Wtedy zrozumiałam, że rada ojca – stawiaj się na miejscu drugiego człowieka – obowiązuje wszędzie. Zmieniłam podejście do pytań o bycie pierwszą. Zaczęłam je traktować poważnie i odpowiadać z pełnym zaangażowaniem. ▲

**** Po dekadach oczekiwania Wally Funk poleciała w kosmos 20 lipca 2021 roku na pokładzie New Shepard firmy Blue Origin.**

Rozmowa z Eileen Collins odbyła się w trakcie tegorocznej edycji Pyrkonu.

Zauroczenie na *terapii*

Co trzeci pacjent lub pacjentka czuje „coś więcej” do swojego psychoterapeuty. Proces terapeutyczny może na tym skorzystać

Z JACKIEM ZAŁUSKIM,
PSYCHOLOGIEM I PSYCHOTERAPEUTĄ,
ROZMAWIA EWA PĄGOWSKA
RYSUNEK ADA BUCHHOLC

Swój ostatni newsletter zatytułował pan „Zakochałaś/eś się w swoim terapeutce? To nie wstyd, a cenny materiał terapeutyczny”.

– Bo to jest prawda.

Proszę się z tego wytłumaczyć.

– Po pierwsze zakochanie czy zauroczenie się terapeutą to nie jest coś nadzwyczajnego ani rzadkiego. Szacuje się, że uczuć erotycznych lub romantycznych wobec terapeuty doświadcza w toku psychoterapii nawet jedna trzecia pacjentów. W badaniach pod kierunkiem dr Any Rabasco, psychiatrki z Uniwersytetu Browna w Stanach Zjednoczonych, 54 proc. psychoterapeutów zgłosiło, że miało w terapii przynajmniej jednego pacjenta, który przejawiał wobec nich uczucia romantyczne. Takie sytuacje nazywamy przeniesieniem. Po drugie, jeśli terapeuta prawidłowo na nie zareaguje, to pacjent będzie mógł na tym bardzo skorzystać.

Czym jest przeniesienie?

– To nieświadome kierowanie uczuć i oczekiwań, których źródło jest zwykle w dzieciństwie, w stronę terapeuty. Zazwyczaj chodzi o to, czego nie dostaliśmy. To powielanie w relacji z nim wzorców znanych ze związków z ważnymi osobami, np. rodzicami czy romantycznymi partnerami.

Jeśli w dzieciństwie brakowało mi uwagi i troski ze strony rodziców, to teraz oczekuję, że da mi je terapeuta?

– Tak, i wiele rzeczywiście pani od niego dostanie, bo dobrze wyszkolony terapeuta jest właśnie akceptujący, skupia swoją uwagę na pacjencie, pokazuje mu, że jest dla niego ważny – oczywiście powinno to być szczere – i buduje z nim bezpieczną więź. Takiej więzi wielu pacjentom brakowało we wcześniejszym życiu, więc kiedy poczują, jak to jest ją mieć, mogą to zinterpretować jako zakochanie. Oczywiście ich emocje są prawdziwe, nie można ich unieważniać.

Mówić: „To tylko przeniesienie”...

– Tak, bo oni rzeczywiście czują pożądanie czy zauroczenie. Rolą terapeuty jest po-



Przejawianie uczuć romantycznych wobec terapeuty nazywamy

przeniesieniem

móc pacjentom odkryć, z czego ono wynika. To jest właśnie materiał terapeutyczny.

A jak często terapeuci zakochują się w swoich pacjentach?

– Na temat zakochania badań nie znam, ale z badań przeprowadzonych pod kierownictwem amerykańskiego psychologa Kennetha S. Pope'a wynika, że 87 proc. terapeutów na jakimś etapie swojej kariery było seksualnie zainteresowanych swoim pacjentem lub pacjentką.

Terapeuta też może doświadczyć przeniesienia?

– Tak, chociaż w jego przypadku częstsze jest tzw. przeciwpreniesienie, czyli uczucia, które się w nim obudziły w reakcji na zakochanie pacjenta.

Skoro to wszystko jest tak częste i może być bardzo wartościowe, to dlaczego niewiele terapeutów się do tego przyznaje?

– Jak to w życiu: teoria swoje, praktyka swoje. To są trudne sytuacje, nie wszyscy potrafią sobie z nimi poradzić. Wiele zależy od doświadczenia i przygotowania terapeuty, od tego, ile przerobił na własnej terapii.

A może terapeuci obawiają się, że mówiąc publicznie o takich uczuciach, zostaną źle zrozumiani albo oskarżeni o nieetyczne zachowania?

– Być może. W kodeksach etycznych towarzystw terapeutycznych jest zawarte, że nie

można utrzymywać relacji romantycznych ani erotycznych z pacjentami. Niektóre nury dopuszczają wejście w takie związki po pewnym okresie od zakończenia terapii, inne nie. Moim zdaniem żadne okresy karencji nie są wystarczające. Oczywiście nie wszyscy trzymają się tych zasad. Czasem docierają do mnie informacje od pacjentów, czy nawet niektórzy terapeuci to zdradzają, że weszli w taką relację i to było szkodliwe. Kiedyś konsultowałem pacjentkę, która mówiła, że „zaliczyła” dwóch swoich terapeutów, aktualnie jest u trzeciego i jego też zamierza „zaliczyć”.

Co by pan powiedział osobie, która jest zakochana w terapeutce albo w terapeutce? Co powinna z tym zrobić? Powiedzieć o tym na terapii czy milczeć?

– Najlepiej powiedzieć i nie warto z tym zwlekać. Często pacjenci starają się nie pokazać swoich uczuć, chociaż wnikliwi terapeuci mogą je wychwycić i o nie zapytać. Czasem jednak nic nie zauważają i pacjenci do końca terapii nie wspominają o swoich uczuciach.

A co się dzieje, jeśli o nich powiedzą? Rozumiem, że pacjentka mówi terapeutce, że się w nim zakochała, a on jej mówi „A ja w tobie nie”...

– To nie musi być tak brutalnie powiedziane. Ale tak – terapeuta powinien powiedzieć, że tego uczucia nie odwzajemnia, żeby nie podtrzymywać nadziei pacjentki na rozwój relacji poza gabinetem. Musi postawić granicę. Może powiedzieć, że w przypadku relacji terapeutycznej nic więcej nie może się między nimi wydarzyć, i wyjaśnić, jakie to mogłoby mieć negatywne skutki. Ważne jest też, by wytłumaczyć, że żywienie głębszych uczuć do terapeuty czy terapeutki nie jest rzadkością. Niektórzy wstydzą się tego, że chodzą na terapię. Myślą, że coś jest z nimi nie tak. A co dopiero jeśli zakochają się w terapeutce! Muszą więc dowiedzieć się, że nie ma w tym nic nienormalnego.

Wciąż nie widzę, co dobrego pacjentka czy pacjent mogliby wynieść z takiego obrotu sprawy.

– Inaczej pracuje się wyłącznie na poziomie intelektualnym i gdy omawia się przeszłość, a inaczej, gdy ma się do czynienia z silnymi emocjami dotyczącymi konkretnej aktualnej relacji. W tym drugim przypadku efekty mogą być większe. Pacjentka, opowiadając o tym, w jaki sposób wy-

obraża sobie relację z terapeutą poza gabinetem, w rzeczywistości mówi, czego jej brakuje, opowiada o swoich niezaspokojonych potrzebach. Rozmowy na ten temat często mogą pokazać nie tylko z jakim partnerem chciałaby być, jakie cechy powinien mieć, ale czasem ujawniają jakieś traumy relacyjne czy inne ważne wydarzenia z historii rodzinnej. Dodatkowo, jeśli uda się utrzymać tę relację terapeutyczną – pacjent z niej nie ucieknie – a terapeuta będzie dalej stawiał granice z szcunkiem i zrozumieniem, to jest szansa, że ta relacja terapeutyczna będzie miała też funkcję korekcyjną.

To znaczy?

– Na przykład pacjentka przekona się, że można być w kimś zakochanym czy nim zauroczonym i nawet jeśli te uczucia nie zostaną odwzajemnione, to nie oznacza, że będziemy odrzuceni, wyśmiani czy ukarani. Nadal można czuć się w tej relacji bezpiecznie.

Trochę jakby zyskała nowy, tym razem już poprawny, wzorzec relacji?

– Tak, i to wzorzec wychodzący poza relację romantyczną. Pomagający budować stabilność, szacunek i bezpieczeństwo w różnych typach relacji. Jest to stopniowe kształtowanie bezpiecznego stylu przywiązania.

Co, jeśli dojdzie do przeciwprzeniesienia? Wtedy uczucia pacjenta czy pacjentki będą odwzajemnione.

– Terapeuta obowiązkowo powinien podawać swoją pracę superwizji, żeby zdawać sobie sprawę z tego, co się dzieje między nim a pacjentką lub pacjentem i jak powinien zareagować.

A czy możliwy jest „happy end”? W sensie romantyczno-relacyjnym.

– Że pacjentka z terapeutą żyła długo i szczęśliwie?

Tak.

– Nie słyszałem. Może takie przypadki są. Ale nie wiem, na jakiej zasadzie to miałyby działać.

Co właściwie taką relację przekreśla?

– Asymetria. Podczas sesji terapeuta nie odkrywa się przed pacjentem. To nie jest czas dla niego, ani miejsce na to, żeby mówił o sobie i swoich problemach osobistych czy marzeniach. To jest czas i przestrzeń dla pacjentów.



JACEK ZAŁUSKI

– psycholog i psychoterapeuta.
Prowadzi psychoterapię indywidualną i terapię par online. Wykładał m.in. na Uniwersytecie SWPS oraz w Akademii Leona Koźmińskiego.
Prowadzi blog www.zaluski.blog

Terapeuta wie więcej o pacjentach niż oni o nim, więc w pewnym sensie ma nad nimi przewagę, którą może wykorzystać?

– Tak, ale nie tylko o to chodzi. Dobrze to było przedstawione w polskiej wersji serialu „Bez tajemnic”. Tam granica została naruszona, bohaterowie wyszli ze swoją relacją poza gabinet, pacjentka zaczęła poznawać terapeuta jako człowieka z wszystkimi jego wadami i nastąpiło bolesne urealnienie. Oboje wyszli z tego rozczarowani i poranieni. Nawet jeśli udaje się rozwinąć takie relacje, to asymetria pozostanie do końca. Mimo upływu lat ludzie mogą wchodzić w role, które mieli w czasie terapii, np. terapeuta czy terapeutka nadal będą tymi, którzy dominują i w pewnym sensie opiekują się drugą osobą. Mogą też np. w kłótni wypominać jej to, co powiedziała im podczas terapii, lub używać psychologizującego języka, czy nawet posuwać się do diagnozowania partnera. To nie jest korzystne dla żadnej ze stron.

Happy endem terapeutycznym będzie sytuacja, w której pacjentka zakocha się w terapeutce, przepracowują to i ona na tym zyskuje.

– Tak. Pamiętam pacjentkę, która miała problemy małżeńskie i powiedziała, że się we mnie zakochała. W trakcie naszych rozmów zaczęła dochodzić do wniosku, czego potrzebuje w relacji, i potem częściej mówić o tym mężowi. On z kolei zaczął częściej spełniać jej prośby. To bardzo poprawiło ich małżeństwo. Ona zyskała też większą świadomość swoich potrzeb. Po jakimś czasie stwierdziła, że się we mnie odkochała, więc wygląda na to, że prze-

pracowała pozytywnie to przeniesienie. Potem zajmowaliśmy się jeszcze innymi obszarami jej życia.

Cały czas pan powtarza, że terapeuta musi umieć odpowiednio na te wyznania zareagować. A co mogłoby pójść nie tak?

– Terapeuta może zareagować w taki sposób, że pacjentka poczuje się nieakceptowana, zignorowana, może nawet wyśmiana. Oczywiście to jest subiektywne, bo zdarza się, że terapeuta stara się, żeby pacjentka czuła się akceptowana, a ona i tak może odbierać to inaczej. Natomiast jeśli on w żaden sposób nie odniesie się do tego, co usłyszał, to znaczy, że nie umie albo boi się tej sytuacji. Zdarza się też, że terapeuta pasie się na uwielbieniu ze strony pacjentki, np. zadaje pytania, które mają go dowartościować, a nie służyć pacjentce.

Może też nie umieć sobie poradzić z własnymi uczuciami w stosunku do niej.

– To prawda. Może wtedy próbować zmieniać charakter ich spotkań w takim kierunku, by mieć więcej możliwości autoprezentacji, może robić komentarze na temat jej wyglądu, które nie mają nic wspólnego z tym, nad czym właśnie pracuje. W takich sytuacjach warto zwrócić mu uwagę.

Ją może powstrzymywać przed tym obawa, że tylko jej się wydaje i że mówiąc o swoich wrażeniach, tylko się ośmiesz.

– Jeśli coś nas złości czy niepokoi w zachowaniu terapeuty, zawsze powinniśmy mu to powiedzieć. Niewyrażone emocje – obojętnie, czy chodzi o zauroczenie terapeutą, czy wręcz odwrotnie, przeszkadzają w terapii, np. zaburzają poczucie bezpieczeństwa. Natomiast jeśli się nimi podzielimy, to zyskamy okazję przerobienia jakichś naszych schematów relacyjnych. Mamy szansę na duży krok.

Chyba że nabierzemy podejrzeń, że terapeuta gra nie fair.

– Wtedy lepiej jest albo poszukać innego specjalisty, albo przynajmniej się z kimś skonsultować. Decydując się na wybór terapeuty, zawsze warto wcześniej się o nim trochę dowiedzieć, sprawdzić, czy należy do jakiegoś towarzystwa, czy korzysta z superwizji. Dobry wywiad zmniejsza ryzyko, że trafimy na osobę, która nie jest profesjonalna ani etyczna. ▲

Czekam na sygnał „dość”

Jeśli chcemy leczyć otyłość i trwale schudnąć, musimy pogodzić się z tym, że terapia będzie długa, kosztowna, a leki będziemy musieli brać nawet do końca życia



FOT. GETTY IMAGES, ARCHIWUM PRYWATNE (2)

Z PROF. LESZKIEM CZUPRYNIAKIEM I MAJĄ SOSNOWSKĄ
ROZMAWIA EWA PĄGOWSKA

Ucieszyłam się, kiedy trafiłam na państwa książkę o zastrzykach na otyłość, bo właśnie miałam pisać tekst o tym, jak bezpiecznie je odstawić. Im dłużej ją czytałam, tym bardziej mi się podobała – odpowiedzi na pytania pacjentów, kompleksowe podejście... Mina mi zrzedła, kiedy trafiłam na pytanie „Kiedy mogę zakończyć terapię?” i odpowiedź: „A dlaczego sądzisz, że będziesz mogła ją zakończyć?”. Naprawdę trzeba brać te leki do końca życia?

PROF. LESZEK CZUPRYNIAK: Otyłość to choroba przewlekła, a w chorobie przewlekłej leków się nie odstawia. Np. w cukrzycy, mimo obniżenia poziomu cukru lekami, podaje się je nadal.

A nadciśnienie czy depresja? Też są chorobami przewlekłymi, a jednak czasem leki się odstawia.

L.CZ.: W nadciśnieniu? Nie znam takich przypadków. Chyba że ktoś ma nadciśnienie spowodowane otyłością i dzięki ope-

nie zmniejsza. Przyrost masy ciała staje się łatwiejszy, a spadek coraz trudniejszy.

M.S.: Tymczasem chorzy od lat słyszą: „Chcieć to móc”. Z biegiem czasu wiele osób przejmuję ten sposób myślenia i obraca go przeciwko sobie – to mechanizm stygmatyzacji zinternalizowanej. Kiedy przychodzą do mnie, mówią: „Jestem beznadziejny”, „To moja wina”.

L.CZ.: Radzenie człowiekowi z otyłością: „Jedz mniej, więcej się ruszaj” jest obraźliwe. On doskonale wie, że ma mniej jeść i więcej się ruszać – tylko nie może.

M.S.: Postawmy ten sam talerz przed dwiema osobami. Szczupła w pewnym momencie odłoży sztucce, choćby zostało jeszcze pół porcji ulubionego dania, bo dostała sygnał: „dość”. Osoba z otyłością tego sygnału nie dostaje. I może być najinteligentniejsza pod słońcem, a i tak dokończy. Inteligencja i dyscyplina nic tu nie zmienia – to nie kwestia charakteru.

A czego?

M.S.: To czysta biologia. Ten sygnał „dość, zostaw” jest niesiony przez hormon GLP-1, który jest wydzielany przez jelito cienkie po posiłku. On działa na ośrodek sytości w mózgu. U osób z otyłością ta sy-

brycznych, bo dzięki tym lekom organizm osób z otyłością zaczyna funkcjonować jak u zdrowej osoby. Szybciej pojawia się uczucie sytości. Przestaje też doskwierać tzw. food noise, czyli obsesyjne myślenie o jedzeniu. Kiedy zaczynają przyjmować lek, uderza ich nagle cisza w głowie.

L.CZ.: Natomiast kiedy go zabierzemy, głód, jaki czuli przed rozpoczęciem terapii, wróci. Po odstawieniu tych leków ludzie tyją. Novo Nordisk [producent Ozempicu – red.] zrobił badanie, z którego wynika, że osoby przyjmujące semaglutyd w dawce 2,4 mg przez rok straciły 17,3 proc. masy ciała. Po odstawieniu leku w ciągu kolejnego roku odzyskały dwie trzecie tego, co straciły. Badań, które dały podobne wyniki, jest więcej. I to jest jeden z argumentów za tym, żeby tego leku nie odstawiać. Drugi mocny argument to ten, że zarówno semaglutyd, jak i tirzepatyd zmniejszają ryzyko rozwoju chorób układu krążenia o podłożu miażdżycowym, jak np. udar i zawał. Działają też silnie przeciwzapalnie. Zmniejszają nasilenie m.in. wrzodzącego zapalenia jelita grubego i łuszczycy, gdy pacjenci z tymi chorobami są też osobami z otyłością i z jej powodu przy-

Czy można odstawić „cudowne zastrzyki” bez efektu *jo-jo*?

racji bariatrycznej rzuci, powiedzmy, 30 kg, albo ma guza nadnerczy i przejdzie operację, ale w większości przypadków nadciśnienia nie można odstawić leków. A w depresji to zależy od jej genezy, bo może być różna. Zdarzają się też nawroty... Może choroba przewlekła nie oznacza, że konieczne jest zawsze leczenie do końca życia, ale na pewno potrzeba leczenia długotrwałego.

Wróćmy jednak do leków na otyłość. Ważne jest zrozumienie, czym ta choroba jest i jak działają leki. Przez lata sądzono, że człowiek jest otyły, bo ma słabą wolę i brakuje mu motywacji.

MAJA SOSNOWSKA: A to jest zwykłe bardzo zmotywowany człowiek! Bywa, że ma za sobą nawet kilkadziesiąt prób odchudzania, a każda kolejna coraz bardziej rozregulowuje organizm, spowalnia metabolizm, więc trawienie masy ciała jest coraz trudniejsze.

L.CZ.: Poza tym tycie polega nie tylko na tym, że komórki tłuszczowe puchną, ale też powstają nowe i ich liczba się już

gnalizacja jest zaburzona, nie do końca wiemy dlaczego. Analogi GLP-1 to leki, które pobudzają dokładnie te same receptory. U około 80 proc. pacjentów to wystarcza, żeby zaczęli jeść dużo mniej. To nie jest żadne „oszukiwanie” organizmu – to wzmocnienie mechanizmu, który u osób szczupłych działa.

Analogi GLP-1 to między innymi liraglutyd, który jest np. w Saxendzie, i semaglutyd, który jest w Ozempicu. Te substancje działają podobnie, ale tirzepatyd, który jest w Mounjaro, to trochę coś innego.

L.CZ.: Tirzepatyd działa na receptory nie jednego, a dwóch hormonów jelitowych, które odpowiadają za uczucie sytości: GLP-1 i GIP. Badania pokazują, że jest on bardzo skuteczny, jeśli chodzi o redukcję masy ciała, i dobrze tolerowany, np. rzadko wywołuje zgagę czy mdłości.

M.S.: Niektórzy mówią, że sięganie po te leki to pójście na łatwiznę. My mówimy, że to jest przywrócenie ustawień fa-

mują te leki. One jednak nie są zarejestrowane do leczenia łuszczycy czy zapalenia jelit. Dlatego mówię pacjentom: „Jak pan schudł 20 kg, to proszę leku nie odstawiać, tylko nauczyć się z nim żyć”.

I na niego zarabiać... Obecnie maksymalna dawka Mounjaro na miesiąc to koszt minimum 1900 zł. To jeden z argumentów, który podają osoby chcące odstawić ten lek.

L.CZ.: To prawda i to jest rzeczywiście mocny argument – te leki są drogie. Ale stanieją, bo będą wygasać kolejne patenty i pojawi się więcej generyków [odpowiedników oryginalnych leków – red.]. W ciągu najbliższych trzech-czterech lat na rynek wejdzie pięć nowych preparatów, w tym jeden lub dwa w przyszłym roku. Już zresztą są generyki dla liraglutylu. Koszt dawki maksymalnej to 400-500 zł na miesiąc. Można więc porozmawiać z lekarzem o zamianie preparatu. Nie mamy wątpliwości, że odstawienie leku w tak ciężkiej i przewlekłej chorobie, jaką jest otyłość, przy-

niesie więcej szkody niż pożytku. Być może u części pacjentów, pewnie niewielkiej, będzie to możliwe, ale na razie nie umiemy powiedzieć u kogo. My wciąż się uczymy optymalnego stosowania tych leków, szeroko je stosując. To trochę jak budowa samolotu w locie.

To może być kolejny argument za tym, żeby przynajmniej próbować te leki odstawić. Samolot budowany w locie wydaje się jednak bardziej ryzykowny niż ten budowany na ziemi. WHO w swoich wytycznych też się asekuruje: „Terapie GLP-1 mogą być stosowane u dorosłych – z wyłączeniem kobiet w ciąży – w długoterminowym leczeniu otyłości. Chociaż skuteczność tych terapii w leczeniu otyłości oraz poprawie parametrów metabolicznych i innych wyników zdrowotnych została wykazana, rekomendacja ma charakter warunkowy ze względu na ograniczone dane dotyczące ich długoterminowej skuteczności i bezpieczeństwa, utrzymania efektów leczenia i konsekwencji jego przerwania, obecne wysokie koszty terapii, niewystarczające przygotowanie syste-

Tego nie mówię, tylko przedstawiam argumenty, jakie mogą stać za odstawieniem leków, kiedy już pacjent zmniejszy masę ciała. Kolejny argument to objawy niepożądane. Każdy lek jakiegoś ma.

M.S.: Tak; i te najczęstsze, jak: mdłości, wymioty, biegunki czy wzdęcia, zwykle przemijają. Ale m.in. z ich powodu właśnie od początku leczenia pacjent powinien być pod opieką dietetyka. Chodzi o to, by dopasować żywienie do tego, jak pacjent reaguje na leki, np. zalecić okresowo dietę lekkostrawną. Ten trudniejszy czas mija zwykle po czterech-ośmiu tygodniach. Od początku trzeba też dbać o nawodnienie, bo leki z grupy GLP-1 zmniejszają także łaknienie, i o to, żeby dieta była pełnowartościowa, zawierała błonnik pokarmowy i odpowiednią ilość białka – po ok. 25 g w każdym z trzech-czterech posiłków. W przeciwnym razie może dojść do nadmiernego spadku masy mięśniowej i wypadania włosów.

L.CZ.: Wtedy to nie jest bezpośredni skutek działania leków, tylko zbyt szybkiego chudnięcia na ubogiej w wartości odżywcze diecie. My wcześniej nie wiemy, jak szybko ktoś będzie tracił masę ciała. Są tacy, którzy niemal od pierwszej daw-

zapalenie trzustki lub raka tarczycy. Skąd wzięła się opinia, że powodują?

L.CZ.: Ja mam taką teorię, że w wiadomościach szuka się sensacji. Jeśli wiele osób bierze Ozempic i ktoś napisze tekst o tytule „Ozempic szkodzi” to klikalność polecą w kosmos. Ja od wielu miesięcy walczę o to, żeby nie straszyć pacjentów informacjami, które nie mają żadnych podstaw naukowych, tylko po to, by rosla klikalność. W badaniu SELECT oceniającym wpływ semaglutynu na ryzyko sercowo-naczyniowe, w którym średnio przez 40 miesięcy obserwowano 17 tysięcy pacjentów, nie wykazano zwiększonego ryzyka nowotworów złośliwych czy ostrego zapalenia trzustki. 17 tysięcy to jest bardzo duża próba. Badanie miało podwójnie ślepą próbę, czyli ani pacjenci nie wiedzieli, czy dostają placebo czy lek, ani lekarze nie wiedzieli, co im podają. Dla mnie dyskusja jest skończona. Długoterminowe przyjmowanie analogów GLP-1 jest bezpieczne i konieczne, by skutecznie leczyć otyłość. Poza tym to nie są leki nowe – pierwszy lek z tej grupy (eksenatyd) poznaliśmy i stosowaliśmy już w 2005 r. Nie stosujemy go już

Po odstawieniu leków na otyłość stara masa ciała i głód często wracają.

W chorobach przewlekłych leków się nie odstawi, a jeśli już,

wymaga to długotrwałych przygotowań

mów ochrony zdrowia oraz potencjalne konsekwencje dla równości dostępu do leczenia”.

L.CZ.: Oczywiście długoterminowe bezpieczeństwo konkretnych preparatów będziemy znać w 100 proc. za jakieś 20 lat. Ale jaka jest alternatywa dla przyjmowania tych leków? Operacja bariatryczna? W Polsce wykonuje się ich 10 tysięcy rocznie. To jest nic w stosunku do potrzeb. My jesteśmy entuzjastami tych leków – to zresztą chyba słychać w naszej rozmowie. Zresztą kiedy opowiadamy studentom medycyny na wykładach o działaniu tych leków, często mówią, że to zbyt dobrze brzmi, żeby mogło być prawdziwe. Ale to nie znaczy, że jesteśmy fanatykami! Też się zastanawiamy, jak pacjent będzie się czuł po 20 latach brania leków. Ale wiemy na pewno, że 20 lat życia z otyłością źle się dla niego skończy. Mamy go tak zostawić?

ki mówią: „W ogóle nie mam apetytu. Mogłabym nie jeść”. Ja na początku się z tego cieszyłem...

M.S.: A ja mówiłam: to źle, bo pacjent będzie miał zanik masy mięśniowej. Trzeba mu opracować odpowiednią dietę, bo w małych posiłkach trudno jest zmieścić wszystkie mikro- i makroskładniki. I wprowadzić trening oporowy m.in. dla ochrony mięśni. Docelowo pół godziny trzy razy w tygodniu.

L.CZ.: Teraz już całkowicie się z tym zgadzam. Przyznaję, że my, lekarze, w początkowym okresie stosowania tych leków nie docenialiśmy roli dietetyka. Dopiero od tego roku mamy wpisane w zaleceniach diabetologicznych, że każdy pacjent, któremu wypisujemy analogi GLP-1, musi iść do dietetyka.

W książce zaprzeczają państwo informacjom, że leki mogą powodować ostre

dlatego, że był niebezpieczny, ale dlatego, że był źle tolerowany – mdłości i wymioty były powszechne.

Ale te plotki nie wzięły się przecież tylko z poszukiwania sensacji. Jakiś impuls musiał być.

L.CZ.: W przypadku liraglutynu badania pokazały, że ten lek u niektórych zwiększył ryzyko rozwoju raka tarczycy, ale u ludzi nie ma takiej zależności. Nasza tarczyca ma inną budowę. Natomiast jeśli chodzi o zapalenie trzustki... nie wiem, może chodzi o to, że ok. jedna trzecia pacjentów, którzy biorą ten lek, ma podwyższoną aktywność enzymów trzustkowych, co jest zrozumiałe, bo ten lek stymuluje trzustkę, ale to niczym nie grozi, nie wywołuje też żadnych objawów. Oczywiście czasem pacjenci z otyłością leczeni GLP-1 dostają ostrego zapalenia trzustki, sama otyłość zwiększa jego ryzyko. Wią-

zanie tego faktu z przyjmowaniem leków z tej grupy jest nieuzasadnione.

Przed pojawieniem się tych leków udało mi się trwale odchudzić kilku pacjentów z otyłością. Pamiętam trzydziestokilkuletniego informatyka, który schudł 25 kg w ciągu roku. Ale tylko dlatego, że jego żona zmieniła życie całej ich rodziny. Zamknęła auto w garażu i zaczęła chodzić wszędzie pieszo. Dodatkowo codziennie był dwugodzinny spacer. Wstawiła do domu siłownię, zmieniła sposób gotowania. Sama schudła 8 kg, chociaż nie miała tego w planie, a ich syn schudł 5 kg. Proszę powiedzieć, ile osób jest w stanie tak gruntownie zmienić swoje życie i może liczyć na wsparcie całej rodziny? Leki umożliwiają pacjentom powrót do właściwego stylu życia. Bez nich jest to bardzo trudne.

Znam człowieka, który kilkadziesiąt lat temu pokonał uzależnienie od heroiny bez jakiejkolwiek terapii.

L.CZ.: Ja też znam paru alkoholików, którzy przestali pić bez terapii, ale to są wyjątki.

Z opublikowanych w 2024 r. badań duńskich naukowców wynika, że pacjent po odstawieniu liraglutynu ma większe szanse na utrzymanie nowej masy ciała, jeśli w czasie kuracji tym lekiem wykonywał ćwiczenia fizyczne. W badaniach, o których państwo wspominali, też nie wszyscy w równym stopniu tyli po ich odstawieniu. Czy wiadomo, po jakim minimalnie czasie brania leku jego odstawienie jest bardziej bezpieczne?

M.S.: Zanim pomyślimy o odstawieniu, chcę wiedzieć, czy pacjent naprawdę poprawił relację z jedzeniem, je zdrowo, regularnie i ma utrwalone nawyki nie tylko żywieniowe, ale dotyczące całego stylu życia. Ich nie wykształca się w miesiąc. Najlepszy moment na ich budowanie jest nie po terapii, lecz w jej trakcie, gdy lek wycisza myśli o jedzeniu i pacjent ćwiczy nowe zachowania na spokojnie, a nie w walce z głodem.

Jak się za to zabrać?

M.S.: Tu wkracza dietetyk. Wiem, to kolejny koszt, ale na początku zmienia się wszystko naraz: dawka, reakcje organizmu, sposób jedzenia, więc pacjent potrzebuje wsparcia. Dlatego optymalnie by było, żeby przychodził co jeden-dwa tygodnie. Przynajmniej na początku.



MAJA SOSNOWSKA

– dietetyczka kliniczna, psychodietetyczka, edukatorka diabetologiczna i wykładowczyni uniwersytecka. Jest współautorką książki „Cudowne zastrzyki, fakty i mity o nowoczesnym leczeniu otyłości”. Pracuje w Klinice Diabetologii i Chorób Wewnętrznych Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego WUM.



PROF. DR HAB. N. MED. LESZEK CZUPRYNIAK

– specjalista chorób wewnętrznych i diabetologii. Kieruje Kliniką Diabetologii i Chorób Wewnętrznych Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego WUM. Jest członkiem zarządu Międzynarodowej Federacji Diabetologicznej. Jest współautorem książki „Cudowne zastrzyki, fakty i mity o nowoczesnym leczeniu otyłości”.

Koszty to jedno, ale nie słyszałam o wielu dietetykach, którzy pracują z pacjentem nad tworzeniem nawyków.

M.S.: To prawda, nie ma ich wielu. Po części dlatego, że system wciąż nie docenia roli dietetyka w leczeniu otyłości. Ale pacjenci też nie zawsze są na tę pracę gotowi. Czasem ktoś się denerwuje, że na początku wizyty zadają pytania o sferę psychiczną i tryb życia, a o jedzenie nawet nie zahaczam. Niektórzy oczekują gotowego jadłospisu, ale ja muszę najpierw wiedzieć, jakie mają możliwości jego wprowadzenia. Zmianę trzeba zacząć od zatrzymania się i analizy tego, co dzieje się z nami w ciągu dnia. Czasem pacjenci nie potrafią nazwać emo-

cji, które odczuwają. Dostają więc tabelę z opisanymi 40 emocjami.

Co to wszystko daje?

M.S.: Chodzi o dostrzeżenie zależności, w jaki sposób dane zdarzenia i emocje wpływają na nasze wybory, np. w jakich sytuacjach i pod wpływem czego sięgamy po słodczy. Zastanawiamy się nad tym, jak zmiana jednego elementu wpłynie na pozostałe. Możemy zadać sobie pytanie, z jakim posiłkiem mamy największy problem, a potem wymyślać rozwiązania.

Proszę podać przykłady.

M.S.: Jeśli problemem jest to, że w pracy jem hot dogi i pizzę z Żabki, to nie pytam „Dlaczego brakuje mi silnej woli?”, tylko: gdzie wcześniej urwał się łańcuch.

Jaki łańcuch?

M.S.: Ten hot dog to zwykle dopiero ostatnie ogniwo. Powiedzmy, że poprzedniego dnia nie miałam czasu nic przygotować albo nie miałam z czego, bo mąż robi zakupy, a w tym, co przynosi, niewiele jest zdrowego – za to Żabkę mam pod nosem. Cofam się więc do źródła: układam listę posiłków na pięć dni, na jej podstawie robię listę zakupów i daję ją mężowi. Jednego dnia gotuję na cały tydzień. Mam też plan awaryjny – sprawdzam, co w Żabce jest najzdrowsze, i jeśli przyjdę do pracy bez jedzenia, kupuję te produkty. To może być, np. makrela w oleju, pieczywo bogate w błonnik, pomidorki koktajlowe, a na deser mus owocowy z płatkami owsianymi. Nie polegam na sile woli o godz. 13, tylko ustawiam wszystko tak, żeby zdrowy wybór był najłatwiejszy.

A jak się motywować?

M.S.: Ja na początku doбираłam pacjentowi cele, które będą łatwo osiągalne.

Daję pacjentowi kartę na lodówkę. Na górze trzy-cztery kroki, które ustalamy razem i które są w jego zasięgu – na przykład spacer po obiedzie, szklanka wody przed posiłkiem, białko w śniadaniu, warzywo do kolacji. Każdy dzień to jedna rubryka. Krok zrobiony – zakreślamy jeden kafelek na ścieżce. Pod koniec miesiąca pacjent widzi nie to, czego nie dopilnował, tylko ile rzeczy zrobił – a tego większość z nas nie zauważa. Po dwóch, trzech tygodniach taka kartka potrafi zaskoczyć. Słyszę np.: „Nie sądziłem, że tyle udało mi się utrzymać”. I to jest moment, w którym pacjent zaczyna wierzyć, że zmiana jest w jego zasięgu. ▲

Połącz **Kropki**

**Idealna gra
na krótką przerwę**



Zeskanuj
QR kod
i graj



APLIKACJA
WYBORCZEJ